

J.G. BALLARD



Witaj  
Ameryko



# J.G. BALLARD

## Witaj Ameryko

*Przekład*  
**Piotr Cholewa**



  
Warszawa  
1996



# I

## Złote Wybrzeże

Tam jest złoto, Wayne! Wszędzie złoty piasek! Obudź się! Ulice Ameryki są brukowane złotem!

Później, kiedy SS „Apollo” przybił do brzegu obok zniszczonego mola Cunarda na dolnym cyplu Manhattanu, Wayne miał z rozbawieniem wspominać, jak podniecony był McNair, kiedy wbiegł do schowka na żagle. Główny mechanik gestykułował jak oszalały, a broda lśniła mu niczym latarnia.

– Wayne, tam jest wszystko, o czym marzyliśmy! Spójrz przynajmniej raz, choćby cię to miało oślepić!

Niemal wyrzucił Wayne’a z hamaka. Wayne oparł rękę o metalowy sufit i spojrzał na płomienną brodę McNaira. Niezwykły miedziany blask wypełniał komórkę, otaczając go balami złocistych dywanów – jakby wpłynęli w oko radioaktywnego cyklonu.

– Zaczekaj, McNair! Poszukaj doktora Ricci! Może...

Ale McNair już wbiegł, gotów obudzić cały statek. Wayne słyszał, jak krzyczy na dwóch zaskoczonych palaczy w bunkrze. Spał przez całe popołudnie – o ósmej rano zszedł z długiej nocnej wachty – a tymczasem „Apollo” rzucił kotwicę o pół mili od brzegu Brooklynu, zapewne po to by profesor Summers i naukowcy ekspedycji mieli czas na zbadanie atmosfery. Teraz byli gotowi, by płynąć dalej do nowojorskiej zatoki, pierwszego portu po długim rejsie z Plymouth.

Kabestany stękały i zgrzytały, a łańcuchy kotwiczne drapały pordzewiały metal. Wayne wstał z hamaka i ubrał się szybko, spoglądając w pęknięte lustro zawieszane na drzwiach. Patrzyła na niego złocista twarz, zaskoczone oczy pod strzechą włosów tak jasnych, jakby należały wychudzonego anioła. Kiedy wyszedł na pokład, obłok sadzy wyleciał z komina i pokrył fok setkami świetlików. Załoga i pasażerowie tłoczyli się niecierpliwie przy relingu, a antyczne motory „Apolla”, najwyraźniej wyczerpane siedmiotygodniowym rejsiem przez Atlantyk, z wysiłkiem pchały statek przez spokojne przybrzeżne wody.

Zły na siebie – już w tej chwili dygotał z emocji jak małe dziecko – Wayne patrzył na brzeg, magnetycznie ściągający ku sobie wszystkie spojrzenia. Lśnienie złota zalewało nabrzeża Brooklynu, odbijało się od milczących doków i składów. Popołudniowe słońce wisiało nad pustymi ulicami Manhattanu, łącząc swój blask z migotaniem powierzchni w dole. Przez chwilę Wayne niemal wierzył, że te od dawna ciche aleje i szosy w oczekiwaniu na ich wizytę okryły się najcenniejszymi skarbami.

Za rufą „Apolla” wznosiły się szerokie przesła wiszącego mostu nad Cieśniną Verrazano, od dawna znanego Wayne’owi ze starych slajdów w bibliotece Towarzystwa Geograficznego w Dublinie. Całymi godzinami wpatrywał się w te fotografie, jak w tysiące innych obrazów Ameryki. Nic jednak nie przygotowało go na niezwykły ogrom i tajemniczą sylwetkę. Most uwznioślił się w czasie tego stulecia, kiedy wszyscy o nim zapomnieli. Wiele pionowych lin popękało i wielka konstrukcja barwy miedzi przypominała milczącą harfę, która swą ostatnią pieśń odegrała obojętnemu morzu.

Wayne patrzył na zbliżające się miasto, znów niezdolny do pogodzenia oglądanej scenerii z obrazem Manhattanu, o jakim marzył w mroku bibliotecznej sali projekcyjnej. Dziesiątki wieżowców wyrastały w przedwieczornym blasku. Nawet z odległości pięciu kilometrów szklane ściany budynków błyszczały niczym zwierciadła z brązu, jak gdyby ulice w dole zalane były złotym bulionem. Wayne widział stary Empire State Building, szacownego

patriarchę miasta, widział bliźniacze kolumny World Trade Center i dwustupiętrowy wieżowiec OPEC dominujący nad Wall Street, z neonowym znakiem wskazującym kierunek do Mekki. Ich sylwetki tworzyły razem znajomą linię, której szczyty i zagłębienia Wayne znał na pamięć i która teraz wydawała mu się odmieniona snem o złocie.

Przez bulaje w dole dobiegał głos McNaira pokrzykującego na palaczy.

– Wielki Boże, nie wystarczy wam te łopaty! Musi leżeć na grubość sześciu cali! Pewnie przywiało je tu z Appalachów.

Porwany zapałem McNaira Wayne roześmiał się głośno w stronę złotego brzegu. Choć zaledwie dwudziestopięcioletni, o cztery lata starszy od Wayne'a, McNair lubił przybierać pozę człowieka obojętnego, bywałego w świecie. Szczególnie gdy pokazywał komuś znieawidzoną maszynownię z węglowymi kotłami, dziwnymi tłokami i wałami wprost z dziewiętnastego wieku. Mimo to McNair znał się na swojej robocie i wszystko potrafił zmusić do działania. Gdyby dać mu punkt podparcia, poruszyłby Ziemię, nie tylko SS „Apollo”. Edison i Henry Ford byłiby z niego dumni.

I mimo swych humorów McNair był pierwszym, który zaprzyjaźnił się z Wayne'em, kiedy doktor Ricci znalazł młodego pasażera na gapę, dygoczącego z zimna pod płótnem kryjącym kapitańską szalupę, dwa dni po wypłynięciu w Plymouth. To McNair wstawił się za nim u kapitana Steinera i przeniósł hamak Wayne'a z wilgotnej komórki za kambuzem w ciepły mrok schowka za żagle. Być może w determinacji Wayne'a, by dotrzeć do Stanów Zjednoczonych, dostrzegł odbicie własnego pragnienia, by wyrwać się z umęczonej, oświetlonej świecami Europy z jej nieznośnym racjonowaniem minimalnych porcji żywności, jej całkowitym brakiem szans i nadziei.

Zresztą McNair nie był w tym osamotniony. „Apollo” niósł niewidzialny ładunek marzeń i osobistych motywacji. A gdy komin wypluwał im sadzę na głowy, pasażerowie stojący obok Wayne'a w milczeniu wskazywali sobie złote wybrzeże Manhattanu, Brooklynu, brzegi Jersey, poruszeni migotliwym powitaniem dawno porzuconego kontynentu.

Po chwili Wayne usłyszał, jak Orłowski, dowódca wyprawy, woła do kapitana Steinera o więcej pary. Głos Orłowskiego stracił na chwilę amerykański akcent, który podczas rejsu wkraść się w kijowski samogłoski.

– Cała naprzód, kapitanie! – krzyczał przez mały, przenośny megafon. – Czekamy na pana! Chyba się pan teraz nie wycofa!

Ale Steiner nie spieszył się, jak zwykle. W rozkroku stał na mostku obok sternika, chłodno kontemplując złote wybrzeże, tak jak doświadczony podróżnik obserwuje coś, o czym wie, że jest tylko mirażem. Krępy, niezbyt wysoki mężczyzna po czterdziestce od prawie dwudziestu lat służył w marynarce Izraela. Znakomity szachista, który nigdy nie darował ani jednego posunięcia, matematyk amator i doświadczony nawigator intrygował Wayne'a od pierwszego spotkania, kiedy pasażer na gapę spoglądał ponad odwróconą szalupą prosto w pełne ironii oczy kapitana.

Wayne był pewien, że Steiner – jak wszyscy na pokładzie „Apolla” – skrywa jakieś tajemne ambicje. Po odkryciu Wayne'a kapitan wezwał go do swojej kajuty. A kiedy chował do sejfu skonfiskowany Ricciemu pistolet, na półce pod kasetą ze złotem młody człowiek dostrzegł związane paczki magazynów „Time” i „Look”. Ich brunatne stronicie były sprasowane jak miedziane arkusze, skamieniałości Ameryki, która zniknęła sto lat temu. Potem, dwa tygodnie od Plymouth, podczas długiego okresu ciszy, Steiner zatrzymał Wayne'a, kiedy nielegalny pasażer przyniósł mu kolację.

– Wszystko w porządku, Wayne... – Uśmiechnął się z niejakim rozbawieniem, widząc tego morskogo Tomka Sawyera ze strzechą jasnych włosów, nogami jak szczudła i oczami rozświetlonymi przez najdziwniejsze marzenia.

Wayne drżał z lęku, kiedy stanął przed kapitanem. Ricci i profesor Summers przekonywali Orłowskiego, żeby zarządził zmianę kursu „Apolla”, dzięki czemu mogliby wysadzić Wayne’a na Azorach.

– Uspokój się, Wayne. Wyglądasz, jakbyś chciał przejąć ten statek. – Czyżby w szerokich ramionach, w grubych kościach szczęki i czoła dostrzegał agresywny charakter młodego człowieka? – Ucieszysz się: nie zawijamy na Azory. Ale chcę ci pokazać coś innego.

Pozostawiając nie tkniętą kolację, Steiner otworzył sejf i ostrożnie rozpakował magazyny. Przewracał wyblakłe stronice, pokazując Wayne’owi fotografie Centrum Kosmicznego Kennedy’ego, lądowanie promu kosmicznego w Bazie Lotniczej Edwards po locie próbnym, wyłowienie kapsuły „Apolla” z Pacyfiku. Był to specjalny rocznicowy numer wydany na dwustulecie USA, ukazujący wszelkie aspekty amerykańskiego życia w dalekim roku 1970: zatłoczone ulice Waszyngtonu w dniu inauguracji Cartera, długie kolejki wakacyjnych odrzutowców na lotnisku Kennedy’ego, zadowolonych ludzi wypoczywających nad basenami w Miami i przecinających narciarskie stoki w Aspen, przygotowujących jachty w ogromnym porcie w San Diego... Cała niezwykła aktywność wspaniałego niegdyś narodu, utrwalona na fotografiach koloru sepii.

– No cóż, Wayne, chcesz płynąć do Ameryki. Przekonamy się, ile o niej wiesz.

Steiner był sceptyczny, ale zachęcająco kiwał głową, kiedy Wayne opisywał kolejne zdjęcia.

– To łatwe: most Golden Gate; Pałac Cezara w Las Vegas; Los Angeles, Chiński Teatr Manna; Nabrzeże Rybackie we Frisco; Detroit, Edsel Ford Expressway. Jeszcze coś, kapitanie?

– Na razie wystarczy, Wayne. Ale świetnie sobie radzisz. Nie jesteś zwykłym pasażerem na gapę. Będziemy musieli jeszcze porozmawiać...

Nikt z tysięcy Europejczyków w wieku Wayne’a nie miałby pojęcia, co fotografie przedstawiają. To smutne, ale Europa, Azja i reszta zamieszkanego świata już dawno straciła wszelkie zainteresowanie Ameryką. Jednak Steiner wyraźnie odgadł, że Wayne rozpozna te starożytnie widoki.

– Przy odrobinie szczęścia, niedługo zobaczysz to wszystko na własne oczy – stwierdził, zamykając magazyny w sejfie. – Powiedz mi, Wayne, z jakiej części Stanów Zjednoczonych pochodziła twoja rodzina? – Przyjrzał się chudej postaci Wayne’a, jego po dziecięcemu jasnym włosom. – Kansas? Środkowy Zachód? Wyglądasz na Teksasczyka...

– Nowa Anglia! – skłamał Wayne, zanim zdążył się zastanowić. – Jamestown. Mój pradziadek miał tam sklep z narzędziami.

– Jamestown? – Steiner pokiwał głową. Starał się nie uśmiechać, kiedy odprowadzał Wayne’a do drzwi. – No cóż, naprawdę wracamy do początków. Może zaczniesz wszystko od początku, Wayne. Mógłbyś nawet zostać prezydentem. Od pasażera na gapę do Białego Domu... Zdarzały się dziwniejsze rzeczy.

Przyjrzał się Wayne’owi z namysłem. Jego bystra twarz nawigatora była niemal poważna, miała dziwny wyraz, który Wayne zapamiętał na zawsze.

– Pomyśl, chłopcze... Czterdziesty piąty prezydent Stanów Zjednoczonych...

## II Kurs kolizyjny

Dlaczego okłamał Steinera?

Wayne oderwał wzrok od złotego wybrzeża i spojrzął na mostek, gdzie Steiner stał obok sternika i przez lornetkę obserwował spokojne wody kanału. Wayne nerwowo bębnił palcami o reling. Mógł powiedzieć prawdę, Steiner by zrozumiał, sam był przecież swego rodzaju wyrzutkiem, morskim Żydem Wiecznym Tułaczem, który odwrócił się plecami do własnego narodu. Dlaczego nie wyrzucił z siebie: „Nie wiem, skąd pochodzę ani kim był mój ojciec, a co dopiero mówić o dziadkach. Matka umarła pięć lat temu. Przez pół życia korzystała z pomocy psychiatrycznej, przez drugie pracowała jako ledwie kompetentna sekretarka na Uniwersytecie Amerykańskim w Dublinie. Pozostawiła mi tylko lata niestworzonych historii i puste miejsce na akcie urodzenia. Niech mi pan powie, kapitanie, kim właściwie jestem...”

Lodowaty rozbryzg uniósł się spod dziobu „Apolla” i ukłuł Wayne’a w twarz. Steiner zażądał od maszynowni więcej pary i statek nabierał szybkości, jakby ku magnetycznemu brzegowi ściągała go podwyższona grawitacja krainy snów. Wspominając słowa Steinera o... którym to?... czterdziestym piątym prezydencie, Wayne znowu pomyślał o matce. W ciągu lat spędzonych w szpitalu często paplała o prawdziwym ojcu Wayne’a, na zmianę ostatnim prezydencie Stanów Zjednoczonych na wygnaniu, Henrym Fordzie V, Brownie (głęboko pobożnym stulatką, który zmarł sześćdziesiąt lat przed narodzinami Wayne’a w klasztorze zen); o dawno zapomnianym śpiewaku folkowym nazwiskiem Bob Dylan, którego płytę bez końca puszczała na stojącym przy łóżku, ręcznie nakręcanym gramofonie.

Tylko raz, w jednej z nielicznych chwili przytomności umysłu, kiedy dochodziła do siebie po nadmiernej dawce seconalu, matka spokojnie popatrzyła Wayne’owi prosto w oczy i wyznała, że jego ojcem był doktor William Fleming, profesor informatyki Uniwersytetu Amerykańskiego. Zaginął dwadzieścia lat temu, biorąc udział w pechowej ekspedycji do Stanów Zjednoczonych.

Wayne nie traktował tego dziwnego wyznania poważnie. Ale kiedy zasmucony przeglądał stos rzeczy matki po jej śmierci – jakiś zwariowany antykwariat z biżuterią, wycinkami z gazet i fiolkami po lekach – trafił na obwiązany wstążką pakiet pocztówek. Były podpisane przez Fleminga i nadawane z Southampton w Anglii, skąd wyruszyła ekspedycja. Ton owych krótkich, ale bardzo osobistych listów, zapewnianie o powrocie na „wielki dzień” i troska o ciężę młodej sekretarki – wszystko razem posiało w duszy Wayne’a ziarno wątpliwości.

Czyżby obsesja na punkcie Ameryki, którą jego nieznani przodkowie opuścili przed stuleciem, jego determinacja, by powrócić na zapomniany kontynent, były zaledwie poszukiwaniem ojca? Czy może wymyślił sobie ojca, by obsesji przydać romantycznych podtekstów?

Czy to w tej chwili ważne? Wayne ocknął się z zamyślenia i przez rozbryzgi wody spojrzął na coraz bliższy Manhattan. Jak owi nieznani przodkowie całe wieki temu, przybył do Ameryki, by zapomnieć o przeszłości, na zawsze odwrócić się od znużonej Europy. Pierwszy raz od chwili, gdy ukrył się na pokładzie „Apolla”, ogarnęło go dziwne poczucie wspólnoty, niemal jedności z innymi pasażerami, którzy wraz z nim śmiało ruszyli w drogę.

Po obu stronach ludzie tłoczyli się przy relingu, nie zważając na rozbryzgi wody ponad pordezwiątanymi burtami. Członkowie załogi i naukowcy stali ramię w ramię. Nawet doktor Paul Ricci przynajmniej raz nie irytował Wayne’a. Wymuskany, obojętny fizyk jądrowy był jedynym członkiem ekspedycji, którego nie lubił – z dziesięć razy podczas rejsu stawał za

Wayne'em, gdy ten pracował nad starymi planami ulic Manhattanu i Waszyngtonu, sugerując drwiącym uśmiechem, że całe Stany Zjednoczone należą już do niego. Teraz stał obok profesor Summers i wskazywał jej najważniejsze punkty orientacyjne.

– Tam jest budynek Forda, Anno. I dzielnica arabska. Jeśli dobrze się przyjrzyysz, zobaczysz mauzoleum Lincolna.

Czy jego dziadkowie naprawdę mieszkali na Manhattanie, jak twierdził? Wayne już miał go poprawić, ale nikt się nie odzywał. Orłowski, komisarz wyprawy, stał obok Wayne'a, przytrzymując się want grotmasztu, jakby w obawie, że rosnąca szybkość „Apolla” oderwie go od pokładu i wyniesie ponad żagle. Ricci ramieniem objął profesor Summers w tali. Urwał swój absurdalny komentarz i skrył się za nią przed złotym wybrzeżem.

Przynajmniej raz Anna Summers nie próbowała go odepchnąć. Mimo kropelek wody jej ostry makijaż pozostał na miejscu, choć wiatr zaczął rozplatać ciasny kok jasnych włosów. Podróż odświeżyła jej saską cerę, a spokojnej twarzy i wysokiemu czołu dodała niemal dziewczęcego blasku. Wayne był jej największym admiratorem. Raz, ku jej irytacji, wszedł do laboratorium radiologii i znalazł uczoną zapatrzoną w małe lustro. Oszałamiające, rozczesane włosy sięgały jej do pasa, twarz miała umalowaną jak dawna aktorka filmowa, bogini ekranu śniąca wśród kolumn reakcyjnych i liczników promieniowania. Prawie natychmiast ocknęła się z rozmarzenia, przeklinając Wayne'a w zaskakująco gardłowym amerykańskim. Wzbudziło to komentarz McNaira, że zmieniła nazwisko z „Sommer” na pół godziny przed wypłynięciem „Apolla” z Plymouth.

Teraz jednak powróciło jej zadumane spojrzenie. Wsparła się na ramieniu Ricciego i nawet znalazła czas, by uśmiechnąć się zachęcająco do Wayne'a.

– Pani profesor, czy złoty pył można wdychać bezpiecznie? – zapytał. – Może jest radioaktywny?

– Złoty, Wayne? – roześmiała się, spoglądając na migoczący brzeg. – Nie martw się. Sądzę, że transmutacja metali wymaga czegoś więcej niż tylko silnego słonecznego światła.

A jednak czegoś tu brakowało. Bez wyraźnego powodu Wayne odsunął się od relingu. Osłaniając oczy od słońca, przeszedł przez pokład i po metalowej drabince wspiał się na dach stajni. Pod nim dwadzieścia mułów i jucznych koni wierciło się niespokojnie w boksach, rżąc do siebie poprzez słupy jaskrawego światła. Wayne oparł się o wentylator i usiłował zidentyfikować to dziwne przecucie zagrożenia. Czyżby po długim rejsie przez Atlantyk tracił opanowanie na myśl, że wkrótce postawi nogę na amerykańskiej ziemi? Przeszukał wzrokiem takielunek i morze dookoła, spoglądając przez dym na brzegi Brooklynu i Jersey.

To ciekawe: jedynym całkowicie spokojnym człowiekiem na pokładzie był w tej chwili kapitan Steiner. Kiedy wszyscy stali przy relingu, witając okrzykami coraz bliższy ląd, Steiner tkwił nieruchomo obok sternika i przez lornetkę wpatrywał się w niewielki obszar wody jakieś sto metrów przed dziobem. Sprawdził prędkość i zerknął na Wayne'a niemal porozumiewawczo. „Apollo” gnał już niby dwunastometrowy słup, a stare maszyny jakby chciały rozerwać pokład. Konie chwiały się w boksach, rzucając kołysaniem statku. Steiner kazał wciągnąć na maszty każdy metr żagli, jak gdyby ów ostrożny wilk morski postanowił zakończyć rejs w stylu regatowym.

Mijali właśnie pierwszy z zatopionych statków uchodźców. Dziesiątki pordzewiałych kadłubów tkwiło w zatoce wokół przylądka Manhattanu, z masztami i nadbudówkami ponad wodą – relikty paniki sprzed wieku, gdy Ameryka w końcu porzuciła samą siebie. W mozaikach łuszczącej się farby na kominach Wayne rozróżniał barwy dawno zapomnianych linii: Cunard, Holland-America, P&O. Nawet SS „United States” leżał na burcie poniżej Baterii, przywołany z emerytury na Coney Island, by przewozić dziesiątki tysięcy Amerykanów, kiedy pustoszały miasta, a pustynia pełzała przez kontynent na wschód. Ujście East River blokowała flotylla zatopionych frachtowców, ostatnia żałobna flota wycarterowana z portów całego świata i porzucona tutaj, kiedy nie pozostało już paliwa, by



umożliwić im rejs przez Atlantyk. Port nowojorski stał się siedliskiem strachu, zmęczenia i rozpacz. Wayne spoglądał poprzez zasłony tęczowego wodnego pyłu, jaki wznosił się ze sterburty. „Apollo” zmienił kurs, by wyminąć pochylony pokład startowy USS „Nimitz”. Ogromny lotniskowiec z napędem atomowym został tu zatopiony przez zbuntowaną załogę, która odmówiła strzelania do tysięcy łodzi i naprędce skleconych tratw, blokujących mu wyjście z portu. Wayne pamiętał fotografie i filmy z tych ostatnich, szalonych dni ewakuacji Ameryki. Spóźnieni, całe ich miliony ze Środkowego Zachodu i stanów wokół Wielkich Jezior, przybyli wtedy do Nowego Jorku. Szli przez ulice Manhattanu, o kilka dni tylko wyprzedzając słońce i pustynię, by przekonać się, że odpłynęły ostatnie statki ewakuacyjne.

– Kapitanie Steiner! Jesteśmy na miejscu, kapitanie! Nie musi pan łamać nam karków...

Fala chlapnęła nad dziobem i Orłowski wytarł rękawem twarz. Raz jeszcze krzyknął do kapitana, lecz jego głos ginął w huku silników, ryku z komina, trzasku wilgotnych, pokrytych sadzą żagli.

Steiner nie zwracał na komisarza uwagi. Kołysał się lekko na mocnych nogach i jak zahipnotyzowany wbijał wzrok w pełną wraków wodę przed dziobem. Przypominał operetkowego szalonego marynarza. „Apollo” skakał przez fale jak delfin. Wayne przyłgnął do rury wentylacyjnej ponad zaleźnionymi końmi. Popołudniowe słońce świeciło w oczy z tysięcy milczących okien, z płynnego niemal złota wypełniającego ulice. Wayne pomyślał nagle, że może wszystkie rezerwy Fortu Knox leżą tu na nabrzeżach, porzucone przez ostatnie jednostki wojskowe przed odpłynięciem do Europy.

– Kapitanie Steiner! Trzy sążnie!

„Apollo” przemierzał ostatni skrawek wody, a na dziobie dwaj marynarze usiłowali rzucić sondę.

– Kapitanie! Ostro na bakburtę! Przed nami rafa!

– Zwrot, kapitanie! Rozerwiemy dno!

– Kapitanie...?

### III

## Zatopiona syrena

Marynarze biegali w panice po pokładzie. Bosman wpadł na Ricciego, który zachwiał się i odskoczył od relingu. Profesor Summers ostrzegawczo pomachała do Steinera, a dwóch kadetów wspinało się na wanty grotmasztu, w niebie szukając bezpieczeństwa.

„Apollo” stracił pęd, jego prędkość spadła o połowę. Żagle obwisły i w ciszy Wayne słyszał tylko szum dymu walącego z rozgrzanego komina. Potem rozległ się cichy zgrzyt, jak gdyby stalowe ostrze drapało o kadłub. Statek zadrżał lekko i niby ranny wieloryb przechylił się na prawą burtę. Niemal nieruchomy na wodzie, skręcał powoli pod naporem wiatru; za rufą śruba wyrzucała w górę strugę wrzącej piany.

Wszyscy rzucili się do relingu. Konie w stajni stawały na nogi, a ich żalosne rzenie zagłuszało szum maszyn; Wayne zeskoczył na pokład i wcisnął się między Ricciego i Annę Summers. Marynarze krzyczeli coś do siebie i wskazywali wodę, ale Wayne obejrzał się na kapitana. Gdy sternik wstawał z pokładu, rozcierając potłuczone kolana, Steiner spokojnie przejął ster. „Apollo” obrócił się w prawo; żagle zwisły bezwładnie w słabnącym wietrze. Steiner patrzył na wieżowce Manhattanu, oddalone teraz mniej niż kilometr. Wayne miał wrażenie, że kapitan jest szczęśliwy. Czyżby pokonał Atlantyka, w tajemnicy postanowiwszy zatopić swój statek kilkaset metrów od celu, aby wszyscy zginęli, a on mógł samotnie szukać skarbów oczekującej go krainy?

– Tam leży, Wayne! Widzisz? – Poczł, że Anna Summers ściska go za ramię. – Tam jest śpiąca syrena!

Spojrzał w wodę. Śruba „Apolla” znieruchomiła i masa bąbli powietrza rozplynęła się w uderzających o burty falach. Obok statku leżała na plecach, jak panna młoda w małżeńskim łożu, statua ogromnej, przeciągającej się kobiety. Długa niemal jak „Apollo”, spoczywała na podłożu betonowych bloków – ruinie dna kanału. Jej klasyczne rysy znalazły się o niecały metr pod powierzchnią. Obmywane przez fale szare oblicze przypominało Wayne’owi zmarłą matkę. Tak wyglądała, kiedy stał przed otwartą trumną w kostnicy szpitala psychiatrycznego.

– Kto to jest, Wayne? – Anna Summers wpatrywała się w nieruchomą twarz posągu. W nozdrzach kobiety zagnieździła się kolonia homarów. Kiedy wynurzyły się ze swej dziedziny, by zbadać kadłub „Apolla”, Anna Summers potarła swój piękny nosek. – To musi być jakaś bogini...

Paul Ricci wcisnął się między nich.

– Jakieś miejscowe morskie bóstwo – poinformował gładko. – Amerykanie ze wschodniego wybrzeża czcili cały panteon podwodnych istot. Pamiętacie Moby Dicka, „Starego człowieka i morze” Hemingwaya czy nawet tego wielkiego białego rekina, pieszczotliwie zwanego Szczękami?

Anna Summers z powątpiewaniem przyglądała się posagowi. Odsunęła rękę od dłoni Ricciego.

– Dość dziwaczna forma kultu, Paul. Nie wspominając już o zagrożeniu dla żeglugi. – Po chwili namysłu dodała: – Mam wrażenie, że toniemy.

I rzeczywiście, rozległy się krzyki.

– Kapitanie, otwór w kadłubie! Nabieramy wody! – Bosman zebrał marynarzy. – Bierzcie się do pomp dziobowych! i przyłóżcie się, bo inaczej tu utkniemy!

Wayne oburącz uderzył pięściami o reling. Marynarze biegali obok, a on śmiał się głośno. Wreszcie sobie uświadomił, czego zabrakło w tym wyśnionym obrazie nowojorskiego portu, jaki przywiózł z sobą z tamtej strony Atlantyku.

– Wayne, na miłość boską... – Anna Summers próbowała go uspokoić. – Będziemy musieli pływać, rozumiesz?

– Wolność! Nie pamięta pani, pani profesor? – Wayne wskazał brzeg Jersey, gdzie w głównym kanale wyrastała skalista wysepka. Jeszcze teraz widać było szczątki klasycznego piedestału. – Statua Wolności!

Razem spojrzeli w wodę przy burcie „Apolla”. Zniknęła pochodnia, trzymana wysoko i wskazująca drogę całym pokoleniom imigrantów ze Starego Świata, jednak korona nadal tkwiła na czole postaci. Jeden z promieni pozostawił dziesięciometrową wyrwę w kadłubie „Apolla”.

– Masz rację, Wayne! Boże, ale przecież i tak toniemy! – Anna Summers rozejrzała się przerażona, sięgając dłonią do blond włosów. – Nasz sprzęt, Paul! Co się dzieje ze Steinerem?

Pierwsze strugi rdzawej wody popłynęły z otworów pomp przy fokmaszcie. Orłowski wrzeszczał na kapitana, oskarżycielsko grożąc swym pulchnym palcem. Ale Steiner stał obojętny po mostku, a oczy błyszczały mu zadowoleniem. Nie zwracał uwagi na komisarza ani pandemonium rozgrywające się na pokładzie. Spokojnie mówił coś do mosiężnej rury, łączącej mostek z maszynownią.

Za rufą dwuramienna śruba uderzyła o wodę, a komin wypluł kłąb ciężkiego czarnego dymu. „Apollo” ruszył przed siebie, pochylony niezgrabnie na burtę. Zimna woda z pomp ściekała po pokładzie do szpigatów, chlupocząc wokół kostek Wayne’a. Ricci i Anna Summers cofnęli się, ale Wayne wciąż patrzył na oddalający się olbrzymi posąg. W szczytowym momencie ewakuacji Ameryki, pod osobistym nadzorem prezydenta Browna, Statuę Wolności zdjęto z postumentu i przygotowano do transportu do nowych amerykańskich kolonii w Europie. Jednak nagły sztorm zerwał cumy i drewniany stateczek zbudowany specjalnie do przewiezienia posągu podryfował przez zatokę i stracił dziób na ostrym jak brzytwa kilu zatopionego frachtowca. W chaosie ostatnich dni ewakuacji nie ustalono dokładnie położenia statuy i pozostawiono ją, by rozpadła się pod uderzeniami zimnych fal następnego stulecia.

A zatem wyprawa dokonała już swojego pierwszego odkrycia!

W tej właśnie chwili, gdy okaleczony „Apollo” z pokładem dziobowym zalewanym wodą z pomp włókł się w stronę nowojorskiego portu, Wayne postanowił notować w dzienniku wszystkie niezwykle wizje, jakie napotka podczas kolejnych miesięcy. Pierwszą będzie obraz jego zmarłej matki śpiącej pod falami. W odpowiednim czasie przekaże te zapiski doktorowi Flemingowi, dawnemu i przyszłemu ojcu, którego odszuka gdzieś w Ameryce, czekającego na syna w złotych rajach zachodu.

## IV Potajemne ładunki

Łąd! „Apollo” pokonał wreszcie labirynt wraków u ujścia rzeki Hudson i dobił do plaży obok dawnego mola Cunarda. Uspokojeni rytmiczną pracą pomp i pewnością, że jeśli nawet statek zatonie, potrafią dopłynąć do brzegu, pasażerowie i marynarze ucichli. Kiedy „Apollo” wbił swój poraniony dziób w mokry piasek, wszyscy zebrali się przy relingach, spoglądając na jaskrawe nabrzeża, na milczące miasto z ogromnymi wieżowcami i pustymi ulicami, z milionami okien oświetlonych popołudniowym słońcem.

Dostrzegali już wydmy pokrywane podłoża tych pustych wąwozów. Warstwa piasku sięgała grubością trzech metrów, od stu lat nie tknięta ludzką stopą, wygładzona wiatrem i pokryta cienką powłoką złotego pyłu. Dla Wayne’a była niczym latający dywan, metalizowany baśniowy sen dzieciństwa. Wstrzymał oddech, kiedy cofająca się fala opuściła kadłub w przybrzeżny muł. Modlił się w duchu, by cisza na pokładzie nie zmieniła się w nagły poryw chciwości.

Bogactw wystarczy dla wszystkich, złota więcej niż wymarzyli sobie Kolumb, Cortez i konkwistadorzy. Wayne wyobraził sobie załogę i pasażerów w paradnych zbrojach, siebie w haftowanym kaftanie i pantalonach, Annę Summers w lśniącym napierśniku i spódniczce ze złotych liści, Steinera w złocistym płaszczu na mostku nowego, wykładanego złotą blachą „Apolla”, gotowego do tryumfalnego powrotu do Plymouth i Starego Świata...

Zahuczała okrętowa syrena: trzy długie sygnały, od których pękały bębniaki. Dźwięk odbił się od milczących drapaczy chmur, sięgnął do Central Parku i zamilkł w dali, wśród ulic Manhattanu. Wayne nasłuchiwał cichnących ech. W pewien sposób ten szorstki dźwięk wyznaczył prawdziwy moment ich przybycia, uwolnił wszystkich od rejsu przez Atlantyk, zamknął za nimi przeszłość. Przygotowywali się teraz do zejścia na brzeg. Jak imigranci z dawnych dni, każdy z nich wiózł niewielki, bezcenny bagaż, tobolek nadziei i ambicji do wymiany na możliwości tej nowej ziemi.

McNair myślał o złocie. Stał na dziobowym pomoście manewrowym obok pokrywy bunkra i ścierał z brody czarny antracytowy pył. Spoglądał na nabrzeże Cunarda i całkiem inny pył, pokrywający rozświetlone wydmy. Piasek wyglądał teraz niemal jak płynny brąz. Morze pustyni, które zalało Manhattan i zakrzepło wokół wieżowców. Stuletnie ataki wrogiego klimatu rozszczepiły Appalachy i wyrwały złoto z podziemnych żył.

Zastanawiał się, w jaki sposób najlepiej zebrać złote żniwo. Zamiast naruszać powierzchnię szpadlem i łopatą czy mechanicznym wybierakiem, potrzebowali raczej zmodyfikowanego kombajnu. Jechałby po wydmach, a specjalne ukośne ostrza zbierałyby tylko cenną górną warstwę piasku.

Przyglądał się ogromnym budynkom, gigantycznym pasom betonowych dróg i wiaduktów. To prawda, zaskoczył go rozmiar wiszącego mostu nad cieśniną, wielkość starego „United States” i „Nimitza”. Ale zdążył już odzyskać dawną zadziorność i zamierzał na własnych warunkach zmierzyć się z tym kontynentem. Lata studiów w szkole inżynierii morskiej i w stoczniach Glasgow nie pójdą na marne. Opanował większą część wiedzy niezbędnej do ożywienia tego uspiętego olbrzyma, rozbudzenia linii kolejowych, tam i mostów. Komputerowcy i magicy komunikacji mogą przyjść później, kiedy podstawowe mechanizmy zagrają już równym rytmem.

W ciągu ubiegłego wieku niewielka kolonia amerykańska w Szkocji niemal całkowicie zasymilowała się z miejscową społecznością, ale McNair zawsze wiedział, że pewnego dnia powróci do Stanów Zjednoczonych. Potrzebował wielkości i skali tego kraju, by odnaleźć swoje prawdziwe talenty, dalece przekraczające umiejętności zwykłego mechanika okrętowego. Pochodził z rodziny, której korzenie sięgały wspaniałej techniki amerykańskiej przeszłości: jeden z jego przodków pracował w zespole NASA, który wysłał na Księżyc Neila Armstronga.

Kiedy ogłoszono, że jest wolne stanowisko na pokładzie „Apolla”, McNair służył jako drugi mechanik na rudowęglowcu kursującym między Murmańskiem a Newcastle. Oferta nikogo nie zainteresowała, ale McNair zgłosił się bez namysłu, choć wiedział, że nie wyruszy z innymi w głąb ładu. Teraz, kiedy przeprowadził statek przez Atlantyk, gotów był zejść na brzeg i wziąć się do pracy.

Złoto było tylko szczęśliwym losem, sygnałem, żeby do końca trwał przy swoich obsesjach. Paliwa kopalne, węgiel, gaz i ropa, mogły się tu wyczerpać, jednak Ameryka zawsze trzymała jakiegoś asa w rękawie. McNaira nie interesowała zdobnicza czy monetarna wartość złota, chyba że w oczach innych ludzi. Wiedział, że od biednych krajów południowej Afryki i Ameryki Południowej zdoła za nie kupić węgiel, boksyty, drewno i rudę żelaza.

Pewnym wzrokiem mierzył puste miasto. Przypomnił sobie, że głównym celem wyprawy było ustalenie przyczyn wykrytego w ostatnich latach niewielkiego, ale znaczącego wzrostu radioaktywności atmosfery nad kontynentem amerykańskim. Być może, reaktor którejś ze starych elektrowni jądrowych zaczął niebezpiecznie przeciekać albo rdzewiejąca głowica bojowa na zapomnianej wyrzutni osiągnęła masę krytyczną. Nieważne, jaki był powód – możliwości są oszałamiające. Pomyślał o dwójce fizyków, Riccim i Annie Summers, zapatrzonej w liczniki Geigera. Gdyby tylko zdołali okiełznać tę uśpioną energię nuklearną, potrafiliby naprawdę rozbudzić uśpionego giganta, rozpocząć ni mniej, ni więcej tylko trzecią rewolucję przemysłową.

W Orłowskim, który stał na rufie i nie spuszczał oka z kapitana Steinera, widok pustych drapaczy chmur Manhattanu budził o wiele większe ambicje. Przede wszystkim Orłowski wcale nie chciał wyruszać na tę wyprawę. Spędził dwa udane, ale trudne lata, otwierając nowe arktyczne złoża węglowe na Nowej Ziemi. Spodziewał się więc wygodnego biurka w moskiewskiej siedzibie Ministerstwa Zasobów Naturalnych. Pamiętał, że w biuletynie ministerstwa czytał o wakującym stanowisku szefa ekspedycji, jednak myśl o tym odrzucił natychmiast. Tylko głupiec chciałby przez sześć miesięcy włóczyć się po pustynnym kontynencie amerykańskim, po zapomnianej dziczy równie odległej jak Patagonia.

Owszem, obawiano się przecieków promieniotwórczych – znad Atlantyku przyplęły ostatnio niewielkie chmury opadu radioaktywnego – jednak kilka ekspedycji rozpoznawczych nie znalazło niczego wartościowego: kraina ogołocona z węgla i ropy przez chciwy naród. Wyprawa Fleminga sprzed dwudziestu lat zakończyła się katastrofą, jej członkowie zaginęli wśród słonych pustkowi Tennessee, wcześniej z niewyjaśnionych przyczyn porzucając zaplanowaną trasę. Misja ratunkowa wysłana cztery miesiące później znalazła porzucony obóz pod Memphis i szlak szkieletów ogryzionych przez jaszczurki i gryzonie.

Z oczywistych powodów zapadła decyzja, by wszelkie kolejne wyprawy prowadził polityczny przywódca, którego głównym zadaniem będzie trzymanie za uzdę impulsywnych naukowców.

Ktokolwiek, uznał Orłowski. Może jechać ktokolwiek, byle nie Grigorij Orłowski. Jednak ku jego irytacji, jakiś bezimienny rywal w ministerstwie odkrył jego amerykańskie pochodzenie. Jego pradziadowie powrócili z Filadelfii do rodzinnego domu na Ukrainie na pokładzie pierwszego statku z emigrantami, zmienili nazwisko z Orwellów z powrotem na Orłowskich i szybko przyzwyczaili się do rosyjskiego życia.

Zanim zdążył zaprotestować, Orłowski znalazł się na nabrzeżu portowym w Plymouth w Anglii jako szef tego pozornie profesjonalnego, ale w istocie bardzo dziwnego zespołu. Podczas rejsu przez Atlantyk miał chwilami wrażenie, że kieruje grupą lunatyków. Tak jak i on, każdy uczestnik wyprawy miał amerykańskie pochodzenie, ale w przeciwieństwie do niego żaden nie starał się zaadaptować do życia w przyjętej na nowo ojczyźnie. Od dnia gdy opuścili port, był pewien, że każde z nich przemyciło na pokład jakiś potajemny ładunek. Jako doświadczony kierownik ekspedycji, potrafił wyczuć nielegalny alkohol, czarnorynkowe baterie elektryczne czy podejrzenie ciężką walizkę, wyłożoną węglowymi brykietami.

Szybko się jednak okazało, że biorą udział w wyprawie z powodów, które nic nie mają wspólnego z jej naukowym celem. Że prawdziwą kontrabandą jest ich zbiorowa fantastyczna wizja Ameryki. Schwytanie pasażera na gapę, młodego Wayne'a, podziało jak katalizator – wszyscy ci uciekinierzy w głąb własnych marzeń natychmiast wyszli na otwartą przestrzeń, zjednoczeni wspólną wizją „wolności”, ostatniej wielkiej iluzji dwudziestego wieku. Takie samo przekonanie, że zaczną nowe życie i spełnią swe sny, musieli odczuwać ich dalecy przodkowie, kiedy przechodzili przez sale imigrantów na Ellis Island.

Ale cóż takiego mogą znaleźć w pejzażu popiołów i kamieni, w tych pustych miastach, które kiedyś w ciągu jednego dnia zużywały więcej energii niż dzisiaj cała planeta przez miesiąc? Zapewne nikt z nich tego nie wiedział – z wyjątkiem Steinera, który ze spokojnym, pogodnym uśmiechem stał teraz na mostku tonącego statku. Żaden prawdziwy dowódca nie próbowałby zatopić swojego statku, a Orłowski był pewien, że Steiner świadomie rozerwał kadłub „Apolla” na podwodnym posągu. Rozproszone w zachodniej Europie amerykańskie społeczności wciąż oferowały niewielką nagrodę za ustalenie położenia Statuy Wolności... jednak motywacja Steinera jest bez wątpienia bardziej złożona.

Orłowski przypomniał sobie, jak wiele godzin kapitan i młody pasażer na gapę poświęcali na przeglądanie starych magazynów, niemal pijani od kolorowych ogłoszeń. Pamiętał też niezręczną sytuację przy chrzcie statku – oficjalnie „Statku badawczego 299”. Orłowski zaproponował nazwę „E.F. Schumacher”, jednak inni, zamiast go poprzeć, zaprotestowali zgodnie. Za namową Steinera jednogłośnie przyjęli propozycję Wayne'a: „Apollo”. Sentymentalny gest, zaproszenie, by myśleć o rzeczach wielkich zamiast przyziemnych, by sięgnąć aż do Księżyca. Orłowski tolerował to, sam lekko wzruszony świadomością, że w pewien sposób kopiuje wyprawę Armstronga. Ameryka będzie równie niegościnna jak Księżyc. A on sam musi uważać na wszystko, bo może się spodziewać wszelkiego rodzaju psychologicznych pułapek.

Tak, uznał. Jak najszybciej znajdzie źródło promieniotwórczego wycieku, przez radio zawiadomi o tym stację nasłuchu w Sztokholmie, a potem przy pierwszej okazji wróci do Europy. Zadanie neutralizacji zagrożenia pozostawi większej, lepiej wyposażonej ekspedycji.

A tymczasem spróbuje jak najlepiej wykorzystać spędzony tu czas. Zbierze trochę pamiątek dla Walentyny i dziewczynek (w dziwnym złocistym świetle na Brooklynie zauważył już znak firmowy starej stacji benzynowej Exxon, wart dobre parę rubli). A także opowieści, użyteczne na przyjęciach w ministerstwie. Ten posepny, pradawny krajobraz i martwe miasta... przez chwilę Orłowski wyobraził sobie, jak zostaje administratorem kolonii Nowego Jorku, prokonsulem tysięcy kilometrów kwadratowych pustynnej dziczy. Ta wizja uspokoiła go przed zejściem na brzeg. To wielki kraj i czeka na wielkiego człowieka, który by nim rządził...

Ścierając sadzę ze swych wąskich dłoni wspartych o reling na śródkręciu, doktor Paul Ricci myślał: A więc to jest, a raczej był Nowy Jork. Największe z miast dwudziestego wieku. Tutaj słyszało się bicie serca międzynarodowych centrów finansowych, przemysłu i rozrywki. A teraz oddalone od rzeczywistego świata jak Pompeje albo Persepolis. Boże święty, to skamielina zachowana na skraju pustyni niczym widmowe miasteczka Dzikiego

Zachodu. Czy moi przodkowie naprawdę żyli w tych głębokich wąwozach? W 1890 roku przyłączyli się do towarowego statku z Neapolu, a sto lat później towarowym statkiem do Neapolu wrócili. Teraz ja podejmuję kolejną próbę.

Mimo wszystko to miejsce prezentuje szerokie możliwości, ukrywa wiele rzeczy uspiionych, czekających na przebudzenie. Jak na przykład piękna profesor Summers. Teraz jest chłodna i obojętna, ale kiedy ruszymy w drogę, kiedy kurz pokryje nasze opalone ciała, kiedy w nozdrza uderzy zapach koni, kiedy pojawi się ślad zagrożenia, gdy będziemy szukać przecieku (z pewnością przebito rdzeń reaktora; tak się spieszyli, żeby się stąd wydostać, że nie zalali ich porządnie betonem)... Wtedy profesor Summers zmieni swoje zachowanie.

Gorąco tutaj, to prawda. Widać, jak faluje powietrze nad wydmami. Ale to i tak lepsze niż Turyn; ten drobny skandalik wokół Instytutowego Funduszu Bibliotecznego mógł lada chwila wybuchnąć. Musiałbym złożyć zeznanie i trudno by mi było ukryć swoją rolę w tej sprawie... Zawodowa niesława... I dziesięć lat jako chemik przemysłowy w zakładach obróbki żywności w Trieście, wieloosobowy pokój w hotelu, smród suszonych mątw... Nie, nawet to puste miasto jest lepsze. Cokolwiek dałoby się powiedzieć o tych ludziach, mieli w sobie wielkość i styl. Może stąd właśnie pochodził mój pradziad Ricci. Widzę go, jak sunie po Broadwayu w wielkim samochodzie... Jak oni nazywali te niklowane bestie? Aha, cadillaki.

Dla profesor Summers pierwsze wrażenie Manhattanu wciąż przyćmiewał szaleńczy wyścig „Apolla” po pełnej wraków zatoce i zderzenie z zatopionym posągiem. O co chodziło Steinerowi, temu niezwykłemu człowiekowi, którego przenikliwe, niepokojące oczy śledziły ją bez przerwy? Pusta metropolia, oddalona teraz o rzut kamieniem, budziła niepokój, jakby od samego początku starała się ją sprowokować. Nawet teraz Nowy Jork miał w sobie pewien szorstki czar, widmo energii i przedsiębiorczości twardych ludzi interesu, którzy wzniesli te drapacze chmur. Ona sama wychowała się w amerykańskim getcie w Berlinie. Tam nazywała się Anne Sommer, ale w Plymouth, pod wpływem nagłego impulsu, wróciła do angielskiej wersji swojego nazwiska. Nowy Jork zajmował szczególną pozycję we wspomnieniach uchodźców. Istniał nawet koktajl zwany Manhattanem, mieszanina whisky i wermutu. Rodowici Europejczycy zawsze pokpiwali z wulgarnych gustów przodków swych amerykańskich kuzynów, jednak Anna lubiła ulotny aromat „Manhattanu”, budzący zapomniane wizje eleganckich hoteli, limuzyn i gangsterów...

Pora wrócić do rzeczywistości. Ten „koktajl”, który widziała przed sobą, może wśród swych składników zawierać niebezpieczny promieniotwórczy izotop. Na szczęście podczas rejsu nie zaniedbywała pracy naukowej – pięć godzin dziennie, mimo morskiej choroby i protestów Ricciego. „Apollo” nie umożliwi im ucieczki w chwili zagrożenia, przynajmniej jeszcze przez dłuższy czas. Ostatnie raporty ze Sztokholmu sugerowały, że wektory opadu radioaktywnego w prądach powietrznych nad kontynentem amerykańskim biorą się z okolicy na południe od Wielkich Jezior: Cincinnati, czy może Cleveland. Nie powiedziała o tym Ricciemu, ale wykryto izotopy baru i lantanu, a te mogły pochodzić ze starej broni jądrowej, na przykład głowic bojowych taktycznych pocisków artyleryjskich. Może stuletnia korozja znalazła drogę do któregoś z atomowych arsenałów.

Tymczasem trzy razy dziennie będzie konsekwentnie prowadzić pomiary radiologiczne i sejsmograficzne, uważać na Ricciego (jest za sprytny i pewnie chętnie przypisałby sobie wszelkie sukcesy) i chronić przed tym barbarzyńskim słońcem swoją nieskazitelną białą skórę. Po co w ogóle zgłosiła się do tej ekspedycji? Opuściła małe, ale wygodne mieszkanko w Spandau; atrakcyjnego, choć zbyt poważnego kochanka, farmakologa w średnim wieku, zatrudnionego w Państwowej Spółdzielni Weterynaryjnej; dodatkową porcję mięsa raz w miesiącu. Ale mimo to potrzebowała oddechu, rozmachu, nawet marzeń. Unikając wzroku Steinera, spojrzała na ogromne, puste budynki z uwięzioną w nich brutalną siłą. Wiedziała, że dotarła do ostatniego miejsca na ziemi, gdzie marzenia wciąż mogą poszybować wysoko.

Kapitan Steiner stał samotnie na mostku, opierając zmęczony grzbiet o szprychy koła sterowego. Z ciekawości obserwował zachowanie swojej załogi i pasażerów; próbował odgadnąć, co zrobią za kilka minut. To był długi rejs, swego rodzaju oszustwo, i musiał podjąć wiele trudnych decyzji. Doprowadził jednak przeciekającego „Apolla”, tak jak planował, na piaszczysty brzeg obok mola Cunarda, w to samo miejsce gdzie kiedyś dokowały wielkie „królowe”. Statek pozostanie tu dostatecznie długo, by kapitan zdążył doprowadzić do końca swoją prywatną misję.

Steinerowi wciąż jeszcze lekko drżały ręce na wspomnienie ostatniego skoku przez zatokę. Na szczęście prądy nie przesunęły zatopionego posągu. Statua leżała na wprost „Nimitza”, dokładnie tak jak to opisał zdziecinniały kapitan statku badawczego w Genui. Steiner spędził z nim wiele godzin przepustek, cierpliwie pojąc go grappą. Wspomnił własne długie lata służby w izraelskiej flocie wojennej, kiedy patrolował staw Morza Śródziemnego, poszukując korsarzy OPEC. I mimo czekających go surowych wód Atlantyku, w istocie przygotowywał się nie na otwarte morze, ale na otwarty ląd. Na milczącą pustynię kontynentu Ameryki, tak niepodobną do pagórkowatych krajobrazów Izraela, Jordanu i Synaju.

Oczyszczał swój umysł z myśli o wszystkim prócz terenów leżących poza bramami miasta, otwartych wrót na końcach długich alei prowadzących na pustynny kontynent, ziemię rozległą jak oceany. Wkrótce sam będzie tam żeglował, on – potomek lekarzy z Phoenix i Pasadeny, który w głębi serca zawsze żałował, że nie pochodzi od pionierów i astronautów. Teraz powrócił do własnej krainy i niedługo znowu wskoczy na siodło, z jedną nogą w strzemieniu lądu, drugą – jeśli szczęście dopisze – w przestrzeni.



## Ku Suchemu Morzu

Wszyscy schodzili z pokładu na brzeg, a jego zostawiali tutaj! Zaskoczony powszechnym impulsem zejścia na ląd, Wayne stwierdził nagle, że jego dłonie wciąż ściskają reling, jakby Orłowski podkraść się od tyłu i zatrzasnął na nich kajdanki. Podniecenie ogarnęło zarówno załogę, jak i członków ekspedycji, wybuchło długo tłumione pragnienie, żeby wreszcie stanąć na amerykańskiej ziemi. W jednej chwili wszyscy patrzeli na drapacze chmur i zasypane piaskiem ulice, w następnej równocześnie rzucili się do schodni... Marynarze zostawili pompy, skoczyli do kajut i wybiegli na pokład z workami i walizkami, gotowi splądrować wszystkie sklepy w mieście.

Jedynie Orłowski odwrócił się plecami do brzegu. Tupał nogą i przez podręczny megafon krzyczał do kapitana:

– Steiner! Proszę powstrzymać swoich ludzi! Nie umie pan zapanować nad własną załogą? Kapitanie!

Ale Steiner z pogodną miną opierał się o koło sterowe, niczym tolerancyjny gondolier obserwujący schodzącą z jego łodzi grupę skorych do zachwyków turystów.

McNair pierwszy stanął na brzegu. Wspiął się na wanty fokmasztu i z dzikim, szkocko-amerykańskim okrzykiem bojowym zeskoczył na piasek. Po uda wpadł w błoto, wyrwał się i ruszył po mokrym piasku w górę. Wszyscy stojący przy schodni obserwowali go uważnie, czekając, czy coś się stanie. Dotarł na płytę rdzewiejącego moła i dalej pobiegł ku pierwszej z wielkich złotych wydm, zasypujących portowe uliczki. Tam pochylił się i zaraz potem Wayne zobaczył jego zabłocone dłonie, wyrzucające w górę fontannę złotego piasku. Po chwili złocista postać zniknęła za wzniesieniem, a stłumiony głos odbijał się echem między biurwocami.

W kilka minut marynarze ułożyli przez pas mułu tymczasowy pomost z desek i tratw ratunkowych, po czym ruszyli do miasta, machając do siebie walizkami. Za nimi zeszli na ląd uczestnicy wyprawy, Steiner zaś obserwował ich z pokładu opustoszałego „Apolla”. Orłowski szedł na Czele, w korkowym hełmie chroniącym przed słońcem jego łysą głowę. Kiedy zeszli z pokładu, powrócił mu dobry humor. Zerkał jednak na licznik Geigera w rękę Paula Ricciego, jakby się obawiał, że te milczące ulice trzeszczą od radioaktywności.

– To niezwykle – wyznał. – Czuję się jak Kolumb. Teraz powinni się zjawić tubylcy, niosąc tradycyjne dary: hamburgery i komiksy. Czy jesteśmy bezpieczni?

Anna Summers starała się uspokoić komisarza.

– Ależ drogi Orłowski, niech się pan nie denerwuje. Nie ma tu żadnych tubylców i w promieniu stu kilometrów ani śladu radioaktywności. Podstawowe zagrożenie to zderzenie z zaparkowanym samochodem.

Ricci przyklęknął na drobnym piasku. Nabrał go w dłoń, uważnie badając wzrokiem ślady stóp pozostawione przez McNaira.

– To zadziwiające, Anno. Nawet stąd wygląda to jak złoto. Może warto zrobić analizę... Dziś wieczorem chciałbym zarezerwować na godzinę spektrometr.

Wayne poszedł za nimi. Nie mógł się już doczekać. Obejrzał się jeszcze na Steinera, który ruchem ręki wskazał mu miasto. Wayne'a niepokoiły jego niezrozumiałe motywy.

Kiedy Anna Summers przystanąła, by otrzepać ręce z piasku, przycisnął się pomiędzy nią a Riccim.

– Wayne! – Orłowski chwycił go za ramię. – Niczego nie dotykaj! Pamiętaj, że jesteś tu nielegalnie. Na tej półkuli nie masz oficjalnego statusu.

Wayne wyrwał mu się ze śmiechem. Po raz pierwszy czuł, że są sobie równi.

– Daj spokój, Gregor. Przed nami cała Ameryka!

Pomknął ku rozległym wydmom, wysypującym się z ulic w misę doków. Lśniący piasek ruszył mu na spotkanie, ciepłe zbocze migotało w słońcu jak złota pierś, na którą rzucił się szczęśliwy.

Przez następne oszałamiające i nerwowe godziny kontynuowali pierwszą wycieczkę do opustoszałego miasta. Wayne brnął bezwietrznym, zasypnym piaskiem kanionem, który był kiedyś Siódmą Aleją. Szybko odkrył, że jeśli nawet gdzieś w Ameryce ulice brukowane są złotem, to na pewno nie na Manhattanie. Złoty dywan, który zdawał się okrywać miasto skarbami przekraczającymi sny konkwistadorów, okazał się całkowitą iluzją. Słuchając dalekich pokrzykiwań marynarzy, trzasku wybijanych szyb barów i sklepów, uświadamiał sobie, że otacza go ocean piasku, lśniący złocisty pył rozgrzany bezlitosnym słońcem.

Stał w popielniku gigantycznego, słonecznego pieca. Żał mu było McNaira, jednak iluzja spełniła swoją rolę, pozostawiła wszystkim wyraźne wspomnienie pierwszej wizji Ameryki. Jednocześnie złocisty żar dookoła przypominał mu o własnych rozczarowaniach. Wayne spodziewał się, że ulice będą zastawione lśniącymi samochodami – fordami, buickami i chryslerami, których ekstrawaganckie linie studiował w starych magazynach, symbolami szybkości i stylu Stanów Zjednoczonych, archetypicznymi czarnymi charakterami kryzysu energetycznego.

Jednak wydmy miały przynajmniej trzy metry głębokości i sięgały do pierwszego piętra budynków. Połowa Appalachów rozsypała się od żaru, by uwolnić ten potop kamieni i pyłu. Z piasku wystawały znaki drogowe i światła, pordzewiała metaliczna flora, na wysokości pasa biegły stare linie telefoniczne, znacząc labirynt przejść dla pieszych. Tu i tam w zagłębieniach wśród wydm widać było szklane drzwi barów i sklepów z biżuterią; mroczne wnęki niby podziemne jaskinie.

Wayne szedł Broadwayem, mijając hotele i fasady teatrów. Pośrodku Times Square olbrzymi kaktus saguaro wznosił w gorące powietrze dziesięciometrowe ramiona, niby strażnik pilnujący wejścia do rezerwatu przyrody pustyni. Gąszcze bylicy zwisały z neonów, jakby cały Manhattan został przerobiony na plan największego westernu. Opuncje kwitły w oknach banków i urzędów, juka i mimozy ocieniały drzwi przedstawicielstw linii lotniczych i biur podróży.

Na skrzyżowaniu Piątej Alei i Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy Wayne przystanął, by odpocząć trochę po wspinaczce na zbocza wydm. Kiedy opierał się o zakurzone ślepie sygnalizatora świetlnego, coś błysnęło nagle za przysypanym neonem na budynku pięć metrów od niego. Z cienia wynurzyła się niewielka, ale wyraźnie jadowita jaszczurka – haloderma sprawdzająca, czy ten zabłąkany młody człowiek nadaje się na ofiarę.

Wayne kopnięciem sypnął jej w oczy piaskiem i rzucił się do ucieczki. Po obu stronach kwitło utajone, ale bogate życie pustyni. Skorpiony kręciły się jak nerwowi urzędnicy w oknach dawnych agencji reklamowych. Wąż wygrzewający się u wejścia do wydawnictwa obserwował zbliżającego się Wayne'a, po czym rozwinął się w mroku i czekał cierpliwie między biurkami niby bezlitosny redaktor. Grzechotniki wypoczywały wśród ostów na parapetach agencji aktorskich, potrząsając na Wayne'a grzechotkami, jakby kończyły trudne przesłuchanie.

Wayne kierował się do Central Parku. Już teraz widział rzędy kaktusów, przekształcające ten zielony niegdyś prostokąt terenu w skrawek pustyni, przestrzeń w barwach ochry i czerwieni, przeniesioną tu z Arizony i opuszczoną z góry na ziemię. Zlany potem, rozglądał się za którymś z hydrantów, będących kiedyś nieodłącznym elementem letniego folkloru

Nowego Jorku. W sporych Odstępach, podążając liniami systemu metra, morze docierało aż tutaj przez kanały burzowe i ścieki. Gaje miniaturowych tamaryszków i kłujące krzewy wyrastały z podziemnych garaży wielkich hoteli, sucha trawa i mimozowate krzewy porastały zasypane pasaża Rockefeller Plaża.

Szukając czegoś do picia, Wayne zawrócił i ruszył Piątą Aleją. Wspiął się na wydnię i przez okno na piętrze wszedł do wielkiego centrum handlowego. Piasek leżał pomiędzy kompletami mebli i ogrodowymi grillami. Rodzina eleganckich manekinów siedziała przy obiadowym stole, patrząc uprzejmie na woskowy posiłek i nie zważając na drobny piasek, kurz czasu, pokrywający ich twarze i ramiona.

Wayne postanowił wracać na „Apolla”. Starannie wybierał drogę przez chłodniejsze zagłębienia i siodła między wydmami. Już teraz czuł lekkie rozczarowanie, jak gdyby ktoś dotarł do Nowego Jorku tuż przed nim i ukradł jego marzenia. Poza tym było coś makabrycznego w widoku tej przysypanej piaskiem bezludnej metropolii. Starożytne pustynne miasta Egiptu i Babilonu dzieliła od zwiedzających bezpieczna otchłań tysiącleci. Ale mimo zardzewiałych neonów Nowy Jork wydawał się zachowany bez skazy, jego drapacze chmur porzucone zaledwie wczoraj.

Raz jeszcze zatrzymując się na odpoczynek, Wayne wszedł oknem do sporego biurowca, w długą cieniastą promenadę, w której setki biurek stały w równych szeregach, każde z telefonem i maszyną do pisania, jakby nocą okupowały je legiony widmowych sekretarek. Myśląc o ekspedycji Fleminga, podniósł słuchawkę. Oczekiwał niemal, że usłyszy głos swego dawno zaginionego ojca, nakazujący mu jak najszybszy powrót do bezpiecznej Europy.

Coś błysnęło po drugiej stronie ulicy i Wayne ukrył się za filarem okiennym. Na grzbiecie najbliższej wydmy wyrosła złota figura, istota o metalicznych ramionach i płonącej brodzie. Rozglądała się jak przerażone zwierzę, rozrzucając nogami piasek.

– McNair! – Wayne wyskoczył przez okno i pobiegł na spotkanie. – McNair, wszystko w porządku!

Mechanik oblepiony był piachem. Niemal metaliczna warstwa pokrywała jego brodę, koszulę i spodnie. Powitał Wayne’a zmęczonym gestem ręki.

– Witaj, Wayne. Co sądzisz o Ameryce? Przy okazji, znalazłeś jakieś złoto? Będziemy bogaci, załadujemy „Apolla” skarbami El Dorado, wymienimy je na trochę narzędzi i farby. To rdza, Wayne, rdza stuleci...

Wayne wyciągnął rękę w stronę zachodniego horyzontu.

– Nadal możemy znaleźć złoto, McNair. I srebro. Tam leży cała Ameryka.

– Świetnie. – Spękany złoty uśmiech rozciągnął wargi McNaira. – Doczepimy do statku koła i poześlujemy do Gór Skalistych.

Ironycznym salutem powitał mężczyznę na koniu, w czapce z daszkiem nad okularami słonecznymi, który wynurzył się zza gigantycznego kaktusa na skrzyżowaniu.

– Słyszał pan, kapitanie? Jest pan gotów do rejsu? Płyniemy na Złote Wybrzeże. Stawiamy żagle i z pierwszą falą ruszamy na zachód...

Gwałtownie kopnął w ziemię, unosząc fontannę piasku. Potem kiwnął głową obojętnemu niebu i milczącym ulicom, gotów zaatakować wszystko, co się poruszy.

Steiner zbliżył się wolno, łagodnie popędzając czarną klacz w górę zbocza. Jego smągła twarz ukryta za ciemnymi okularami nie wyrażała niczego. Wayne pomyślał, że mimo marynarskiego kostiumu Steiner lepiej się chyba czuje w siodle niż na mostku „Apolla”. Upał i blask pustyni, klacz niespokojnie grzebiąca kopytem w piasku, wielki kaktus za plecami kapitana, wszystko to sprawiało, że Steiner przypominał raczej trapera z dawnego Dzikiego Zachodu.

– Ta fala się nie cofnie, McNair... Jeszcze przynajmniej przez milion lat. Wracajmy na statek. Pomóż mu, Wayne.

Zwinięte lasso wisiało mu u siodła. Czyżby śledził McNaira po piasku ulic, by schwytać go i związać niby przestraszonego byczka spłoszonego własnym cieniem? Po drodze do „Apolla” Wayne przyglądał się kapitanowi z nowym szacunkiem. Grupy marynarzy powracały na statek, niektórzy pijani zdobyczną whisky, taszcząc przeładowane walizy. Któryś ciągnął za sztuczne włosy epoksydowy manekin nagiej kobiety, wystawową lalkę z rodzaju od lat nie znanego w Europie, gdzie obowiązywało racjonowanie odzieży. Orłowski czekał przy molo, swobodnie wachlując twarz znalezionym stetsonem. Ricci skarżył się nerwowo Annie Summers, która brnęła dzielnie przez wydmy, przytrzymując kok, babciny węzeł, który mógłby uwolnić jej skrywaną amerykańską duszę.

Spokojny w siodle, Steiner podążał na końcu. Odczekał, aż wszyscy powrócą bezpiecznie na pokład – jakby chciał ich tu porzucić i samotnie wyruszyć przez morze piasku pustego kontynentu.

## VI Wielka Pustynia Amerykańska

O siódmej wieczorem, kiedy wreszcie trochę się ochłodziło, niewielka grupa rekonesansowa wyruszyła przez ocienione ulice w stronę północno-zachodniej granicy pustego miasta. Steiner sam jechał na czele, a za nim Orłowski i Anna Summers. Wayne zamykał kolumnę na drobnym bułanku. Ricci został na statku, nadąsany po kłótni z kapitanem, który przyłapał go na próbie przemycenia na pokład ciężkiego pistoletu automatycznego, ukradzionego ze sklepu rusznikarza.

Na Manhattanie trwała cisza. Słońce sunęło ku zachodowi i wielkie budynki cofały się w mrok. Minęli most Waszyngtona i zatrzymali się, by spojrzeć na półtorakilometrowy kanał rzeki Hudson.

Przed nimi rozciągał się obszar piasku upstrzonego bylicą, plantacjami kaktusów i opuncji. Rzeka wyschła przed wiekiem, teraz była już tylko szerokim pustym korytem pełnym pustynnej roślinności, która przywędrowała tutaj z New Jersey. Surowy, ostry blask popołudniowego słońca ustąpił czerwonym barwom wieczoru.

Stali w milczeniu obok koni przy na wpół zasypanej szosie. Za wybrzeżem Jersey Wayne dostrzegał prostokątne sylwetki samotnych budynków i ich oświetlone słońcem fasady podobne do skalnych ścian w Monument Valley. Już teraz dotarli do realistycznej repliki Utah czy Arizony.

W pobliżu stał pięciopiętrowy biurowiec, którego szklane drzwi już dawno zostały rozbite. Tam uwiązali konie, po czym wspięli się schodami wokół szybu windy aż na dach. Razem spojrzeli na pustą krainę, niczym potencjalni nabywcy wystawionego na sprzedaż pustkowie.

– To pustynia... – Gestem wyrażającym szacunek Orłowski zdjął z głowy i przycisnął do piersi stetsona. – Nic oprócz piasku, pewnie aż do Pacyfiku.

Anna Summers osłoniła oczy przed słońcem, rozciętym w połowie linią horyzontu. Purpurowy blask wymalował na jej twarzy rumieniec ożywienia, jakby była rekonwalescentką, której zdrowie poprawia się wyraźnie już po pierwszym dniu spędzonym w pustynnym uzdrowisku.

– Niezwykły, a jednocześnie znajomy widok. Wydaje mi się chwilami, że już tu kiedyś byłam. Wiedzieliśmy przecież, Gregor, że klimat się zmienił.

– Ale nie aż tak. To jak Sahara w dwudziestym wieku. Utrudni nam zadanie; nie mamy wyposażenia odpowiedniego na tego rodzaju tereny. Co pan na to, kapitanie?

Steiner zdjął ciemne okulary i patrzył poza wyschniętą rzekę. Mocno opalona twarz nabrała jastrzębich rysów, oczy zapadły się w głąb oczodołów pod ogorzałym czołem.

– Nie zgadzam się, komisarzu – odpowiedział spokojnie. – Tym większe jest wyzwanie. Prawda, Wayne?

Wayne rozumiał to doskonale. Następnego ranka Orłowski i Anna Summers kierowali wyładunkiem sprzętu ekspedycji. Wayne przyłączył się do grupy uzbrojonych marynarzy, którzy mieli zbadać okolice Nowego Jorku. Pod dowództwem Steinera wyjechali na piętnaście kilometrów w głąb pustyni, w spalone słońcem pustkowie rozciągające się aż do Catskills, a prawie na pewno również dalej. Tu i tam, w Jonkers i Bronksie, trafiali na źródła świeżej wody w ściekach pod autostradami, czasem na kępkę poszarpanych palm

daktylowych wyrastających ze splekanego dna motelowego basenu. Jednak te oazy były zbyt rzadkie, by wystarczyły na długą wyprawę w głąb lądu.

Widoki pustyni tylko dodawały Steinerowi zapału. Odżywały jego długo uspięone zdolności przetrwania w świecie suszy. Ale i na nim, jak na wszystkich, silne wrażenie wywierał obraz tego potężnego niegdyś kraju, leżącego w ruinie, zasypanego pyłem i rozgrzanego słońcem. Przejechali przez ciche przedmieścia Nowego Jorku, przez chwiejną konstrukcję Mostu Brooklyńskiego na Long Island, wreszcie przez suche widmo rzeki Hudson na brzeg Jersey. Nieskończony ciąg domów pozbawionych dachów, opustoszałych centrów handlowych, zasypanych piaskiem parkingów – wszystko to odbierało im spokój. Kryjąc się przed południowym żarem, Wayne i marynarze spacerowali po pustych supermarketach, gdzie półki wciąż jeszcze ugięły się pod ciężarem puszek, których zawartości nikt już nie potrafił ugotować. Wspinali się na górne piętra luksusowych bloków mieszkalnych, które stawały się lodowniami podczas północnoamerykańskich zim. Wszędzie wkroczyła pustynia, kaktusy rosły w ocienionych podjazdach ufortyfikowanych stacji benzynowych, krzaki głogu opanowały podmiejskie ogrody. Na lotnisku Kennedy'ego setki porzuconych odrzutowców stało na dziurawych oponach, mimozy i opuncje przebijały się przez skrzydła nieruchomych concordeów i 747.

Wszędzie dookoła spotykali liczne dowody rozpaczliwej walki ostatnich Amerykanów z kryzysem energetycznym. We wspaniałym niegdyś krajobrazie szerokich autostrad, fabryk i wieżowców istniał drugi, nędzny świat metalowych szafasów wyposażonych w piecyki na drewno; żalozne, domowej roboty baterie słoneczne zdobiły dachy skromnych domków niby ambitne konceptualne rzeźby; naprędce sklecone koła wodne na zawsze już utkwiły łopatkami w piachu zasypującym koryta strumieni. Tysiące ręcznie robionych wiatraków wzniesiono na podwórzach i podjazdach, wycinając łopatki z korpusów lodówek i pralek. Groźnie wyglądały ulice Queens i Bronxu ze stacjami benzynowymi jak fortece, z rządowymi punktami zaopatrzenia w wodę budowanymi jak blokhauzy, ze szczelinami strzelniczymi wciąż jeszcze widocznymi wśród rozpadających się worków z piaskiem.

I wszędzie – ku uldze Wayne'a – były samochody. Stały zderzak w zderzak, rdzewiejące skorupy zamienione w metalowe schrony dla dzikich kwiatów wyrastających przez wybite szyby. Pod maskami mieszkwały oposy i susły.

To właśnie samochody najbardziej Wayne'a zdziwiły. Jako dziecko w Dublinie karmił się marzeniami o Ameryce pełnej maszyn – ogromnych niklowanych mastodontów o chłodnicach niczym fasady świątyń. Ale pojazdy, jakie spotykali na ulicach, były małe i ciasne, jakby zaprojektowane dla rasy karłów. Wiele z nich wyposażono w butle gazu czy spalarki węgla drzewnego, inne były antycznymi parowymi konstrukcjami z groteskowymi rurami i cylindrami.

Kiedy Steiner i marynarze wrócili na „Apolla”, Wayne zsiadł z konia przy zasypanym salonie samochodowym na Park Avenue. Całe upalne popołudnie spędził rozkopując wielką wydmy, która zasypała wystawione pojazdy, konserwując wciąż lśniący nikiel i farbę. Otworzył drzwiczki jednego z tych miniaturowych wehikułów, cadillaca seville długości niecałych dwóch metrów. Usiadł za kierownicą i czytał instrukcje umieszczone poniżej brązowego medalionu General Motors: ostrzeżenia przed nadmiernym przyspieszaniem, jazdą z prędkością powyżej pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, zbędnym hamowaniem.

Wayne zaśmiał się głośno sam z siebie. Gdzie się podziały cadillaki i continentale dawnych lat? Na jakie wygnanie trafił prawdziwie imperialny splendor?

## VII

### Lata kryzysu

Nie mogli zasnąć. Długo w nocy siedzieli razem na pokładzie, załoga i pasażerowie. W ciepłym blasku światła pozycyjnych Wayne słuchał, jak Orłowski, Steiner i Anna Summers omawiają nowe plany wyprawy. Po dwóch dniach w Nowym Jorku wciąż starali się zrozumieć dramatyczne zmiany klimatu, które wyjąłowały tę potężną niegdyś i żyzną krainę.

Jak przypomniał Orłowski, pierwsze groźne sygnały zbliżającego się załamania i upadku Ameryki były widoczne już w połowie dwudziestego wieku. Wtedy to kilku przewidujących naukowców i polityków ostrzegało, że rezerwy energetyczne świata – w szczególności węgiel, ropa naftowa i gaz ziemny – są zużywane w rosnącym tempie, co doprowadzi do ich całkowitego wyczerpania jeszcze za życia wnuków ludzi współcześnie żyjących. Nie warto chyba przypominać, że ostrzeżenia te zostały zignorowane. Mimo pojawienia się ekologicznych grup nacisku i ruchów przyjaznej technologii, industrializacja planety, a zwłaszcza krajów rozwijających się, postępowała bezustannie. Jednakże około roku 1970 źródła energii zaczęły się kończyć. Cena paliwa, do tej pory niewielka i stała część światowych kosztów produkcji, nagle wzrosła trzykrotnie, czterokrotnie, a w połowie lat osiemdziesiątych już dwudziestokrotnie. Międzynarodowa koordynacja poszukiwań nowych złóż naftowych pozwoliła na chwilową ulgę, jednak ponieważ produkcja przemysłowa Stanów Zjednoczonych, Japonii, Europy Zachodniej i bloku radzieckiego nie malała, w roku 1990 pojawiły się pierwsze oznaki nierozwiązalnego globalnego kryzysu energetycznego.

Niektóre z państw nie były w stanie zapłacić wciąż rosnącej ceny importowanej ropy; ich kwitnące niedawno gospodarki nagle się załamały. Egipt, Ghana, Brazylia i Argentyna musiały zrezygnować z ambitnych planów industrializacji. Porzucono śmiały zamiar irygacji Sahary Zachodniej, tama na górnej Amazonce pozostała nie dokończona. W ciągu jednej nocy przerwano prace przy ogromnym zespole portowym w Zanzibarze, który uczyniłby z tego miasta Rotterdam Afryki Środkowej. W innych częściach świata efekty kryzysu okazały się równie niepokojące. Na polecenie brytyjskiego i francuskiego rządu zaprzestano budowy mostu nad kanałem La Manche. Zbliżające się do siebie odcinki gigantycznego systemu połączonych wiszących przeseł dzieliło wtedy zaledwie półtora kilometra wody. Jednak od wyczerpania pól ropośnych Morza Północnego w końcu lat osiemdziesiątych stało się jasne, że przewidywany wzrost natężenia ruchu drogowego nigdy nie nastąpi.

Na całym świecie produkcja przemysłowa zaczęła spadać. Nastąpiło załamanie giełdy, a lecące w dół liczby na Wall Street, w Bourse i londyńskim City wskazywały na recesję głębszą jeszcze niż Wielki Kryzys z 1929 roku. W połowie lat dziewięćdziesiątych samochodowe giganty Stanów Zjednoczonych, Europy i Japonii zmniejszyły produkcję o jedną trzecią. Armie robotników straciły pracę, zbankrutowały setki producentów podzespołów, zamykano fabryki, a w zamożnych do niedawna dzielnicach ustawiały się kolejki po zasiłki dla bezrobotnych. Po raz pierwszy od niemal stu lat demografowie wykryli niewielki, ale zauważalny ruch ludności z miast z powrotem na wieś.

W roku 1997 wydobyto ostatnią baryłkę ropy z amerykańskiego złoża. Potężne rezerwuary, które przez cały dwudziesty wiek zaopatrywały gospodarkę USA i uczyniły ten kraj największą potęgą ekonomiczną świata, w końcu pokazały dno. Od tej chwili Ameryka musiała się opierać na coraz droższym imporcie. Ale główne rezerwy planety, na Bliskim Wschodzie i w Związku Radzieckim, także były na wyczerpaniu.

Wszystkie uprzemysłowione państwa globu wprowadziły ścisłe racjonowanie paliwa, agencje rządowe na najwyższych szczeblach skoncentrowały się na poszukiwaniu nowych źródeł energii. Z dziesięć amerykańskich firm zainicjowało alarmowe programy budowy opłacalnych systemów wykorzystania energii pływów, kreślono plany budowy tam, wiatraków i generatorów słonecznych we wszelkich możliwych odmianach. Podjęto też spóźnioną próbę ożywienia energetyki jądrowej, której rozwój w latach osiemdziesiątych zahamowały skutecznie antynuklearne grupy nacisku kilkunastu państw.

Jednakże te alternatywne źródła energii mogły zaspokoić najwyżej dziesiątą część potrzeb Stanów Zjednoczonych, Europy i Japonii. Cena paliwa w amerykańskich stacjach benzynowych wzrosła z dwudziestu centów za litr w 1978 do półtora dolara w 1985 i ośmiu dolarów w 1990 roku. Po wprowadzeniu racjonowania w roku 1993, czarnorynkowa cena benzyny przekroczyła dwadzieścia pięć dolarów za litr na atlantyckim wybrzeżu USA i sześćdziesiąt pięć dolarów w Kalifornii.

Koniec nastąpił szybko. W roku 1999 General Motors ogłosił bankructwo i przeszedł w stan likwidacji. Po kilku miesiącach za jego przykładem poszły Ford, Chrysler, Exxon, Mobil i Texaco. Po raz pierwszy od ponad stu lat w Stanach Zjednoczonych nie wytwarzano żadnych samochodów. W swym przemówieniu z okazji Millenium, wygłoszonym w roku 2000, prezydent Brown wyrecytował zgryźliwą tantrę, po czym oznajmił, że od tej chwili używanie prywatnych pojazdów z silnikami benzynowymi będzie nielegalne. Mimo tego dekretu panowało powszechne przekonanie, że po raz kolejny wydarzenia zdystansowały rząd USA. Na szosach Ameryki już dawno zamarł ruch drogowy. Zielsko po pas pleniło się w spękany beton nawierzchni kalifornijskich autostrad, miliony porzuconych samochodów rdzewiały na sflaczałych oponach w garażach i na parkingach całego kraju.

Nikt jednak nie przewidywał tak szybkiego upadku potężnego niegdyś narodu. Braki benzyny przygotowały społeczeństwo do racjonowania energii elektrycznej, które ogłoszono wkrótce potem. Ludzie nauczyli się tolerować częste wyłączenia, nagle przygasanie ekranów telewizorów, przerwy w dostawach wody i żywności, długie marsze i jazdę na rowerach do szkół, biur i na zakupy.

Kiedy jednak w pierwszych miesiącach 2000 roku ruch uliczny zamarł ostatecznie, kiedy ciszę ulic zakłócały tylko nieliczne miejskie autobusy i wozy pancerne przewożące dostawy żywności, cały naród jakby nagle utracił swoją żywotność, wiarę w siebie i przyszłość. Widok milionów porzuconych samochodów wydawał się ostatecznym wyrokiem klęski na ludzką wolę walki.

Przez kolejne dziesięć lat życie w Stanach Zjednoczonych powoli zamierało pośród nie mających końca wyłączeń i racjonowania energii, której użytkowanie ograniczono do jednej godziny dziennie. Wszędzie padały zakłady przemysłowe, kolejno zwalniały i zatrzymywały się linie produkcyjne. Miasta pustoszały, gdyż ich mieszkańcy przenosili się stopniowo do małych miasteczek, do bezpieczniejszych wiejskich społeczności oddalonych od wszechobecnej w wielkich metropoliach przemocy i rabunku.

Mimo to, wobec braku jakichkolwiek źródeł energii, i tam egzystencja okazała się możliwa tylko na najbardziej prymitywnym poziomie. Mroźne zimy i upalne lata Środkowego Zachodu nadszarpane pewność siebie farmerów, których środki do życia zostały mocno naruszone przez uciekinierów z miast.

Pierwsi Amerykanie niechętnie pakowali już bagaże i żeglowali przez Atlantyk do Europy. Tutaj konserwatywne i socjalistyczne reżimy, doświadczone w sprawowaniu centralistycznych rządów, potrafiły utrzymać produkcję przemysłową na odpowiednio niskim poziomie. Żarówki co prawda świeciły słabo, ale przynajmniej było dość pracy dla niewielkich spółdzielni rolniczych, państwowych kopalni, znacjonalizowanych fabryk i zakładów przeróbki żywności. A przede wszystkim w potężnych biurokracjach, rozciągających się na połowie globu, od Portugalii do Korei.



Tempo migracji wzrastało i pustoszały coraz większe tereny kraju. Ogromna flota statków cumowała w portach Nowego Jorku, Bostonu, Baltimore, San Diego i San Francisco. W ciągu dwudziestu lat niemal cała populacja Stanów Zjednoczonych powróciła do swych etnicznych ojczyzn w Europie i Afryce, Azji i Ameryce Południowej. Ta migracja była zwierciadlanym odbiciem marszu na Zachód sprzed dwustu lat. Biali Amerykanie wyjeżdżali do Włoch i Niemiec, wschodniej Europy, Wielkiej Brytanii i Irlandii, czarni Amerykanie do Afryki i Indii Zachodnich, Chicanos ruszali przez Rio Grandę na południe.

Około roku 2030 kontynent amerykański był zupełnie wyludniony, tłoczne niegdyś miasta stały puste i milczące. Za zgodą swych europejskich partnerów prezydent, Sąd Najwyższy i Kongres utworzyły Rząd Stanów Zjednoczonych Na Uchodźstwie w Berlinie Zachodnim, jednak jego rola pozostała raczej ceremonialna niż rzeczywista. Kiedy prezydent Brown zaszył się w klasztorze zen w Japonii, jego funkcje uznano za zawieszony, Kongres uchwalił samorozwiązanie, a wszelkie przyszłe elekcje na urzędy federalne odłożono na czas nieokreślony. Rząd i naród Stanów Zjednoczonych przestały istnieć.

W okresie kolejnych lat, w celu wykarmienia zwiększonej populacji Europy i Azji, rząd światowy przeprowadził liczne operacje prowadzące do zmian klimatycznych. Te wspaniałe dzieła geoinżynierii prowadziły do stopniowej transformacji kontynentu amerykańskiego. Najpoważniejszym z nich była tama przegradzająca płytkie wody Cieśniny Beringa pomiędzy Syberią i Alaską. Przepompowanie zimnych wód arktycznych na południe, do Pacyfiku, aby cieplejsze prądy atlantyckie popłynęły wokół Grenlandii do Kręgu Polarnego, doprowadziło do rozkwitu całej strefy klimatycznej Syberii i północnej Europy. Po raz pierwszy temperatura w zimie wzrosła powyżej zera, stopniała wieczna zmarzlina, dla rolnictwa i górnictwa odzyskano miliony hektarów ziemi. Latem zboża dawały plon w głębi arktycznego Kręgu Polarnego.

Na nieszczęście konsekwencje tych zmian dla Stanów Zjednoczonych okazały się katastrofalne. Płynące na północ gorące równikowe wody, wsysane przez Przesmyk Grenlandzki, wkrótce całkowicie odmieniły klimat wschodniego wybrzeża. Kiedy ostatni emigranci wspinali się na pokłady przerobionych okrętów transportowych w Bostonie i w Nowym Jorku, żar ogarniał wysuszone tereny nabrzeżne, a nad porzuconymi miastami wisiały chmury pyłu. Gdy spoglądali ponad burtami eskortowców biorących kurs na Europę, odpływający Amerykanie widzieli, jak pustynia zagarnia ich miasteczka i osiedla.

Tymczasem wybrzeże Pacyfiku przeżywało równie gwałtowne zmiany klimatyczne. Zimne wody Morza Arktycznego, pompowane przez Tamę Beringa na południe, rozciąły ciepłe głębie Pacyfiku niby seria lodowych gilotyn. W połowie dwudziestego pierwszego wieku Japonia stała się mroźnym pustkowiem, archipelagiem lodowców, a żyzne niegdyś zbocza zmieniły w tarasy lodowisk. Setki kilometrów sześciennych zimnej wody runęło na południe, w stronę równika, zmieniając słoneczne atole i laguny Wysp Marshalla w arktyczne tereny rybackie, gdzie tylko nieliczni zahartowani wielorybnicy mieszkali w igloo i zasypanych śniegiem chatkach.

Wypchnięte przez ten lodowaty przyptyw wody równikowe przesunęły się ku brzegom Ameryki. Gorący Prąd Polinezyjski zastąpił zimny Humboldta i od południa uderzył w plaże Kalifornii. Ciepłe, wilgotne wiatry, wiejące ponad przybrzeżnymi górami, powodowały ulewne deszcze i powodzie. Odpływający Amerykanie, którzy z tego niegdyś słonecznego stanu ruszali przez Pacyfik do Australii i Nowej Zelandii, widzieli za sobą porty Long Beach i San Diego atakowane przez burze, sięgające w głąb lądu aż po Góry Skaliste. Ostatnie raporty z Las Vegas opisywały tę stolicę hazardu jako w połowie zatopioną w jeziorze smaganej deszczem wody. Koła ruletek znieruchomiały, a gasnące neony hoteli odbijały się w toni jak w brutalnym zwierciadle, ukazującym klęskę i poniżenie Ameryki.

## VIII

### Kraina Pragnienia

Dziesięć dni po przybyciu „Apolla” do nowojorskiego portu niewielka ekspedycja wyruszyła konno wzdłuż wschodniego, pustynnego wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Prowadzona przez kapitana Steinera, przekroczyła suche koryto rzeki Hudson i podążyła wzdłuż szerokiego, pustego pasa dawnej autostrady New Jersey Turnpike.

Wayne’owi, siedzącemu na koźle wozu z zapasami, ściskającemu mocno lejce zaprzęgu mułów, te pierwsze kilometry natychmiast przypomniały podniecenie, jakie odczuwał, gdy statek wpłynął na nowojorską redę. Osłaniając oczy przed jaskrawym blaskiem piasku po obu stronach drogi, fachowo popędzał muły, pozostające w tyle za biegnącym rażno mocnym srokaczem Orłowskiego. Drapacze chmur Manhattanu i biurowce Newark i Jersey City oddalały się wreszcie i po niespokojnych dniach w Nowym Jorku w końcu wkraczali na Wielką Pustynię Amerykańską.

Wprawdzie jak dotąd nie natrafili na żaden ślad poprzedniej ekspedycji Fleminga, jednak Wayne był przekonany, wręcz pewny, że znajdą El Dorado, o którym śnił od tak dawna. Nie dosłownie złote miasto, którego poszukiwał McNair, ale wizję Stanów Zjednoczonych utrwaloną na stronicach „Time’a” i „Look”, która wciąż jeszcze gdzieś istniała. Nasłuchiwał, jak opony wozu szeleszczą na miękkim piasku. Ruch był w Ameryce najważniejszy, wyrażał jej energię, jej wiarę w siebie. Wayne spoglądał ponad pustkowiem New Jersey pewien, że pokona i ujarzmi tę dzikość, w jakiś sposób sprawi, by rozkwitła na nowo.

Niemal trzysta metrów przed nim Steiner jechał na czele, na grzbiecie swej karej kłaczy. Jego sylwetka migotała lekko w mgiełce unoszącej się ponad drogą. Czasami kapitan zdawał się rozplýwać, pozostawiając w drżącym powietrzu tylko niewyraźny znak zapytania, jakby przemieszczał się do równoległego kontinuum. Za nim podążała karawana dwudziestu jucznych koni niosących zapasy, sprzęt obozowy i instrumenty naukowe – połowa laboratorium „Apolla” zapakowana w dziesiątki juków.

– Orłowski, może pan przywołać Steinera? Prowadzi chyba swoją jednoosobową wyprawę...

Doktor Ricci zeskoczył z siodła. Ustawiał trójnogi sejsmografów i liczniki Geigera, gotów do przeprowadzenia ostatnich z serii pomiarów, zaplanowanych co pięć kilometrów. Anna Summers tymczasem wypakowała odbiornik radiowy, nastrojony na transmisję czujnika promieni gamma, umieszczonego na dachu biurowca PanAm na Manhattanie. Wczoraj Wayne i młody marynarz bohaterko pokonali nieskończone schody i dotarli na lądowisko śmigłowców, gdzie zainstalowali sprzęt. Nagrodą był dla nich zapierający dech w piersiach widok amerykańskiej pustyni, ciągnącej się aż do Appalachów.

Ricci był jak zwykle zmęczony i poirytowany. Strzepywał kurz ze swojej eleganckiej skórzanej kurtki – najwyraźniej amerykańskie pustkowia nie było dla niego odpowiednim otoczeniem. Za to Anna Summers, co Wayne stwierdził z zadowoleniem, wyglądała na opanowaną i spokojną. Fachowo obsługiwała radio. Trzy dni po przybyciu do Nowego Jorku nagle wyciągnęła szpilkę z koka i niby błysk światła wybuchającego granatu rozwinęły się długie jasne włosy, które teraz chroniły jej skórę od słońca. W oczach Wayne’a, z tą białą grzywą przypominała jakąś piękną wdowę z plemienia nomadów, bez końca przemierzającą pustynię w poszukiwaniu młodego męża.

Juczne konie człapały wolno ze spuszczonej łbami. Widok usianej kaktusami równiny po wschodniej stronie autostrady wyraźnie budził w nich lęk. Jak przekonał się Wayne, na

zwierzęta należało uważać bez chwili przerwy, a w wyprawie brało udział za mało ludzi. Orłowski wyznaczył dwóch niechętnych marynarzy, by dołączyli do grupy, jednak w godzinę po opuszczeniu Nowego Jorku obaj uciekli, znikając wśród samochodów i ciężarówek zaśmiecających koryto Hudson. To oczywiście, że woleli zostać na Manhattanie z resztą załogi, za dnia naprawiając statek, a nocą pijąc w pustych barach i plądrując opuszczone mieszkania w poszukiwaniu skarbów – egzotycznej odzieży i gramofonów, które każdego z nich po powrocie uczynią milionerem.

Wayne oczekiwał właściwie, że zostanie na statku, zwłaszcza kiedy Steiner uparł się, że dołączy do ekspedycji i zostawi dowództwo McNairowi. Ale po ucieczce marynarzy wściekły Ricci pogalopował z powrotem i sprowadził Wayne'a, któremu powierzono opiekę nad wozem. Na szczęście muły go słuchały. Uderzając lekko lejcami w ich zakurzone boki zastanawiał się, jak dotrzymać kroku całej grupie. Nawierzchnia sześciopasmowej autostrady zarzucona była kanistrami i gnijącymi walizkami. Dobrze przynajmniej, że jechali na południe, po stosunkowo pustej drodze. Na pasach prowadzących na północ, w stronę portów w Nowym Jorku i Jersey, tłoczyły się rdzewiejące skorupy samochodów i autobusów, dziwnych pojazdów napędzanych węglem drzewnym, z butlami gazowymi na dachach, pozostawionych tu, kiedy skończyło się paliwo i pasażerowie woleli pieszo przejść ostatnie kilometry do punktów ewakuacyjnych.

Aby się pocieszyć, Wayne nasłuchiwał przez chwilę plusków i szumów w metalowych pojemnikach za plecami. Nikt go tutaj nie zostawi, uświadomił sobie. Los wszystkich zależał od tego wozu, zarówno od tysięcy litrów wody w stalowych zbiornikach, jak i aparatury destylacyjnej, która uzupełni ich rezerwy z dowolnych wilgotnych solnych panwi czy źródeł słodkiej wody, na jakie trafią po drodze. W sytuacji awaryjnej zawsze mogą skrócić w stronę morza, rozpaść pod kotłem wyrzuconym na brzeg drewnem i suchymi wodorostami, a potem czekać na plaży, aż przyplynie „Apollo”. Wszystko jedno – Wayne był im niezbędny. Gdyby skrócił wozem za któryś z tych wraków autobusów, znaleźliby się w naprawdę ciężkiej sytuacji.

– Profesor Summers! Proszę tutaj! Doktorze Ricci!

Wayne wyprostował się, z zawstydzeniem marszcząc czoło.

Czyżby Steiner czytał w jego myślach? Kapitan zatrzymał się w cieniu drogowskazu, wyższego nawet od rosnącego obok gigantycznego kaktusa. Przywołał dwoje uczonych, gdy tylko spakowali sprzęt i dosiedli koni. Steiner wciąż nosił marynarską czapkę, jednak pod wąskim daszkiem jego twarz przybrała już obojętny wyraz samotnego szeryfa czy rewolwerowca. Tyle że Wyatt Earp, pomyślał Wayne, nigdy nie nosił słonecznych okularów...

– Ruszaj, Wayne. Nie udawaj, że zostajesz w tyle. Orłowski!

– Nie jestem pańskim galernikiem, kapitanie.

Spocony Orłowski wbił pięty w boki srokacza i kłusem przebył ostatnie kilka metrów. Pulchny, z krótkimi nogami, pocąc się obficie w szarym garniturze Brooks Brothers, obsadził rolę Sanczo Pansy przy Steinerowskim Kichocie.

– Trenton... Wilmington... Atlantic City... – Studiował drogowskaz, ocierając czoło jedwabną chusteczką, jedną z kilku tuzinów, które spokojnie zabrał ze sklepu przy Piątej Alei.

– Jakąż pomocą byłyby takie znaki dla ojców założycieli... Mogliby zawrócić... Chciałbym panu przypomnieć, kapitanie, że ja dowodzę tą wyprawą, a pan ma tylko pomagać w nawigacji.

– I dbać o konie – dodał Ricci, kręcąc się w siodle. – Ta bestia, którą mi pan wybrał, Steiner, już okulała.

Steiner okrążył go na swojej silnej klaczy i zamyślony pokiwał głową.

– Moim zdaniem to raczej pański grzbiet okulał, doktorze. Proponowałbym, żeby pan jechał siedząc bokiem w siodle.

Kiedy Orłowski ich rozdzielił, Steiner zawrócił w chmurze piasku. Pogalopował naprzód, a Wayne'a ogarnęło dziwne przecucie: pewnego dnia Steiner odjedzie i porzuci nas wszystkich na śmierć. Właściwie na tym pewnie polega jego plan, a on sam chyba nie zdaje sobie sprawy, że jesteśmy tu tylko po to, żeby wieźć jego bagaż.

Popędził muły, próbując dogonić Annę Summers, ale jechała za szybko, zirytowana klótniami mężczyzn.

Dyskusje i głupie spory wypełniły im dziesięć dni w Nowym Jorku. Po pierwszej ekscytacji, kiedy stanęli wreszcie na amerykańskiej ziemi, ogarnęło ich poczucie wyraźnego niepokoju, a nawet gorzej – dezorientacji. Rozległe wydmy wyrastające aż pod Bovery Park, gorące wiatry i olbrzymie kaktusy, nieustępliwy blask pustyni sięgającej dalej niż wzrok, wszystko to razem odbierało sens całej wyprawy. Kiedy Orłowski i Steiner zaczęli się kłócić o przyszłość „Apolla”, ekspedycji zagroził rozłam. Wszyscy wycofywali się w swoje prywatne marzenia. Nie tylko marynarze plądrowali opustoszałe miasto. Nawet Anna Summers przyniosła skromną zdobycz: długą wieczorową suknię z magazynu Macy'ego przy Piątej Alei. Samotna ze swym lustrem, paradowała tam i z powrotem między retortami i licznikami Geigera, zachęcając znużonego Wayne'a do komplementów.

O zmierzchu Ricci regularnie zamieniał laboratoryjny fartuch na któryś z pretensjonalnych garniturów. Ostatniego wieczoru w Nowym Jorku Wayne spotkał go przy Czterdziestej Drugiej Ulicy. Siedział na tylnym siedzeniu antycznej limuzyny, którą wiatr odślonił w zagłębieniu między wydмами. Miał na sobie prążkowany garnitur o ekstrawaganckim kroju, z klapami niby skrzydła, a na kolanach trzymał zardzewiały pistolet maszynowy Thompsona. Obok leżały pliki starych obligacji, które zabrał ze skarbca pobliskiego banku. Kiedy Wayne do niego przemówił, Ricci tylko wpatrywał się w manhattański zmierzch, a sny o gangsterach przebiegały w jego ciemnych oczach.

Ze wszystkich członków załogi i ekspedycji jedynie Orłowski i Wayne sprawiali wrażenie, jakby lądowanie w Ameryce nie wywarło na nich żadnego wpływu. Pierwszy nie miał żadnej wizji, drugi zaś miał wizję tak potężną, że nic nie mogło jej zakłócić. Samotny Steiner przeszedł największą przemianę. Porzucił już „Apolla” w każdym sensie tego słowa. Brak zainteresowania losem rdzewiejącego statku z rozerwanym kadłubem, widoczna w lekkim wzruszeniu ramion wyraźna sugestia, że nigdy już nie popłyną nim z powrotem przez Atlantyk, tak rozzłościły Orłowskiego, że piątego dnia rozkazał Ricciemu aresztować kapitana i zamknąć go w jego własnej kajucie.

Wayne zapamiętał zdumiewającą szybkość fizyka, który wyciągnął z rękawa pistolet, po czym okrążył kajutę w tradycyjnej pozie opryszka. Steiner obserwował go z rozbawieniem i udając strach, uniósł ręce do góry. Skinął Wayne'owi głową, jakby chciał powiedzieć: patrz i zapamiętaj to sobie na przyszłość. Na szczęście zjawił się McNair, wracający z maszynowni. Uspokoił Orłowskiego, zasalutował Steinerowi i oświadczył, że z radością pozostanie na miejscu, aby doglądać naprawy „Apolla”, kiedy kapitan z ekspedycją wyruszy do Waszyngtonu. Za dwa miesiące statek weźmie ich na pokład i pożegluje do Miami.

Teraz jednak, kiedy kolumna jeźdźców sunęła wolno trasą New Jersey Turnpike na południe, nadszedł czas, by zapomnieć o własnych pragnieniach. Wayne zajął się obserwacją okolicy, nie kończących się zapyłonych miasteczek rozdzielonych solnymi panwiami, kęp bylicy i ostów. Prowadził muły obok rdzewiejących samochodów, czujnie wypatrując drżących skorpionów, niespokojnego grzechotnika ukrytego pod zaparkowanym autobusem, halodermi zaniepokojonej stukiem kopyt. Kilometr przed nimi samotny jastrząb krążył nad jakimś nieostrożnym susłem. Pod niebem z rozgrzanego metalu cała Ameryka wydawała się zabalsamowana kurzem, przysypana naftaliną białego piasku, wyczekująca mocnego dmuchnięcia, które znowu przywoła ją do życia.

Już teraz Wayne mocno odczuwał to wyzwanie: ich piątka była praktycznie samotna na całym kontynencie. Mogli się zachowywać jak tylko zechcą. Lojalność wiązała ich jedynie z

własnymi wizjami i potrzebami sygnalizowanymi przez układ nerwowy. Dostosowując się do tej nowej dziedziny, Wayne obserwował Ricciego czujnym wzrokiem krążącego w górze drapieżcy i zastanawiał się, jak skoczyć mu do gardła.

Jednak wieczorem, kiedy zbliżyli się do opuszczonego miasta Trenton, Wayne odkrył, że na tym opuszczonym łądzie wcale nie są samotni.

## IX Indianie

Godzinę przed zmierzchem ekspedycja zatrzymała się na pierwszą noc w amerykańskim pustkowiu. Zmęczone zwierzęta i jeźdźcy posuwali się wolno wzdłuż szlaku, gdy nagle Steiner dał sygnał i kolumna skręciła w bok, w stronę oddalonego o kilometr od drogi samotnego budynku, który kiedyś był przytulnym motelem nad małym jeziorkiem i polem golfowym. Tam, na kamienistym podejździe obok milczącej fontanny, zsunęli się z siodła niby wędrowcy w karawanseraju.

Jednak tutaj nikt nie wyszedł im na powitanie. Piasek okrywał schody wejściowe aż do obrotowych drzwi. Szyby okien wychodzących na spękane dno jeziora były matowe od brudu. Kurz dziesięcioleci zwiślał frędzlami jak koronkowe zasłony chroniące konferencję duchów.

Steiner bez słowa zeskoczył z siodła i ruszył badać hotel, sprawdzać drzwi i okna. Ku irytacji Wayne'a, pozostałym nawet nie przyszło do głowy, żeby rozsiodłać konie. Stali otępiali obok znużonych wierzchowców, jak pogrzebowi żałobnicy w płaszczach barwy mielonej kości. Wayne czekał, żeby Orłowski wydał rozkazy, ale przynajmniej raz komisarz był przygaszony i spod zakurzonego stetsona wpatrywał się w pustynny pejzaż. W oczach miał sny o Moskwie.

Zanim zdążyli opaść bez sił, Wayne przejął inicjatywę.

– No dobrze! Wszyscy zdejmują siodła. Doktorze Ricci, niech pan przywiąże konie obok fontanny, tam je napoimy. Pomoże mi pan ustawić wóz.

– Wayne...? – Orłowski zdjął kapelusz, spoglądając podejrzliwie na byłego nielegalnego pasażera, który teraz najwyraźniej przewyższał autorytetem nawet jego. Po chwili jednak z aprobatą kiwnął głową. – Słusznie. Profesor Summers, proszę sobie na razie dać spokój z sejsmografem. Gwarantuję pani, że w ciągu najbliższej godziny trzęsienie ziemi nie nastąpi. Proszę nastroić radio na Nowy Jork. Porozmawiamy z McNairem i sprawdzimy, czy nie ma jakichś wieści ze Sztokholmu. Może wystali pomoc. Ricci, niech pan idzie z Wayne'em, on chyba wie, co należy robić.

Kiedy nakarmili już konie i ustawili namiot, Wayne pozostawił im przygotowania do kolacji. Steiner wybił okno do hotelu i teraz przeszukiwał pokoje na górnych piętrach. Wayne także wszedł do wnętrza. Oburzał się na innych, którzy pracowali między końmi a stosami sprzętu. Uświadomił sobie, że uczynił niewielki, ale znaczący krok w stronę pozycji pełnoprawnego uczestnika ekspedycji. I równocześnie że powinien uważać na Steinera, który chodził między zakurzonymi stolikami w barze, a w jego sprężystym kroku nie widać było nawet śladu zmęczenia. On sam i kapitan poznawali teraz swoją własną Amerykę.

Po dziesięciu minutach znaleźli dwadzieścia litrów zanieczyszczonej wody w szczelnym kotle systemu centralnego ogrzewania. Wayne z zainteresowaniem oczekiwał reakcji kapitana.

– Wayne, jest woda. I jest zapewne w całej Ameryce, w tysiącach porzuconych moteli. Paręnaście litrów, ale wystarczy.

– Wystarczy dla jednego człowieka, kapitanie.

– Albo dwóch... – Steiner zagwizdał pod nosem jakąś smętną melodię. – Zabiorę cię ze sobą. I zanim się rozstaniemy, Wayne, usiądziemy razem na plaży w Malibu.

Wayne nalał drogiego płynu do wiadra, żeby zanieść je do zbiornika w aparacie destylacyjnym. Czy mógł ufać Steinerowi? Prawdopodobnie nie. Przyszło mu nagle do głowy, że jeśli kapitan ich porzuci, on sam może wkrótce objąć dowództwo wyprawy.

- Dlaczego przypląnął pan do Ameryki, kapitanie? Przecież tutaj nic nie ma.
- Właśnie dlatego. Zresztą nie wierz w to, Wayne. Tutaj jest wszystko.
- Tylko dla mnie, panie Steiner.

O zmroku wszyscy zasiedli na składanych krzesłach na hotelowym tarasie i patrzyli, jak wieczorny blask przygasa na de czerwonych fasad biurowców Trenton. Te pustynne miasta amerykańskiego wybrzeża, pomyślał Wayne, są piękniejsze niż Benares i Samarkanda. Gdzie się podzieli handlarze biżuterią, kością słoniową i korzeniami, gdzie są wędrowcy egzotycznych szlaków?

Zjedli kolację. Steiner odszedł suchym dnem jeziora ze strzelbą pod pachą, demonstracyjnie szukając zwierzyny.

– Do licha, czy ten człowiek nigdy nie odpoczywa? – Paul Ricci strzepnął kurz z kłap swojego smokingu. – Idź za nim, Wayne. Sprawdź, o co mu chodzi.

– Wayne jest nie mniej zmęczony od ciebie, Paul. – Anna Summers chwyciła Wayne’a pod ramię. – A Steiner chce być sam. Nie ruszaj się stąd, Wayne.

Była o wiele miłsza, odkąd Wayne przejął opiekę nad zapasami wody. Wyłudziła już od niego kilka dodatkowych litrów. Wayne miał wrażenie, że zaczyna w nim dostrzegać już nie młodego pasażera na gapę, ale mężczyznę prawie w swoim wieku. Cieszył się, że może się jej przysłużyć, a nawet ją zachęcał, by z tego korzystała. Dokonała cudów z wieczorną racją wody, którą zaniósł do łazienki w pokoju na drugim piętrze, gdzie się rozgościła. Podarował jej w prezencie starą szminkę – jaskrawy, tłusty sztyft w metalowym pojemniku, jakiego w Europie nie widziano od pięćdziesięciu lat. Znalazł ją w szufladzie toaletki. Wspaniale czerwony łuk ust Anny Summers przyćmiewał nawet zachodzące słońce. Postanowił na przyszłość rozglądać się za takimi rzadkimi kosmetykami.

– To drobiazg, Anno. I tak chciałem zajrzeć do mułów.

Zawstydzony tym, że pierwszy raz zwrócił się do niej po imieniu, Wayne uciekł z tarasu. Zamierzał spędzić wieczór w towarzystwie swojego dziennika, ale niepokoiło go zniknięcie Steinera. Po symbolicznej inspekcji pary mułów, stojących przy poidle zaimprovizowanym w ozdobnej fontannie, Wayne ruszył brzegiem wyschniętego jeziora. W blasku zachodzącego słońca rozciągała się wokół niego pustynia, niegdyś pole golfowe, dzisiaj zaznaczone tylko kandelabrami cieni ogromnych kaktusów.

Nigdzie nie dostrzegł nawet śladu Steinera. Kilkaset metrów od hotelu odpoczął na siedzeniu starego wózka golfowego, zakopanego w wydmie przy dziewiątej stacji.

Tam właśnie zobaczył niezwykle zjawisko, pierwszy miraż amerykańskiej pustyni.

Trzysta metrów od niego, z gaju juki wynurzyła się kolumna sześciu wielbłądów. Cztery z nich na rozkołysanych garbach niosły jeźdźców, ciemnoskóre postacie okryte długimi białymi burnusami. Nawet z tej odległości Wayne dostrzegał czujne spojrzenia nomadów, ich spalone słońcem dłonie zawsze w pobliżu antycznych strzelb w pochwach u siodła. Nie zauważając Wayne’a, równym tempem przejechali obok i zniknęli za palmami daktylowymi przysłaniającymi zakurzony neon z literami wciąż jeszcze rozpoznawalnymi mimo zmierzchu.

Kim byli ci jeźdźcy na niezwykłych wierzchowcach? Czyżby azjatyckimi Arabami, którzy przewędrowali Himalaje i Pustynię Gobi, a potem w jakiś sposób pokonali groblę w Cieśninie Beringa? Może przez pół świata wzywał ich zapach tej nowej pustyni, bezludnego świata, gdzie tylko oni czuli się jak w domu? Chociaż podobni do Beduinów, mieli przecież broń i obce oczy. Wayne poczuł nagły przypływ odwagi na myśl, że nie jest samotny na tym wyjąłowym kontynencie.

Za sobą usłyszał ciche kroki. Obejrzał się: obok wózka stał Steiner. Spoglądał na odległe pola golfowe, jak gdyby w ciemnościach chciał spróbować gry. Oglądana w ostatnich promieniach słońca jego twarz wydawała się równie smagła jak twarze Arabów, a głębokie zmarszczki były odbiciem wszystkich tajemnych szlaków kontynentu.

– A zatem nie jesteś pierwszym Amerykaninem, Wayne. Nie przejmuj się. Nieważne, dokąd oni jada. Za nimi mogą się zjawić inni. Myślę, że powinniśmy się przedstawić.



## X Kosmolot

Płomienie strzelały z niewielkiego ogniska przy trampolinie. Iskry migotały w powietrzu, odbite w płytkiej wodzie w basenie i w metalu bandolierów trzech mężczyzn i kobiety, jedzących pieczone mięso grzechotnika. Przez dziesięć minut nikt się nie odzywał, a kiedy przygasł ogień, usłyszeli oddalone głosy Orłowskiego i Ricciego, rozlegające się wyraźnie w nocnym powietrzu.

Wayne słyszał wielbłądy uwiązane pod palmą daktylową obok motelowego neonu. Steiner przysunął się do ognia, wytarł tłuszcz z palców i wyraźnie ignorował strzelbę, którą oparł o trampolinę. Nomadzi i klęcząca obok nich kobieta byli nerwowi jak ptaki. Ich czujne oczy przeszukiwały ciemność, niepokojone najmniejszym poruszeniem.

– To było niezłe... Nie ma to jak soczysta dziczyzna. – Steiner rzucił w ogień strzęp wężowej skóry. Wystrzelił snop iskier i nomadzi drgnęli niespokojnie. – Nie przejmujcie się naszymi przyjaciółmi. Odjedziemy, zanim nas znajdą. A teraz opowiedz mi, Heinz, o tych wizjach na niebie. Wszyscy to widzieliście, wiszące na niebie nad centrum Bostonu?

– Nie żadna wizja. – Przywódca nomadów skinął głową w stronę syna i synowej. Był ruchliwym człowieczkiem i przypominał mrówkojada, kiedy miękkim językiem zlizywał z palców resztki grzechotnikowego mięsa. – Zapytaj GM-a i Xerox. To nie była wizja, kapitanie.

– Tato ma rację. Ogromny statek kosmiczny, nie ma wątpliwości, kapitanie. – Syn, GM, niespokojny młody człowiek z bliznami na twarzy, wskazał w niebo lufą swojego zabytkowego M-16. – Wyżej niż wieżowiec OPEC i Empire State Building razem.

– Wisiał tam – dodała jego żona, Xerox. Siedziała tuż obok męża, jasnooka i ciężarna, prawie dziecko. – Myślałam, że przyleciał, bo ma nas zabrać do nieba.

– Tak jest, do nieba... – Czwarty z nomadów, Pepsodent, mocno zbudowany, poważny młody Murzyn, westchnął głęboko. – Odleciał na południe, jakby nakazywał nam odejść, uciec, zanim nastąpi wielkie trzęsienie ziemi.

Steiner wrzucił kamień do płytkiej kałuży na dnie basenu. Mętna woda przeciekała przez popękane ściany z jakiegoś podziemnego źródła, pozwalającego istnieć tej palmowej oazie.

– Trzęsienia ziemi... Tak, wiemy coś o nich. Nasze sejsmografy je rejestrowały. Heinz, widziałeś może kiedyś trzęsienie ziemi w jednym z wielkich miast?

Starszy mężczyzna pokręcił głową, zerkając posępnie na grunt dookoła, jakby samo wspomnienie o katastrofie mogło rozszczępić ziemię.

– Nie widziałem, nikt z nas nie widział... Ale któryś z Profesorów pod Bostonem opowiadał, że oglądał coś takiego w Cincinnati. Najpierw, dwa dni wcześniej, na niebie pojawił się statek kosmiczny, a potem całe miasto zniknęło z wielkim błyskiem. Wszystko zniknęło w chmurze pyłu.

– Bardzo dziwne trzęsienie ziemi – ocenił Steiner. – A ty, GM, byłeś kiedyś w mieście po trzęsieniu?

– Można się pochorować, kapitanie. Naprawdę pochorować. – GM skrzywił się i pogładził brzuch żony, jakby zastanawiając się, gdzie w tej skażonej krainie znajdzie kryjówkę dla dziecka. – Choruje się od wody, od kurzu... Nawet od samego oddychania.

– Plemiona muszą uciekać, ale nie mają gdzie pójść. – Pepsodent wznosił wielkie oczy do nieba. – Nie na zachód, bo trzęsienia zniszczyły Cincinnati i Cleveland. A teraz statek kosmiczny wisi nad Bostonem. To koniec świata.

– Tak wygląda – zgodził się Steiner. Uśmiechnął się, jakby wierzył we wszystko, co usłyszał od tych prostych duszyczek. – Co o tym sądzisz, Wayne?

Wayne milczał. Nie wiedział, co myśleć. Ostatnia godzina, spędzona przy ognisku nad pustym basenem, gdzie zapach wielbłądów mieszał się z aromatem pieczonego grzechotnika, odebrała mu wiarę we wszystko, co zakładał sobie o Stanach Zjednoczonych. Niezwykle opowieści o kilometrowych statkach kosmicznych i tajemniczych trzęsieniach ziemi zignorował od samego początku, choć Steiner sprawiał wrażenie, jakby traktował je poważnie. Najwyraźniej kapitan polubił tych naiwnych wędrowców z ich zwierzętami, antycznymi karabinami i wizjami na niebie.

A jednak ci spaleni słońcem ludzie to prawdziwi Amerykanie, bezpośredni potomkowie tych kilku tysięcy, które zostały na miejscu, gdy reszta Stanów Zjednoczonych emigrowała do Europy. Heinz, Pepsodent, GM i Xerox byli pozostałością jednego z kilkunastu plemion wędrujących po kontynencie. Przed godziną, kiedy podeszli ze Steinerem, nomadzi zsiadali właśnie z wielbłądów. Powitali Wayne'a i kapitana bez wrogości, najwyraźniej zdawali sobie sprawę z obecności wyprawy. Steinera nie byli pewni, nie potrafili rozpoznać jego smagłej cery i ostrego spojrzenia. Ale gdy spoglądali na jasne włosy i skórę Wayne'a bez żadnej skazy, było jasne, że młodego przybysza nie uważają za prawdziwego Amerykanina w żadnym sensie tego określenia.

Wayne przyglądał im się zirytowany, że przecięli ścieżkę jego osobistych marzeń. Pod białymi burnusami – najrozsądniejszym kostiumem dla wędrowców pustyni – trzej mężczyźni nosili wytarte szare garnitury z prążkowanego samodziału, wyniesione ze sklepów w Trenton albo Newark. Był to strój Urzędników, plemienia, z którego się wywodzili. Tradycyjnymi terenami łowieckimi Urzędników były New Jersey, Long Island i dawne przedmieścia Nowego Jorku. Heinz, jego syn GM i młody przyjaciel Pepsodent – nosili imiona wielkich korporacji przemysłowych na Manhattanie – wszyscy trzymali po kieszeniach dziwaczne zbiory wyschniętych wiecznych piór i zepsutych kalkulatorów; relikty po pracownikach biur, których naśladowali. Od czasu do czasu Heinz wtykał sobie do nosa od dawna pusty inhalator i z satysfakcją wciągał powietrze. Pepsodent błyskał w nocne niebo pogiętą papierosnicą, a GM wyjmował parę kalkulatorów i naciskał martwe guziki, uśmiechając się przy tym do Xerox, jak gdyby wyliczał dokładną datę porodu.

Razem wizytowali macierzyste tereny plemienia z północy, Profesorów z Bostonu, do których należała Xerox. („Dlaczego Xerox?” – zdziwił się Steiner, na co GM poklepał ciężarną żonę po brzuchu i odpowiedział rozsądnie: „Wszystkie kobiety mają na imię Xerox; robią dobre kopie”.) Potem ostrzegawcze wizje pojawiły się na niebie ponad bostońskim portem i wszyscy w panice ruszyli na południe, omijając Nowy Jork, przerażeni nadchodzącym morderczym trzęsieniem ziemi.

Kiedy grzechotnik piekł się na rożnie, Heinz i GM opowiedzieli Steinerowi o amerykańskich „narodach”, plemionach nowych rdzennych Indian, którzy zastąpili dawnych czerwonoskórych. Kiedyś liczyły sobie nawet po tysiąc członków, ale teraz zmalały do kilkudziesięciu, rozproszonych trzęsieniami ziemi i znakami na niebie. Od pokoleń byli analfabetami i potrafili odczytać jedynie nazwy firm na reklamowych neonach. Przyjaciele i krewni tej czwórki nazywali się Big Mac, U-drive, Texaco i 7-Up. Jednak Profesorowie, noszący imiona wielkich uniwersytetów regionu Bostonu, byli chyba najbardziej pomysłowym plemieniem i wykorzystując sprzęt laboratoriów chemicznych potrafili destylować alkohol. Czy wizje na niebie nie wynikały przypadkiem z przedawkowania tego napoju? Teraz Profesorowie musieli się wycofać na tereny łowieckie mniej przyjaznych plemion. Nie wszyscy, wyjaśnił Heinz, byli godni zaufania.

– Są też Biurokraci w Waszyngtonie... Kiedyś mieli wielkie plany połączenia wszystkich plemion, ale wykryliśmy, że chcą nas opodatkować. Na Florydzie żyją Astronaucci...

– To szaleńcy! – wtrącił się Pepsodent, gwizdnawszy z podziwem. – Wyznają jakąś kosmiczną religię i mają odpowiedni sprzęt.

– Sprzęt jest w porządku. – GM wybuchnął śmiechem. Widziałeś kiedy wielbłąda w płaszczu z folii aluminiowej?

Steiner zaśmiał się uprzejmie.

– Może to oni stoją za tymi statkami na niebie?

Ale Heinz i pozostali zgodzili się, że taki wyczyn przekracza możliwości Astronautów. Obserwując tych ogorzałych nomadów, Wayne nie miał wątpliwości, że ich umiejętności nieznacznie tylko przewyższają kierowanie zmęczonych wielbłądów od jednej oazy do drugiej. Może zatem istnieje jakaś bardziej zaawansowana technicznie grupa, która próbuje wypłoszyć tych prymitywnych aborygenów z terenów skażonych przez niszczące reaktory jądrowe. Nikt z tych ludzi nie widział nigdy samolotu, a więc nawet mały śmigłowiec unoszący się w powietrzu wydałby się im zwiastunem apokalipsy.

– Są Gangsterzy – mówił Heinz. – Mieszkali na ogół w okolicach Chicago i Detroit. Są Geje z San Francisco. Przed wielu laty przybyli z Zachodu.

– Ci Geje są jacyś dziwni – dodał GM, opiekuńczo obejmując ramieniem żonę. – Nie wiem, co to jest, ale wcale mi się to nie podoba.

– Lepsi niż Rozwódki – zauważył Pepsodent. – To czysto kobiece plemię z Reno. Wędrują wszędzie. Proszę na nie uważać, kapitanie. Obiecują ślub, a zanim minie noc, poderzną człowiekowi gardło i ukradną wielbłąda. Ciebie też raz złapały, GM, prawda?

Steiner i starzec roześmiali się zgodnie. Wayne po raz pierwszy zabrał głos, próbując zakończyć te wspominki.

– A oprócz innych plemion... Nie spotkaliście wcześniejszych ekspedycji?

– Ekspedycji? – Zdziwiony tym słowem i ostrym tonem Wayne'a starzec spojrział pytająco na Steinera.

– Badaczy – próbował wyjaśnić Wayne. – Zza morza. Dwadzieścia lat temu przybyła tu wielka ekspedycja, prowadzona przez człowieka o białych włosach...

GM oderwał wzrok od brzucha żony.

– To mi wygląda na Graczy. Polowali w okolicach Vegas i mieli ze sobą białowłosego człowieka, który wyszedł z morza...

Zanim GM zdążył skończyć, z ciemności dobiegł ich wystrzał. Rozległy się krzyki i brzęk szkła neonu nad motelem, a zaraz potem drugi strzał. Wayne słyszał kłótnię Orłowskiego z Riccim, błąkających się w ciemności.

– Wszystko w porządku... Znamy ich. – Steiner powstał i uspokajająco uniósł rękę. Ale nomadzi już się poderwali. Pobiegli nerwowo w słabym świetle jak zwierzątka przerażone nagonką.

Pięć minut później, kiedy Wayne i kapitan wrócili nad basen z Orłowskim i Riccim, trzech aborygenów i kobieta zniknęli wśród nocy, zabierając ze sobą wielbłądy. Gdzieś między cieniami pustyni Wayne'owi mignęła sylwetka zwierzęcia biegnącego pomiędzy zardzewiałymi samochodami i palmami daktylowymi.

Orłowski przyjrzał się basenowi, resztkom ogniska i pieczonego węża. Zmarszczył nos, wyczuwając zapach wielbłądów. Pogroził palcem Ricciemu, który bez namysłu wystrzelił do odbicia płomieni migoczących w szkle reklamowego napisu. Potem wskazał odciski bosych stóp na piasku.

– Co to było, kapitanie? Cała banda Piętaszków... Uratował nas pan przed kanibalami?

Wracając do motelu, Steiner wpatrywał się tęsknie w ciemność.

– Kanibalami? To byli Amerykanie, Wayne, prawdziwi Amerykanie.

– To aborygeni – zgodził się Wayne. – Szkoda, że nie możemy im pomóc. Ale podziwiam ich, Steiner, tak samo jak pan.

– To dobrze. Wiara w siebie, odpowiedni respekt dla niebios nad głową i zdrowa podejrzliwość wobec poborcy podatków pod nimi... Te cechy pochwaliliby twoi przodkowie z Jamestown. Może pewnego dnia oni potrafią nam pomóc.

– Wątpię. – Wayne szerokim gestem wskazał otaczającą ich pustynię, dalekie iglice pustych miast. – Kapitanie, to nie jest ogromny rezerwat. Wierzę w inną Amerykę. Mam nadzieję, że znajdą w niej swoje miejsce.

– Mam nadzieję, że będzie tam miejsce i dla mnie. Jak myślisz?

– Myślę, że tak.

Wayne prowadził rozmowę, ale pamiętał o słowach Orłowskiego, o wygłodniałym wzroku, jakim nomadzi mierzyli jego muskularne ciało. Z niepokojem zauważył, że Steiner przygląda mu się tak samo twardo, z tym samym błyskiem białych zębów na tle czarnej pustyni.

## XI

# Gabinet Ovalny

Przez kolejne dziesięć dni wyprawa dążyła wciąż dalej po New Jersey Turnpike, na południowy wschód, w kierunku Waszyngtonu. Nieskończona wstęga autostrady ginęła w mgiele drżącego powietrza, obramowana kilometrami porzuconych samochodów i ciężarówek. Co wieczór zjeżdżali z szosy i spędzali noc w jednym z niezliczonych moteli i wiejskich klubów, wypoczywając nad pustymi basenami, które zdawały się pokrywać cały kontynent. Po kolacji Wayne i Steiner odjeżdżali w mrok szukając wilgotnych jeziorok ługu i solnych panwi, granic skromnych dorzeczy zasilanych z Appalachów, pierwszych sugestii bardziej umiarkowanego klimatu.

Jednak krajobraz był coraz bardziej surowy. Od czasu do czasu widzieli ognie obozowe grup nomadów przemierzających pustynię, wielbłądy przywiązane do zarośli juki. Jednak po spotkaniu z Heinzem, Pepsodentem, GM i Xerox nigdy nie zbliżyli się do tych wędrownych „Indian” dostatecznie, by wymienić elementy wyposażenia na informację o interiorze Stanów Zjednoczonych.

Omijając Trenton i Filadelfię kierowali się na Baltimore, niedaleko Wilmington wkraczając na autostradę Kennedy’ego. Puste miasta leżały zabalsamowane pustynnym pyłem, otoczone milczącymi przedmieściami, których parki i korty tenisowe pokrywała coraz grubsza warstwa piasku. Każdego wieczoru długie szeregi biurowców zdawały się wyrastać ze wschodniego horyzontu i przez chwilę magicznie migotały tysiące okien. Zmieniając barwę z bladego cyklamenu do głębokiego fioletu, ich fasady stawały się wielkimi afiszami reklamowymi oczekującej pustyni.

Jednak mimo niezbyt przyjaznego terenu i prawdopodobieństwa, że Wielka Pustynia Amerykańska rozciąga się daleko za Appalachy, aż do Gór Skalistych i wybrzeży Kalifornii, członkowie ekspedycji nie tracili ducha. Kiedy dotarli do Waszyngtonu i ruszyli wzdłuż Routel do Alei Konstytucji, Wayne po raz kolejny uświadomił sobie, że nikt nie wspominał o rejsie do Europy. Możliwość porzucenia Ameryki i podróży powrotnej nie istniała już w ich umysłach.

Steiner, jak tego oczekiwał Wayne, znalazł odpowiednie dla tej okazji słowa.

– Oto jest Waszyngton, kiedyś najważniejsza stolica świata, siedziba najwspanialszego narodu. Pomyśl, Wayne: stąd wychodziły rozkazy, wyruszały armady, wygrywano wojny światowe, posyłano ludzi na Księżyc...

Steiner opuścił rękę, dając sygnał do zatrzymania. Kolumna jeźdźców i jucznych zwierząt, prowadzona przez Wayne’a i jego wóz z wodą, przystanęła pod nadal imponującym frontem Galerii Narodowej.

Wayne spojrzął poprzez Mail w kierunku pomnika Lincolna. Jak podróżnik z przeszłości stojący między stopami Ozymandiasa, widział takie same wydmy i kaktusy pokrywające zielony niegdyś trawnik, te same mimozy i osty. O czterysta metrów na lewo wznosił się Kapitol, obok Białego Domu i drapaczy chmur Manhattanu jeden z trzech najbardziej zapadających w pamięć widoków Ameryki, jakie Wayne przywiózł ze sobą ze Starego Świata. Kapitol stał milczący, okrążony gigantycznymi kaktusami, z portykiem popękanym i przewróconym na piasek. Segmenty podziurawionej kopuły runęły do wnętrza jak rozbita skorupka jaja. Na drugim końcu Mailu wydmy spływały do suchego koryta Potomacu.

Abraham Lincoln na pomniku siedział po kolana w piasku, spoglądając w zadumie na zarośla juki i stada susłów.

Wayne obejrzał się na towarzyszy, czekając na głosy protestu przeciw temu zniszczeniu. Ale nikt nie wydawał się zaskoczony, a tym bardziej oburzony, jak gdyby tak właśnie powinien prezentować się gościom Waszyngton: opuszczone miasto na pustyni.

Orłowski przejechał klusem na czoło kolumny. Przystanął w cieniu wozu i wachlował się stetsonem.

– Wiesz, Wayne, wszystko tu jest w zadziwiająco dobrym stanie. Nic się chyba nie zmieniło. Dobrze, kapitanie, ruszajmy dalej.

– Zajrzymy do Białego Domu – oznajmił Steiner, gdy ruszyli na zachód wzdłuż szeregu wielkich muzeów: pustych skorup zasypanych pyłem. – Może znajdziemy tam stanowisko dowodzenia. A jeśli nie, to zaprzysiężymy cię, Gregor, jako szefa rządu tymczasowego.

– Dlaczego nie profesor Summers? – uśmiechnął się Orłowski. – Pierwszego prezydenta kobietę? Albo choćby Wayne'a?

– Jestem gotów, Gregor – wtrącił Wayne. – Będę młodszy nawet od John-Johna.

Bez szczególnego wysiłku utrzymując dobry nastrój, omijali kaktusy i juki, kierując się do pomnika Waszyngtona. Kolumna znów się rozciągnęła i jechali w odstępach pięćdziesięciu metrów jedno od drugiego. Wayne spędził batem muchy z boków mułów. Wiedział, że wszyscy z ulgą powitali pustkę Waszyngtonu. Byli samotni w sercu swych marzeń.

Pierwszą noc spędzili w Białym Domu. Tak jak się spodziewali, budynek był pusty, a jego wielkie sale i gabinety otwarte na powietrze wieczoru. Piasek sięgnął do okien i przesypał się na podłogi pasmami nie tkniętej ludzką stopą bieli. Steiner został w siodle, trzymając straż na zewnątrz, a Wayne i Orłowski przez wybite kuloodpome szyby weszli do Owального Gabinetu.

Orłowski odruchowo zdjął kapelusz. Stali po kostki w piasku, wpatrzni w wielkie biurko pomiędzy oknami. Prezydenta Browna? A może przyniósł je z magazynu ostatni komendant ewakuacji? Z jakichś powodów Wayne był przekonany, że prezydent dotykał krytej skórą powierzchni tego właśnie biurka. W rogu gabinetu ktoś rozpałił kiedyś małe ognisko i biała farba na ścianie poczerniała. Na ścianach było kilka napisów, bez przekonania tworzonych graffiti: „Bob i Ella Tulloch, Tacoma, 2015”, „Astronauci górą!”, „Charles Manson żyje”. Ale prezydenckie biurko pozostało nie tknięte, zachowane jakąś niezwykłą mocą, potęgą swego autorytetu.

– Wszystko tu jest, Wayne – zauważył cicho Orłowski. Dokładnie tak jak wtedy...

Poruszony emocjami komisarza Wayne uściśnął go za ramię.

– Czekają na ciebie przez te lata, Gregor.

– Wayne, to bardzo szlachetnie z twojej strony...

Dołączyli do nich Anna Summers i Ricci. Przez godzinę błądzili po salach i splądrowanych gabinetach, obok szeregów dalekopisów i terminali komputerów, rulonów biuletynów i schematów ewakuacyjnych, dziesiątków ślepych ekranów telewizyjnych. Później, kiedy słońce opadło za porośnięte kaktusami koryto Potomacu, członkowie ekspedycji w milczeniu ruszyli oglądać muzea i pomniki wokół Mailu.

Pozostał tylko Wayne. Ktoś musiał napoić zwierzęta i rozpakować sprzęt.

Zaniepokojona Anna Summers strzepnęła piasek z jego jasnych włosów.

– Będziesz tu, kiedy wrócimy... Prawda, Wayne?

– Oczywiście – uspokoił ją. – Dotarliśmy do Waszyngtonu, Anno. To początek prawdziwej wyprawy.

Gdy wrócili po dwóch godzinach, przekonali się, że Wayne wypakował łóżka polowe i przeniósł je do Białego Domu. Sobie przydzielił miejsce w Owalmym Gabinetecie. Rozłożył

śpiwór obok biurka, obejmując wartość w zasypanym piaskiem pokoju. Miał zamiar zachować godność prezydenckiego gabinetu i cieszył się, że nikt nie próbuje z niego żartować.

Być może, miała na to wpływ wciąż przytłaczająca atmosfera władzy w centrum stolicy, w każdym razie przez następne dni Wayne zauważał, że ekspedycja traci swój pęd, a przynajmniej poczucie kierunku. Jej kompas wskazywał teraz inny, wewnętrzny cel. Rozbili obóz na byłym frontowym trawniku Białego Domu: namioty jadalni, kuchni i stanowisko komunikacyjne. Lecz Ricci i Anna Summers niezbyt się interesowali pracą naukową. Krótko rozmawiali przez radio z McNairem – naprawa „Apolla” zbliżała się już do końca. Jednak sejsmograf i liczniki promieniowania tkwiły w kącie namiotu pod coraz grubszą warstwą kurzu. Całe dni za to poświęcali na zwiedzanie muzeów i Kongresu, dyrekcji NASA, Sądu Najwyższego i Instytutu Smithsona. Kiedy wieczorem siadali razem do kolacji, dyskutowali o odkryciach i ciekawostkach minionego dnia niczym turyści na pierwszym przystanku nieskończonej wycieczki po kontynencie.

– Gregor, widziałeś już pomnik Nixona? – spytał trzeciego wieczoru Ricci. – Musisz przyznać, że robi wrażenie. Potęga prezydentury w tamtych czasach...

– Imperialnej prezydentury – zauważył z mądrą miną Orłowski, wskazując na masywne budynki przy Mailu. – Całkiem jak dawny Kreml.

– I Centrum Islamu Jerry’ego Browna – dodała Anna Summers. – Dokładna kopia Tadż Mahal z włókna szklanego, półtora raza większa niż prawdziwa. A co z tobą, Wayne? – spytała zatroskana. – Nigdzie z nami nie chodzisz. Dlaczego nie zajrzysz do Muzeum Lotnictwa?

– Byłem tam dzisiaj – skłamał gładko Wayne. – Siedziałem w samolocie Lindbergha i w kabinie „Apolla 9”.

Z zadowoleniem słuchał ich entuzjastycznych opowieści. Steiner zniknął jak zwykle, obsesyjnie krążąc po pustynnych przedmieściach, czasem zaszczycając swoją posępną sylwetką kontury budynków Pentagonu czy Watergate. Pod jego nieobecność ekspedycją zarządzał Wayne. Nie wyruszał z towarzyszami na wyprawy, był jednak zawiąsem w samym środku, osi igły kompasu... Wolny czas poświęcał na sprzątanie Owального Gabinetu; wyrzucał piasek przez wybite okna, zdrapywał ze ścian napisy. Pewne rzeczy trzeba było wykonać, przed odjazdem dopełnić rytuałów przejścia. Początek wyprawy, powiedział niedawno bez namysłu. Tak, ale wyprawy dokąd?

Spoglądał teraz na towarzyszy czekając, aż zaczną omawiać ostatnie dni spędzone na amerykańskiej ziemi, dokumenty i przedmioty, które trzeba zebrać, mapy, które należy uzupełnić dla przyszłych wypraw. Milczeli jednak, siedząc pod płóciennym dachem z dziwnie spokojnymi twarzami, podobni nieco do trójki manekinów, jaką zapamiętał ze sklepu na Manhattanie. Ricci bawił się słuchawkami radia i – wyraźnie zadumany nad sprawami nieskończenie odległych od McNaira – podziwiał wysokie kawaleryjskie buty znalezione w wojskowym sklepie, dokąd skierował go Wayne. Anna Summers trzymała w dłoni dziennik pomiarów radioaktywności, drugą zaś przewracała stronicę egzemplarza „Cosmopolitan” z zapasów Wayne’a. Zatonęła w marzeniach o willach Hollywood, nie pamiętając o pustyni i kaktusach za namiotem, o swoim kombinezonie i spalonej skórze. Nawet Orłowski myślał chyba o wszystkim oprócz samej wyprawy. Studiował duży atlas dróg, jednak kiedy Wayne zajrzał mu przez ramię, zobaczył, że komisarz śledzi przebieg autostrady międzystanowej z Kansas do Kolorado.

Pod pozorem jazdy przez Amerykę, jak Wayne miał się wkrótce przekonać, szykowali się do dłuższego safari wewnątrz własnych umysłów.

## Wielbłądy i bomby atomowe

Najwyraźniejszy znak, że ekspedycja wyruszy do innego celu, pojawił się pod koniec pierwszego tygodnia w Waszyngtonie. Steiner zniknął na całą noc, obozując samotnie w namiociku rozbitym w suchym korycie Potomacu. Po śniadaniu Orłowski wyruszył na zwiedzanie biur rządowych, a Ricci i Anna Summers do mauzoleum trzech prezydentów Kennedych w Arlington. Wayne został sam, by przedestylować kanistry morskiej wody, które dostarczył wozem z zatoki.

Był zadowolony z tej samotności. Odbił już krótką wycieczkę po słynnych muzeach i urzędach państwowych, patrzył z zachwytem na statek kosmiczny „Apollo”, na „Flier” Wrighta i „Spirit of St Louis” Lindbergha. Co ciekawe, największe wrażenie wywarła na nim napędzana siłą mięśni maszyna z końca dwudziestego wieku, „Gossamer Albatross”, delikatny, pedałowaty szybowiec – teraz już zakurzony zabytek, kiedyś poemat wyzwania dla słońca. Teraz Wayne miał jednak ważniejsze sprawy. Posłuchał przez chwilę spokojnego rytmu kropeł czystej wody spadających z węzownic kolumny destylacyjnej, po czym z łopata w rękę ruszył pod pomnik Lincoln.

Przez dwie godziny pracował w bladym świetle wewnątrz budynku, odrzucając piasek spod posągu. Rozległa wydma zasypała kolana Lincoln – biała fala pyłu, na którą obojętnie spoglądał kamiennymi oczami. Po ich odjeździe znowu napłynę piasek, jednak Wayne wiedział, że praca warta jest wysiłku.

Wypoczywając na stopniach z termosem kawy, ze zdziwieniem dostrzegł zbliżającego się pieszo Steinera w powiewającym białym burnusie. Prowadził dwa wielbłądy z linkami przeciągniętymi przez ich mięsiste nosy – szły spacerowym krokiem przez pokłady piachu. Steiner dotarł do Elipsy i wtedy Wayne zauważył, że niewielka grupka nomadów – Biurokratów, sądząc po ciemnych krawatach na gołych szyjach – rozbiła obóz u stóp pomnika Waszyngtona. Smagłe kobiety, także w krawatach, przykucnęły wokół ogniska z suchych kaktusów, a mężczyźni otoczyli karą klacz Steinera, łakomie spoglądając na jej boki i zad.

Zanim Wayne wrócił do obozowiska, Steiner uwiązał już wielbłądy do parkanu wokół Białego Domu. Z satysfakcją przecierał słoneczne okulary.

– Udało mi się, Wayne. Ale oni czegoś się boją. Byli za bardzo wystraszeni, żeby się targować.

– Będzie pan teraz jeździł na wielbłądzie, kapitanie?

Wayne’a zaniepokoił radosny nastrój Steinera. Wydęta biała szata dawała mu nowe poczucie swobody. Czyżby pod nią kapitan był nagi? W burnusie i okularach przypominał nowoczesnego szejka Beduinów, z doktoratem z petrologii, bezlitosnego dla zakładników.

– Oczywiście, Wayne. Od początku powinniśmy zabrać ze sobą wielbłądy. Te dwa pochodzą od pary z zoo w San Diego. To one są prawdziwymi okrętami pustyni, nie konie.

– Ale po co Indianom pańska klacz? – zdziwił się Wayne. – Przecież nie jeżdżą konno.

Steiner nalał sobie kubek ciepłej wody. Ciemny sierp krótkiej brody wyostrzał mu profil.

– Wayne, oni nie zamierzają na niej jeździć. Oni chcą ją zjeść. Koń to dla tych ludzi rzadki smakołyk. Ale nie rozumiem, czym się martwią. Przecież myślą tylko o jedzeniu.

Biurokraci odprowadzili zwierzę za pomnik. Steiner zauważył zmarszczone brwi Wayne’a.



– Słuchaj, Wayne, przykro mi na to patrzeć, ale nie mamy wyjścia. Prędzej czy później będziemy musieli wymienić wszystkie zwierzęta. Te wielbłądy mogą przetrwać na liściach juki i kaktusach.

Wayne spojrzął na kapitana ze zdziwieniem. Wczoraj po południu rozmawiali przez radio z McNairem. Naprawiony „Apollo” miał za trzy dni wyruszyć do Norfolk w stanie Wirginia, na spotkanie ekspedycji.

– Kapitanie, wkrótce będzie tu „Apollo”. Na pokładzie mamy dość paszy na sześć miesięcy.

Steiner kiwnął głową, z pewnym wysiłkiem ogniskując spojrzenie na nienaiwnej już twarzy młodego człowieka, jakby wracał myślą do przeszłości, przywołanej przez wspomnienie poprzedniego stanowiska.

– „Apollo”... Masz rację, Wayne. Ale właściwie nie myślałem o statku...

Przetrawiając tę niejasną uwagę, Wayne przykucnął w cieniu wozu i przyglądał się, jak Steiner usiłuje dosiąść wielbłąda. Te duże, powolne zwierzęta były dobrze wyszkolone i kapitan szybko opanował wysokie siodło, rozkołysany krok, niewygodny sposób wsiadania i zsiadania, a także nagłe uginane nogi, grożące wyrzuceniem jeźdźca na twarz.

Kiedy Steiner krążył na wielbłądzie wokół Elipsy, na Mailu pojawiły się jeszcze dwie grupy nomadów. Każda składała się z sześciu ludzi, trzech smagłych mężczyzn w białych szatach i kobiet z dziećmi. Pierwszą stanowili Biurokraci i rozbili namioty u stóp Departamentu Rolnictwa. Drugą Wayne bez trudu zidentyfikował jako Gangsterów. Jechali stępą, w agresywnych pozach minęli wejście do Białego Domu. Mężczyźni pod burnusami nosili pasiaste garnitury, kobiety miały tlenione włosy i żakiety ze srebrnej lamy, jak filmowe kochanki szefów gangów. Niczym zwarta karykatura dawnego Chicago, wolno okrążyli Mail, posępnie spoglądając na muzea i urzędy. Z niewiadomych powodów wybrali w końcu budynki Kongresu i rozbili obóz pod spękana kopułą Kapitolu.

Zaniepokojony tym zgromadzeniem Indian i groźnym dymem z ogniska za pomnikiem Waszyngtona, Wayne opuścił obóz i wspinał się po wydmach do Białego Domu. Chciał zostać sam i przemyśleć wszystko w cichym sanktuarium Owalnego Gabinetu.

Kiedy jednak pchnął drzwi, przekonał się, że za prezydenckim biurkiem siedzi ktoś inny.

– Wejdz, Wayne! – zawołał Orłowski. – Chcę z tobą porozmawiać.

Odsunął z drogi śpiwór Wayne’a i rozsiadł się w wysokim wiklinowym fotelu, nie wiadomo skąd przyniesionym. Szerokim gestem skinął na Wayne’a, roztaczając po całym pokoju silny zapach bourbona. Wayne zauważył szyjkę butelki sterczącą z dolnej szuflady. Na zakurzonej skórze blatu Orłowski wypisał:

PREZYDENT GREGORY ORWELL 2114 - 2126

Orłowski zachichotał, ale natychmiast się opanował i przybrał śmiertelnie poważny wyraz twarzy.

– Dałem sobie trzy kadencje, jak Roosevelt i Ted Kennedy. Jeden z moich pradziadów był burmistrzem Toledo, więc z pewnością zająłbym się polityką, Wayne. Talenty polityczne są u nas rodzinne. Ale spójrz na to...

Wskazał na rozbite okno. Przybyły nowe grupy nomadów; wielbłądy miały gigantyczne kaktusy.

– Co ich tu sprowadza? Pogadaj ze Steinerem, zanim kompletnie zdziczeje. Najwyraźniej spora część obecnej populacji Ameryki znajduje się w Waszyngtonie. Może szukają przywódcy? Moglibyśmy powołać Kolegium Elektorów i głosować przez podniesienie ręki, w stylu ateńskim. Przyjąłbym nominację, Wayne.

Z narastającą irytacją Wayne obserwował pulchne dłonie komisarza, pieściodliwie gładzące biurko. Ten tłusty ministerialny totumfacki nie dbał o Amerykę i nic o niej nie wiedział. Gdyby miał możliwość, zamieniłby cały kontynent w jakiś syberyjski region. I nagle Wayne zapragnął wyrzucić Orłowskiego z fotela, z Owального Gabinetu i z Białego Domu.

– To interesujący pomysł, Gregor... to znaczy Gregory. Z przyjemnością poprowadzę twoją kampanię.

– To dobrze... – Orłowski z zadowoleniem zmrużył oczy, wyraźniejszymi literami kreśląc swoje nazwisko. – Mógłbyś odegrać kluczową rolę w odrodzeniu narodu amerykańskiego. Załóżmy na chwilę, że jestem już prezydentem. Jaki będzie mój pierwszy krok w tym historycznym zadaniu?

– Zniszczyć tamę w Cieśninie Beringa – odparł natychmiast Wayne. A kiedy zaskoczony Orłowski podniósł głowę, kontynuował, płynną wymową maskując sarkazm. – W Nebrasce musiało zostać dość pocisków jądrowych, żeby załatwić tę sprawę. O ile wiem, nie usunięto ich z silosów, tylko zdezaktywowano i zalano betonem. McNair to świetny inżynier, potrafi odbudować wyrzutnie. Profesor Summers i doktor Ricci zrekonstruują głowice bojowe i w krótkim czasie uzbroją cały arsenał. Zlikwidujemy tamę, odwrócimy przepływ arktycznych wód do Pacyfiku, z afrykańskich brzegów znowu sprowadzimy Golfstrom. Po pierwszej ulewie pustynia się zazieleni. W Ameryce znów popłyną rzeki, a Kansas i Iowa będą jak twoje ukochane stepy.

– Wayne! – Orłowski poderwał się, niepewny, czy Wayne mówi poważnie. Wyglądał już na całkowicie trzeźwego. Szybkim gestem stał z białego swoje nazwisko. – Wayne, jestem zaskoczony. Co za ambicje! Po mojej trzeciej kadencji ty możesz zostać prezydentem. Ale Moskwa nie będzie zadowolona. Cała ta zmarzlina, sam rozumiesz... Wielki syberyjski spichlerz zbożowy w ciągu jednej nocy zmieni się w lodowe pole.

– Ale co mogą poradzić? Wobec ultimatum? – naciskał Wayne ciekawy, czy jego fantazje zaintrygowały komisarza. – Na wschodzie nie ma broni jądrowej, nie ma nawet regularnego stałego wojska, tylko mnóstwo policji i urzędników unii. Całe lata zajmie im organizacja ekspedycji morskiej. Przez ten czas Mail będzie po kolana zasypany kukurydzą.

– Fascynujące, Wayne... – Orłowski przyglądał mu się w zadumie, jakby po raz pierwszy dostrzegł jakąś niezwykłą cechę jego charakteru, rozpoznał kusiciela w nie tak już naiwnym pasażerze na gapę. – Wszystko to prawda i kolejny powód, żeby jak najszybciej dołączyć do „Apolla”... zanim poniesie nas wyobraźnia. Doktor Ricci powinien założyć główny obóz w Norfolk w Wirginii. Jutro rano wyruszysz razem z nim. A na razie zabierz stąd swoje rzeczy. Możesz zająć pokój któregoś z sekretarzy. Przenoszę się do Gabinetu Owального.

– Nie... – Wayne bez zastanowienia przysunął się do biurka. – Zostaję tutaj, Gregor. Ty się przeniesiesz do sekretarzy.

– Co?

Orłowski odstąpił na krok, a Wayne chwycił jego kapelusz. Zaczęli się niezgrabnie siłować, potykając o własne nogi, zbyt rozszoszczeni, by słyszeć wołanie z korytarza. Wayne poczuł, że komisarz przyciska go do białego. Orłowski mocno złapał go za łokcie i wykrczał prawą rękę. Dysząc ciężko, Wayne spojrzał na odciski ich dłoni w kurzu, brudne smugi znaczące to śmieszne starcie – ostatnich ludzi w Ameryce, zajętych zapasami ponad biurkiem pierwszego urzędnika.

– Wayne! Na miłość boską, Gregor, puść go!

Anna Summers wpadła do gabinetu, oszołomiona po biegu przez puste korytarze Białego Domu, niczym zrozpaczona żona zamordowanego prezydenta, porzucona przez jego personel.

– Gregor! Było następne trzęsienie ziemi... silny wstrząs w centrum Bostonu! – Niemal bez tchu wyciągnęła rękę w stronę okna. – Straciliśmy kontakt z „Apollem”. Boję się, że McNair i cała załoga nie żyją!

– Profesor Summers, proszę się uspokoić... – Komisarz podniósł kapelusz, zerkając gniewnie na Wayne’a. – Są w Nowym Jorku, to ponad sto pięćdziesiąt kilometrów dalej. Musiał nastąpić jakiś błąd pomiarowy. Żaden uskoki tektoniczny nie biegnie pod Bostonem.

– Nie! – Próbując uspokoić Orłowskiego, odciągała go od biurka. – Nie o to chodzi. Nastąpiła silna emisja promieniowania. Liczniki Geigera na dachu PanAm zarejestrowały potężny strumień neutronów. Rozumiesz, Gregor? Nad Bostonem wybuchła bomba atomowa!

## XIII

### Na zachód

Czekali o zmroku w namiocie radiowym. W końcu, kiedy cień anteny sięgnął do Mailu, do stóp niemal setki czekających nomadów, usłyszeli McNaira na paśmie fal krótkich. Spokojniejsza już Anna Summers kucnęła obok odbiornika, w nieskończoność powtarzając sygnał wywoławczy ekspedycji. Przez całe popołudnie, kiedy na zmianę z Riccim i Orłowskim prowadzili nasłuch, z głośnika rozlegały się nieprzerwane trzaski. Jednak o siódmej wieczorem, umówionej godzinie kontaktu, usłyszeli rażny głos mechanika.

– Nadaje! – Anna uciszyła ich gestem. – Ale to nagranie z taśmy. Nie możemy z nim rozmawiać. Bóg jeden wie, gdzie jest teraz.

Wayne ścisnął maszt anteny. Wciąż trząsł się ze złości na Orłowskiego. W dodatku dręczyło go niejasne poczucie winy, jak gdyby jego plan zniszczenia Tamy Beringa spowodował eksplozję nad Bostonem. Uważnie słuchał zniekształconych zakłóceniami słów McNaira.

– ...profesor Summers, w Nowym Jorku jest teraz czwarta. Za pół godziny ruszam na zwiady na Long Island, dlatego wieczorny biuletyn nagrywam teraz na taśmę. Ostatnie wiadomości: skończyliśmy pracę przy kilku „Apolla”, dziś rano przynitowaliśmy ostatnie miedziane płyty. Jesteśmy gotowi do uruchomienia wyciągarek i ściągnięcia statku z brzegu. O wpół do drugiej byłem na dachu PanAm... Wayne będzie zdumiony, ale udało mi się naprawić jedną z wind. Kiedy zakładałem świeżą baterię do przekaźnika doktora Ricci, nagle poczułem wstrząs. Cały budynek zadygotał, pewnie nastąpiło znaczne przesunięcie skalnego płaszcza, niemal uskok tektoniczny. Widać było, jak zatrzęsł się Manhattan. Na północnym wschodzie zauważyłem nad pustynią niezwykle blask. Trwał około pięciu minut, potem przygasł zasłonięty lśniąca chmurą. Na dole wszyscy porzucili pracę. Wstrząs musiał spowodować wybuch w jakimś starym magazynie amunicji na Long Island; południowo-zachodni wiatr pędzi teraz wzdłuż brzegu, w stronę Nowego Jorku, chmurę pyłu szeroką na jakieś piętnaście kilometrów. W jutrzejszym biuletynie zawiadomię, co odkryliśmy. Orłowski zechce może zawiadomić Moskwę. Pozdrowienia dla kapitana. Proszę mu przekazać, że „Apollo” wygląda teraz nawet lepiej niż SS „Lenin”.

Kiedy nagranie dobiegło końca, Anna Summers zmarszczyła czoło, spoglądając na odbiornik jak ktoś, kto przypomina sobie zły sen. Z połamanymi paznokciami, spaloną słońcem skórą i zakurzonymi jasnymi włosami wydawała się o dziesięć lat starsza niż młoda uczona, która zeszła na brzeg na Manhattanie. To głupie, ale Wayne potrafił myśleć tylko o tym, żeby podarować jej nową szminkę i magazyn filmowy.

Podszedł Steiner, zarzucając sobie na ramię zwinięty burnus. Nadjechał na wielbłądzie zaledwie kilka minut przed rozpoczęciem transmisji. Oстрыm nosem obwąchiwał wieczorne powietrze, jakby potrafił wyczuć daleką eksplozję. Pocieszająco uściśnął Annę, po czym spojrzął na wydruk danych z przekaźnika na Manhattanie.

– Te wskaźniki promieniowania, Anno... Jak rozumiem, są wysokie?

Orłowski wachlował się kapeluszem. Patrzył na Wayne'a, choć najwyraźniej zapomniał już o kłótni.

– Dziwna ta chmura... Wiemy coś jeszcze, pani profesor? Czy musimy czekać do jutrzejszego biuletynu?

– Gregor... – Anna zmęczonym gestem oddała papierową taśmę i wcisnęła ją do kapelusza komisarza. – Nie będzie więcej informacji, nie będzie biuletynu ani jutro, ani

nigdy. Ta chmura, którą chce zbadać McNair i jego ludzie, składa się z cząstek radioaktywnych z wybuchu atomowego... Nie wiem, jak i dlaczego to się stało, może atomowa łódź podwodna w którymś z bostońskich suchych doków... Poziom promieniowania na Manhattanie wszedł w strefę żółtą. Paul?

Ricci gładził klapy swojej czarnej skórzanej marynarki, jakby zdawał sobie sprawę, że niedługo musi zwrócić ten strój prawowitym właścicielom.

– Nawet wyżej. Gregor, kapitanie, proszę spojrzeć. 217 fermich, 223, 235, potem powyżej 254 fermich. Pół godziny temu. To trzykrotnie przewyższa poziom krytyczny. Obawiam się, że McNair i pańscy ludzie, kapitanie, są już właściwie martwi.

Orłowski bawił się papierową taśmą w kapeluszu, niczym jakiś trzeciorzędny iluzjonista wypróbujący nową sztuczkę. Pstrykając palcami, nasłuchiwał coraz głośniejszych trzasków odbiornika. Steiner wyszedł z namiotu i ruszył po piasku, a za nim Ricci i Anna Steiner. Dziesiątki nomadów przysiadły między kaktusami, jakby ściągały ich tutaj antenowe maszty, niezwykle latarnie nowego kultu. Osłaniając Annę przed chłodem nocy, Steiner otulił jej ramiona burnusem. Ten gest smagłego morskiego wilka zdawał się naznaczać ją jako jego własność. Przykłęknęła w zimnym piasku, zaciśniętymi dłońmi odgarniając szorstkie kryształki. Patrzyła na Wayne'a, jak gdyby utożsamiała go z tą skażoną krainą.

– No cóż, Wayne, trzeba się zastanowić. – Orłowski spojrział na dzikie zygzaki pisaka sejsmografu, potem na przekaźnik radiowy, wypluwający taśmę z koszmarnymi liczbami fermich. Wskazał Wayne'owi wyjście. – Chodźmy do pozostałych. Będziesz mi pomagał.

Kiedy zbliżyli się do nomadów, Orłowski groźnie pomachał kapeluszem, po czym odwrócił się do nich plecami.

– Kapitanie, musimy wracać do Nowego Jorku – oświadczył.

Ricci kopnął w piasek. Przystojną twarz miał ściągniętą i załęknioną. Zygzakowaty cień anteny naznaczył jego policzek czarną błyskawicą.

– Nie słyszałeś, Gregor? To nie ma sensu. Zanim tam dotrzemy, oni już...

– Ale powinniśmy stąd odjechać, może na południe. – Komisarz się opanował. Wyciągnął z kapelusza taśmę, upuścił na ziemię. Jakiś Biurokrata podniósł ją natychmiast i błyskając zębami rozpoczął przedstawienie odczytywania liczb. Orłowski obserwował go, drżąc lekko.

– Ta chmura, te wybuchy jądrowe... Nikt nas o tym nie uprzedził. Musimy pojechać na południe, do Miami. Tam zaczekamy na statek ratunkowy. – Rozejrzał się. – Miami... tak. Profesor Summers, niech pani pomyśli o tych wszystkich basenach...

Urwał, gdy Steiner odwrócił się do niego i uciszył wznosząc rękę. Kapitan uśmiechał się niemal euforycznie, jak gdyby w tajemnicy przehandlował nomadom sprzęt wyprawy za sfermentowany sok kaktusa.

– Nie, Gregor. Nie wyruszymy na południe, nawet dla wszystkich basenów Miami. Nie ruszymy na południe, ponieważ nie jest to amerykański kierunek. Kiedy Amerykanie ruszali na południe, zdarzało się coś złego. – Steiner położył dłoń na ramieniu Wayne'a. – Mam rację, Wayne? Ty wiesz, jaki jest prawdziwie amerykański kierunek.

– Oczywiście. – Odepchnął rękę kapitana.

– A więc? Powiedz Gregorowi.

Wayne spojrział na pękniętą kopułę Kapitolu, oświetloną ostatnimi promieniami zachodzącego słońca, na krąg oczekujących nomadów. Orłowski przyglądał mu się zmieszany, lecz pełnym nadziei wzrokiem, jakby Wayne był młodym odkupicielem ze swymi snami o przesuwaniu mórz i wiatrów w planetarnej skali.

– Na zachód – powiedział Wayne.

## XIV

# Dziennik Wayne'a

## Część pierwsza

5 czerwca. Manassas Battlefield Park

Wyjechaliśmy z Waszyngtonu dzisiaj o szóstej rano, a teraz zatrzymaliśmy się na noc w Holiday Inn przy Międzystanowej 66. Długi dzień na pustyni, małe miasteczka prawie niewidoczne w żółtej mgiełce, o wiele wyraźniejszej niż na wybrzeżu. Myślę, że lepiej znosimy drogę niż wielbłądy. Na pewno irytuje je styl naszej jazdy i te targi w ostatniej chwili, kiedy Ricci za bardzo się podniecił i próbował wymienić swojego kasztanowego ogiera na wielkiego dromadera należącego do wodza Gangsterów. Ku jego zdumieniu, wódz zaproponował mu w zamian jedną ze swoich żon, elektryzującą blondynkę przypominającą zagniewaną lalkę. Jednak Anna tupnęła nogą i pierwsze dziesięć kilometrów Ricci przejechał nadąsany.

Na szczęście surowy pejzaż szybko otrzeźwił nas wszystkich. Te same nieskończone kaktusy, gęste osty, erodujące wzniesienia i wyschnięte solne panwie. Z rzadka pustynny piesek czy jakiś gryzoń między pustynnymi jaskrami, ale nawet śladu Indian. Sądziłem, że przynajmniej niektórzy wyruszą za nami, ale prawdopodobnie za bardzo boją się trzęsień ziemi. Na pewno ponad trzystu obozowało na Mailu, ściągniętych w to miejsce chyba genetyczną pamięcią mocy urzędu prezydenta i Kongresu – to wszystko, co pozostało z milion razy liczniejszego narodu Amerykanów. Dziwaczna zbieranina, chociaż nie okazująca wrogości. Opowiadali o smokach wyskakujących spod ziemi, niezwykłych bezskrzydłych maszynach pędzących wysoko, a wszystko to zmieszane z niesamowitymi wizjami na niebie – od statku kosmicznego aż po gigantycznego gryzonia, podejrzenie przypominającego Myszki Mickey. Jedna z Rozwódek z Reno (zaskakująco macierzyńska, mimo tlenionych włosów i niebieskiego tuszu do rzęs, wciągnęła mnie do namiociku na stopniach Sądu Najwyższego i zaproponowała legalną adopcję!) opowiadała nawet jakieś bzdury o „prezydencie Zachodu”, dziwnym mężczyźnie o bladej twarzy i przenikliwym spojrzeniu, który żyje w niebie...

Ale pomimo to wielkie, wspaniałe Stany Zjednoczone wciąż trwają pod słońcem pustyni – trzeba im tylko deszczu, powiedzmy: stuletniej ulewy. Zdziwiająco, ale pozostało jeszcze sporo wody w porzeczonych cysternach i dachowych zbiornikach, zanieczyszczonej, lecz niemal zdatnej do picia. Steiner właśnie zaproponował, żebyśmy porzucili wóz z wodą. Zgodziłem się. Za bardzo nas hamuje, a mamy przecież przenośną kolumnę destylacyjną i zespół filtracyjny. Kapitan niezłomnie wierzy, że pustynia nie da nam zginąć. „Musisz się tylko przystosować, Wayne... To, jak oddychasz, śpisz, chodzisz, myślisz...” On kocha pustynię. Jestem pewien, że nie będzie do końca szczęśliwy, dopóki nie zostanie ostatnim człowiekiem w Ameryce. Orłowski milczy, nadal mi nie wybaczył, niepokoi mnie. Ricci przypomina neurotycznego gangstera, czysta agresja i drobne przejawy próżności. Anna spokojna, siedzi w zakurczonym fotelu w motelowym holu niby królowa Saby z lekkim udarem słonecznym. Podarowałem jej zestaw do makijażu, który znalazłem w sypialni kierowniczkii. Kiedy to piszę, bardzo powoli maluje sobie twarz, i przez cały czas przygląda mi się z dziwną miną...

9 czerwca. Lexington, Wirginia

Cztery długie dni drogi przez Appalachy. Wielbłądy czują się świetnie i przyszła nasza kolej na wyczerpanie. Przez dolinę Shenandoah w region Blue Ridge. Żadnej muzyki country ani walczących McCoyów, jedynie rozgrzane skały i piasek. Wygląda to raczej jak Synaj – a my pod wieloma względami podobni jesteśmy do zagubionego ludu. Mamy nawet swojego Mojżesza w białej szacie, który nas prowadzi – na wpół wódz piratów, na wpół starożytny arabski nawigator. Steiner z pewnością ma w głowie atlas niebios. Wczoraj wybuchł kryzys, kiedy odkryliśmy, że zostawiliśmy wszystkie baterie do odbiorników radiowych. To znaczy, że nie ma szans na kontakt z ewentualną ekspedycją ratunkową, która mogłaby dotrzeć do Nowego Jorku albo Miami. Orłowski wpadł w szal, nie wiedział, kogo oskarżać, wszyscy byliśmy podejrzani. Siedział na wielbłądzie z twarzą czerwoną jak lampa sygnałowa. Rozkazał nam wracać do Waszyngtonu. Nic z tego. Nikt nawet nie drgnął. Kiedy Gregor wyjął pistolet, Steiner spokojnie zauważył, że Indianie i tak już rozkradli baterie. Orłowski patrzył na niego – przez moment byłem pewien, że nie rozpoznaje kapitana ani nikogo z nas – a potem nagle schował pistolet i machnął ręką naprzód, jakby nic się nie stało. Zresztą i tak nikt nie miałby ochoty na rozmowy z Moskwą.

Kiedy teraz o tym myślę, mam wrażenie, że przez chwilę Orłowski stał się dawnym sobą, ale zaraz powróciła pustynia i objęła go na nowo.

18 czerwca. Louisville, Kentucky. Międzystanowa 64

Obozujemy w zakurzonej motelu na brzegu czegoś, co kiedyś było rzeką Ohio, a teraz piaszczystym korytem, wielkim wyschniętym ściekiem z jachtami i motorówkami zasypianymi w niskich wydmach. Wszyscy są bardzo zmęczeni – od paru kilometrów Orłowski spał na wielbłądzie. Anna Summers pokłóciła się ze Steinerem, który znowu wyjechał naprzód, zniknął na cały dzień, po czym wrócił ze swoimi myśliwskimi trofeami: trzema martwymi grzechotnikami na szyi. Kapitan wyraźnie chciałby się nas pozbyć, patrzy na nas, jakbyśmy byli kłopotliwymi gośćmi na jakimś wielkim, eleganckim ranczo. Po raz pierwszy odnoszę wrażenie, że mnie nie lubi, że w jakiś sposób budzę w nim niepokój. Jestem zbyt ambitny, chcę irygować tę pustynię w każdym sensie tego słowa. On tymczasem myśli o Ameryce jako idealnym tle jego fantazji o samotności.

Po raz pierwszy lęk zaczął budzić poziom wody. W miarę jak poruszamy się przez Kentucky na zachód, kraina staje się coraz bardziej sucha. Coraz trudniej nam znaleźć choćby niewielkie ilości wody w zbiornikach czy przewodach ogrzewania. W piwnicach i sklepach jest za to mnóstwo scotcha i bourbona. Muszę destylować alkohol, żeby uzyskać z niego 25 procent wody. Stygnie całymi godzinami, a my siedzimy popijając gorące bezalkoholowe drinki. Zarządzanie rezerwą wody z pewnością dodaje mi autorytetu...

Trudno uwierzyć, ale tutaj właśnie odbywało się Kentucky Derby, właśnie przekroczyliśmy granicę Krainy Błękitnych Traw. Ani śladu pól tytoniowych, miętowych koktajli i zielonych aksamitnych łąk, jedynie pustkowia i wachlarzowate aluwia. Jesteśmy za bardzo zmęczeni, żeby wybrać się na zwiedzanie do miasta. Orłowski spaceruje po parkingu jak bohater filmu, który szuka zgubionych kluczyków. Ricci zwykle wybiera nowy garnitur na następny dzień, ale dzisiaj siedzi w pustym holu jak drobny bukmacher spóźniony o stulecie. Anna odpoczywa w salonie piękności, podziwia siebie w lustrach i za chwilę nałoży makijaż (zauważyłem, że robi to, zanim rozdzielimy wieczorne racje wody!).

Przed godziną jeden z okulałych juczych wielbłądów pośliznął się i spadł do pustego basenu. Steiner spokojnie zastrzelił biedne zwierzę, ale smród zmusił nas do zmiany pokojów. Nikomu dzisiaj nie chce się gotować.

Tak jak pozostali, zaczynam bez przerwy myśleć o wodzie.

10 lipca. Mount Vernon, Illinois, Międzystanowa 64

Godzina 13.30. Za gorąco, żeby jechać w środku dnia. Steiner znika w mieście, a my odpoczywamy w cieniu hangaru na lotnisku. Kiedy dwa dni temu przekraczaliśmy Wabash, następny juczny wielbłąd wpadł do wypełnionego popiołem parowu i musieliśmy go zastrzelić. Przez ostatnią godzinę leżeliśmy pod chłodnym skrzydłem DC-8, próbując ustalić, jaki sprzęt tu zostawimy. Orłowski proponował, żeby zatrzymać ostatni odbiornik radiowy na wypadek, gdybyśmy gdzieś znaleźli odpowiednie baterie. Jednak Anna i Ricci go przegłosowali. Zgodziliśmy się wszyscy, że i tak nie mamy nic do powiedzenia. Stałem po ich stronie i to rozstrzygnęło sprawę. Coraz bardziej mnie słuchają. Anna uznała wreszcie, że nie jestem już dzieckiem, że w pewien sposób nadaję kierunek ekspedycji. Teraz rozumiem, dlaczego religie zawsze brały początek na pustyni. Pustynia jest jak przedłużenie umysłu. To nie pustkowie – każda skała i opuncja, każdy suseł i konik polny stają się częściami jednego umysłu, dziedziną magii, gdzie wszystko jest możliwe. Biel również; czuję, że zbliżam się do jakiejś nowej prawdy, do której prowadzę pozostałych.

W każdym razie radioodbiornik zostaje tutaj, między niszczącymi samolotami. Nawet jeśli ma to oznaczać całkowity brak kontaktu z resztą świata. Bardzo dobrze. Mimo wyczerpania ogarnęła nas spokojna determinacja, by iść dalej na zachód.

Niespodzianka: Steiner wrócił z butelką kalifornijskiej brandy, „destylatem”, jak mówi, „słodkiego deszczu znad Pacyfiku”. Siedzi teraz w kabinie cessny i pije sam – Eljasz w unieruchomionym rydwanie. To dziwne, ale po raz pierwszy wydaje mi się, że my wszyscy czujemy się na pustyni bardziej swojsko niż on. On wciąż pozostał sobą, zamienił po prostu otwarty Atlantyk na piaszczyste morza Kentucky i Illinois. My tymczasem zjednoczyliśmy się z piaskiem.

28 lipca. St Louis, Missouri. Międzystanowa 70

Dotarliśmy w końcu do brzegów Missisipi. Piszę na mostku wielkiego statku rzeczno „Admirał”. Jeśli kiedyś osiągniemy Kalifornię, nie zdziwię się, gdy sam Pacyfik okaże się wyschnięty jak pieprz. Musieliśmy na trzy dni przerwać podróż, żeby Orłowski doszedł do siebie po ataku gorączki. Zatrął się brudną wodą – byłem trochę nieostrożny przy destylatorze, ale to ciężka praca: rąbać motelowe drzwi i parkany. Leży w hotelowym pokoju w Mount Vernon i przeżywa zadziwiająco rozbudowaną fantazję. Wydaje mu się, że jest prezydentem USA. Żeby poprawić mu humor, udaję, że jestem szefem jego gabinetu. Zwracam się do niego jako do prezydenta Orwella, zapewniam, że ustanowimy Zachodni Biały Dom w Beverly Hills, że otoczą go wspaniali ekonomiści i gwiazdy filmowe. Naprawdę czuje się od tego lepiej – bardzo łatwo jest stymulować ludzkie fantazje. Steiner przyglądał się nam z dezaprobatą; ten pistolet pod jego burnusem zaczyna mnie niepokoić. Wie, że manipuluję pozostałymi, ale nie ma pojęcia dlaczego. Pierwszych osadników także pchały na zachód ich fantazje.

Głównie dzięki mnie i starannie frakcjonowanemu Johnnie Walkerowi Orłowski doszedł jakoś do siebie. Dzisiaj, kiedy jechaliśmy do St Louis, patrząc na skrzywiony Gateway Arch – podobny do ostatecznej reklamy Big Maca – żartobliwie nazwałem go Gregorym. Odpowiedział bez mrugnienia, chociaż z ostrożnym uśmiechem. Wszyscy są w zaskakująco dobrych humorach, odpowiednich dla rodzinnego miasta Marka Twaina. Anna nosi teraz makijaż nawet w dzień. Czasami jej twarz przypomina halloweenową maskę, ale wychodzę z siebie, żeby jej pochlebić – olejki w tych obrzydliwych starych kosmetykach chronią jej skórę (przykro to mówić, lecz kiedy ściera makijaż, nie tylko ona doznaje szoku). Nie umiem powstrzymać myśli, że tkwi w tym głęboka ironia: że Anna świadomie modeluje swój wygląd jak ta na niebiesko umalowana Rozwódka, w dodatku specjalnie dla mnie.

Dla osłony przed słońcem Ricci zaczął używać odrobiny kremu do twarzy, a ja zaproponowałem, żebyśmy wszyscy poszli za jego przykładem. Szminka zadziwiająco dobrze chroni skórę. Musieliśmy wyglądać jak dawna trupa aktorska, kiedy zsiadliśmy z wielbłądów



i stanęliśmy na brzegu. Razem patrzyliśmy na suche koryto Missisipi, na leżące w piasku statki wycieczkowe, setki porzuconych wokół samochodów i szafasów. Musiała wysychać bardzo długo, dziwnie wyglądają ufortyfikowane pomosty, zapory drutu kolczastego i otoczone workami z paskiem forty ustawione wzdłuż brzegów ostatniego strumyczka. Ludzie do ostatniej kropli bronili zamulonego potoku.

To zastanawiające, że nikt z nas nie był szczególnie rozczarowany. Myślę, że odczuliśmy niemal ulgę, znajdując suchą Missisipi. Jutro ruszamy dalej, śladami Daniela Boone'a!

19 sierpnia. Kansas City, Kansas, Międzystanowa 70

Poruszamy się jak we śnie, w zabalsamowanym żółtym świetle piasku i bursztynowego powietrza. Znaleźliśmy się w samym sercu pustyni, w niemal abstrakcyjnym pejzażu. Musimy być niedaleko środka olbrzymiej Sahary, która rozciąga się na całym kontynencie. Terytorium skamieniałych drzew i piaskowych ogródków z palmami pomiędzy nie mającymi końca przedmieściami i fabrykami, ciągami handlowymi i parkami, milczącymi i zapomnianymi pod płaszczem szklonego blasku.

Dziś rano dotarliśmy do Kansas City. Wybuchł ospały spór o to, gdzie się znajdujemy. Wskazywałem tablice drogowe, ale Gregor, który znów gorączkuje, upierał się, że to St Clemente, dawny nadmorski kurort Nixona. Paplał bez przerwy o zdrowotnym działaniu wody i ozonu. Tymczasem Ricci i Anna zgodzili się, że jesteśmy nad jeziorem Tahoe i byli już gotowi rozebrać się i pływać w najbliższej wydmie. Żeby ich powstrzymać, udałem, że chodzę po wodzie. Byli naprawdę zdumieni; patrzyli na mnie, jakbym był kimś w rodzaju mesjasza. Nawet Stainer zsalutował mi z wyraźnym podziwem.

Widocznie pustynia wtargnęła nam już do umysłów, wszystko widzimy w kategoriach popiołu i piasku. Pejzaż Kansas to skomplikowany zestaw wewnętrznych szyfrów, tajemniczych psychicznych żetonów. Tutaj można by kogoś zabić w abstrakcyjnym geście, w konturach wydmy dotrzeć własną świętością.

Trudno określić, o czym myślą pozostali; siedzimy na wielbłądach otuleni w białe szaty, twarze z bąblami oparzeń mamy zasmarowane różem i szminką. Anna trzyma się teraz blisko mnie, umalowana jak harpia. Oczywiście, to ja wydzielam racje wody, ale wie też, że ode mnie zależą losy ekspedycji. Nie ufam Ricciemu – dziś rano, kiedy pomagałem mu zsiąść z tańczącego nerwowo wielbłąda, odkryłem, że oprócz dwóch koltów wykładanych masą perłową ma jeszcze w rękawie derringera.

Steiner całkowicie poddał się pustyni. Oddalił się od nas, rzadko się odzywa, czasami bez uprzedzenia znika na dwa, trzy dni, potem zjawia się przy ognisku z kanistrem rdzawej wody. Czy dostrzega miejski krajobraz wokół siebie, zalane słońcem muzeum Stanów Zjednoczonych? Przed godziną odjechał do Kansas City, pustej metropolii ogromnych fabryk samochodów, przetwórci żywności i wieżowców. Ale jestem pewien, że zobaczy dawne miasteczko z pogranicza. Czekał na ostatnią wymianę strzałów w OK Corralu, żeby raz na zawsze rozstrzygnąć swoje żale wobec ludzkiej rasy.

28 sierpnia. Topeka, Kansas, Międzystanowa 70

Nieszczęśliwy dzień. Wyprawa się rozsypuje, prawie cały czas poświęcamy na szukanie wody. Wszystko tu jest suche: kraina nieskończonego pragnienia. Nigdy jeszcze nie widziałem tylu wyschniętych basenów. Zdechł wielbłąd Orłowski. Kiedy ze Steinerem przepakowywaliśmy jego bagaże, Ricci dobrał się do sześciu kanistrów, które udało mi się zebrać. Przyłapałem go na gorącym uczynku, z brodą i dłońmi poplamionym rdzą i pojemnikiem przyciśniętym do piersi. Wyglądał na zupełnie szalonego. Steiner był gotów zastrzelić go na miejscu, w domku numer sześć motelu Skyline Park. Ja jednak go puściłem. Orłowski to tylko ciężar, gorączka atakuje go i opuszcza na przemian. Anna leży wyczerpana na łóżku ustawionym obok mojego, z nie umytą twarzą pokrytą pęcherzami i rozmazanym

tuszem do rzęs. Patrzy na wskaźniki sejsmografu i skarży mi się na trzęsienie ziemi w San Francisco. Jakby to była moja wina... Wygląda to na jakiś szczególny typ dwudziestowiecznego małżeństwa. Czyżbyśmy posunęli się za daleko?

8 września. Abilene, Kansas, Międzystanowa 70

Jestem przemęczony.

Biwakujemy na przystanku autobusowym. Oprócz Steinera, który wyruszył na poszukiwania Dzikiego Billa Hickocka, wszyscy siedzą na podłodze pod stołami, zbyt zmęczeni, żeby szukać wody. Orłowski choruje, od trzech dni wieziemy go w zaimprovizowanej lektyce. Zostały nam tylko cztery wielbłądy i jeśli ktoś straci kolejnego, będzie musiał iść na piechotę. Ściągnąłem bezcenne dwadzieścia litrów wody z systemu ogrzewania Biblioteki Eisenhowera. Trudno sobie wyobrazić, że Ike wychował się w tym małym miasteczku na pustyni. Próbowałem rozmawiać z Riccim o prawdziwym celu wyprawy: próbie odnalezienia szczególnej „Ameryki” wewnątrz nas samych, tego złotego wybrzeża, które z pokładu „Apolla” dostrzegł McNair na kilka tygodni przed śmiercią. Ale Ricci siedział oparty o starą szafę grającą i patrzył na mnie szklistym wzrokiem. Jedyne, co go trzyma przy życiu, to pożary. Podpala każde mijane miasteczko, w ciągu paru sekund suche jak pieprz budynki wybuchają słupami płomieni. Zostawiamy za sobą apokaliptyczne niebo przecinane ogromnymi kolumnami czarnego dymu.

Przerywam, żeby zajrzeć do Gregora. Ma w ustach pełno krwi.

21 września. Dodge City, Kansas, trasa 56

11.45. Nie ma wody. To był kiedyś koniec starego Szlaku Tekszańskiego i wygląda na to, że będzie też naszym końcem. Steiner w końcu nas porzucił. W jednej chwili opierał się o dystrybutor stacji benzynowej, w następnej już go nie było. Wielbłądy padły i idziemy pieszo. Prawie cały czas sam ciągnąłem Gregora, próbowałem zmusić do marszu Annę i Ricciego. Kiedy tylko się odwracam, siadają na tylnych siedzeniach samochodów, jak gdyby czekali, aż zabierze ich szofer.

Leżymy na podłodze starego Long Branch Saloon, w samym środku odbudowanego miasteczka z Dzikiego Zachodu. Próbujemy zebrać siły, żeby poszukać wody. Na zewnątrz musi być z pięćdziesiąt stopni. Od paru dni pełzniemy po ogromnym palenisku.

14.38. Pół godziny temu zmarł Orłowski. Wyglądał na dwadzieścia lat starszego i o połowę chudszego niż w dniu, kiedy wyruszyliśmy. Zrobiłem dla niego, co mogłem, ale nie okazał wdzięczności. Ostatnie dni były koszmarem. Wlokłem za sobą gorączkującego komisarza i słuchałem, jak przeklina, jak mnie wini za wszystko – to była jego ekspedycja. Ale i tak przykro mi, że odszedł. Na swój sposób był prawdziwym Amerykaninem.

Ricci gdzieś zniknął...

Wayne przerwał i upuścił dziennik na drewnianą podłogę saloonu. Przyciągnął karabin. Na ulicy huknął strzał. Po krótkiej chwili, gdy Wayne podnosił się na nogi, zagrzmiąły kolejne trzy, trzask metalowych puszek i pękającego szkła.

– Strzelanie do celu, Wayne. Uważaj... – Anna Summers ostrzegawczo podniosła rękę. Siedziała w cieniu, oparta o bar. Pod oparzeniami i rozmazanym makijażem Wayne dostrzegł ostatni błysk troski. Po chwili osunęła się w głąb własnej jaźni, zbyt odwodniona, żeby się ruszać. Ponad nią Orłowski leżał na zielonym suknie stołu do ruletki, z rękami wyciągniętymi na krąg numerów, jakby miał nadzieję, że pochwyci wygraną. Czy wszyscy stali się elementami tego miasteczka, ostatniej rolki westernu?

Zniknęły dziewczęta tańczące kankana. Wayne słuchał, jak ostatni wystrzał odbija się echem w uliczce z Dzikiego Zachodu, z jej repliką dylizansu, sklepu z towarami kolonialnymi, salonem fryzjerski i magazynem odzieży. Ostry blask słońca za wahadłowymi

drzwiami nieco go ocucił. Kiedy leżał drzemiąc nad dziennikiem, ktoś zabrał ostatni kanister wody, którego pilnował ze strzelbą.

Ricci...? A może Steiner wrócił pojmując, że potrzebuje Wayne'a bardziej, niż sobie to uświadamiał?

Wayne poklepał się mocno po policzkach. Już od wielu dni kręciło mu się w głowie z głodu i ze zmęczenia. Przez cały czas musiał prowadzić Annę Summers zakurzoną autostradą. I kiedy wahadłowe drzwi zakołysały się za nim, stanął na zalanej słońcem ulicy, chwając się jak pijany rewolwerowiec, który zaraz padnie na piach.

Światło odbiło się od obcasów niskiego, brodatego mężczyzny stojącego na środku ulicy o sto metrów dalej. Odrzucił burnus i teraz miał na sobie kapelusz z szerokim rondem zdobiony srebrem, skórzane kowbojskie spodnie, wąską kamizelkę i kraciastą koszulę. W lewej ręce trzymał ostatni kanister z wodą. Płynnie wsunął do olstra wykładany masą perłową rewolwer i kopnął w migotliwe odłamki butelek, których używał jako tarcz.

– Ricci...! – zawołał chrapliwie Wayne. Dotknął chłodnego spustu i lufy winchestera. – Ricci, oddaj wodę!

Fizyk obejrzał się i potrząsnął głową, jakby nie interesował go już młody pasażer na gapę i ginąca ekspedycja. Gorączka przywróciła jego przystojnej kiedyś twarzy dawny, ostry profil. Przyjrzał się drewnianym frontonom hoteli i saloonów, szukając na dachach Strzelca z karabinem wymierzonym w jego serce.

– Paul! To moja woda, Paul! – Rozgniewany Wayne uderzył kolbą o drzwiczki repliki dyliżansu Boot Hill zaparkowanego przed Long Branch Saloon. Uświadomił sobie, że ukryta logika podróży przez Amerykę wiodła ku tej absurdalnej, dziecinnej konfrontacji na ulicy fałszywego miasteczka pogranicza, w udawanym świecie pochłanianym przez drugi, suchy Zachód, o wiele dzikszy, niż mogły sobie wyobrazić dwudziestowieczne mieszczuchy na wakacjach.

Ale to przecież jego woda!

– Paul!

Kiedy pierwsza kula Ricciego uderzyła o plastikowy znak Long Branch Saloon nad jego głową, Wayne popędził naprzód przez żar pustyni.

## XV

### Giganci na niebie

Trochę później Wayne dotarł w końcu do wejścia na cmentarz Boot Hill, przyciskając do piersi karabin i pojemnik z wodą. Przez kilka godzin usiłował powrócić do Anny Summers, ale zgubił się w miasteczku. Gdzieś między dyliżansami i rozpadającymi się budkami z hamburgerami zauważył Steinera. Kapitan ścigał Wayne'a po ulicach, wyglądał przez okno z biura szeryfa, przechodził obok budynku Wells Fargo, stał w kabinie antycznej lokomotywy przy replice stacji kolejowej. Porzucił swój burnus i znowu miał na sobie czarną marynarską kurtkę i czapkę z daszkiem. Obserwował krętą drogę Wayne'a cierpliwie, ale dość obojętnie, jakby ten był zmęczonym zwierzęciem w laboratoryjnym labiryncie.

Ze swojej strony Wayne nie czuł już gniewu wobec kapitana, chociaż wiedział, że pozwolił mu się wykorzystać. Steiner bez skrupułów posłużył się jego determinacją i wolą przetrwania. Pod pewnymi względami potraktował go jako rodzaj jucznego zwierzęcia, muła czy wielbłąda, które lubi nosić innych na własnym grzbiecie.

Wayne wszedł na stary cmentarz i wspiął się na niewysokie wzniesienie, ku najbliższymi grobom. Starannie ułożył na ziemi strzelbę i kanister, usiadł i oparł się o nieczytelny już nagrobek. Spoglądał na miasteczko w dole, na dachy prawie niewidoczne w oślepiającym blasku słońca odbitym od pobliskich wydm. Być może, umrze tu dzisiaj, ale nie odejdzie samotnie. Z całej siły ściskając winchestera, cierpliwie czekał, aż nadejdzie Steiner. I rzeczywiście, po kilku minutach kapitan zbliżył się do cmentarza od strony parkingu przy wejściu. Zauważył już Wayne'a i wspinał się ku niemu ze spuszczoną głową. Daszek czapki zakrywał mu oczy.

Wayne uspokoił się z wysiłkiem. Uniósł broń i wymierzył w jasną kotwicę wyszytą nad postrzępionym złotym otokiem.

I wtedy właśnie, kiedy miał już zastrzelić kapitana, zobaczył drugi miraż Wielkiej Amerykańskiej Pustyni.

Wysoko ponad nim, niemal przesłaniając bezchmurne kobaltowe niebo, pojawiła się ogromna postać kowboja. Dwa wielkie buty z ostrogami, każdy wysokości dziesięciopiętrowego domu, stanęły na wzgórzach obok miasta, a gigantyczne nogi, okryte wytartymi skórzanymi ochraniaczami i wysokie jak drapacze chmur, sięgały do pasa z rewolwerami wiszącymi trzysta metrów nad ziemią. Srebrzyste kule mierzyły w dół, w Wayne'a, niby kadłuby samolotów. Ponad nimi wyrastało urwisko kraciastej koszuli, a dalej szerokie ramiona, które zdawały się podpieierać niebo.

Wayne odchylił głowę i wpatrywał się w tytaniczną postać, co zmaterializowała się niczym dżin z południowego nieba. Jedna z gigantycznych nóg przesunęła się w przód, oderwała od wzgórza, przestąpiła na drugie. Wayne z wysiłkiem podniósł rękę, przerażony, że olbrzym skręci i przypadkiem nadeptnie na niego. Patrząc na surowe rysy twarzy pod szerokim rondem kapelusza, rozpoznał tę postać.

– John Wayne...!

Nasłuchiwał własnego krzyku. Czyżby ginący umysł stworzył wizję jego imiennika z miasteczka pogranicza i duchów Dzikiego Zachodu? Aktora filmowego, którego pierwszy raz oglądał w „Dyliżansie”?

Olbrzym nie zwracał uwagi na wyczerpanego młodzieńca opartego o nagrobek. Dopiął pas i odsunął się lekko, robiąc miejsce na niebie. Wayne wstrzymał oddech. Kolejny wielki

cowboy wyrósł obok pierwszego, szczupły mężczyzna o rozmarzonych oczach i delikatnych dłoniach, nigdy nie oddalających się od rewolwerów.

– Henry Fonda...

Ubrany jak Wyatt Earp w westernie, który Wayne oglądał już tyle razy: „My Darling Clementine”.

I jeszcze jedna postać dołączyła do dwóch poprzednich, znowu w kostiumie szeryfa – Gary Cooper ze stoickim wyrazem na znużonej twarzy, jaką prezentował we „W samo południe”. Za nimi, zbliżając się spokojnym krokiem przez dalekie góry, nadchodził niższy, dobrze zbudowany mężczyzna, Alan Ladd jako Tajemniczy Przybysz w „Shane”. Stanęli obok siebie: powietrzna Mount Rushmore, bohaterowie wskrzeszeni z grobów Boot Hill i fałszywych saloonów Dodge City.

Wayne oparł się o nagrobek, pewien, że jedynie ta wizja gigantycznych postaci z amerykańskich mitów utrzymuje go przy życiu. Ruszyli naprzód, ramię w ramię, gotowi do ostatniej wymiany strażów na ulicach tego Tombstone na niebie. Wayne sięgnął po strzelbę; chciał wypalić w powietrze, wezwać olbrzymów, by go ocalili. Przeszli mu nad głową wielkimi krokami, okrywając ziemię mrokiem, ponad zakurzonymi dyliżansami, drewnianymi saloonami własnego marzenia; razem ruszyli w kierunku gór na zachodzie.

Powietrze oczyściło się i kopała nieskazitelnie błękitnej porcelany zawisła nad Wayne’em niby sklepienie cichego, dobrze oświetlonego mauzoleum. Na przemian zapadał i budził się z płytkiego delirium, przeżywając krótkie jasne chwile, kiedy widział zielone góry i pagórki, zalesione zbocza Gór Skalistych przyzywające go wzdłuż biegu Cimarron i osłonięte dżunglą doliny wilgotne od bystrych potoków. A potem nagle widział tylko kurz i piasek białych wydm wokół Boot Hill.

Steiner zniknął, podążył za wielkimi bogami z nieba. Kiedy Wayne widział kapitana po raz ostatni, ten szedł między nagrobkami i uniesioną dłonią osłaniając oczy spoglądał na ogromne postacie. Jednak Wayne zauważył, że koszulę ma wilgotną. Uznał więc, że Steiner podał mu wodę z kanistra.

Jakiś czas później nadszedł wieczór. Wayne spostrzegł niezwykłą maszynę szybującą nad miasteczkiem, samolot z pajęczej folii z małym, powolnym śmigłem, które delikatnie miało lekki wiatr. Miał dwa smukłe, owadzie skrzydła i przejrzysty kadłub, a wewnątrz pedałowal energicznie brodaty mężczyzna.

Wayne obojętnie przyglądał się temu szalonemu cykliście uwięzionemu wewnątrz delikatnego szybowca. Uświadomił sobie, że słyszy wyraźne gwizdy maszyny parowej. Czyżby „Apollo” miał właśnie odbić od mola i popłynąć przez wieczorną pustynię, przerobiony może na parowy jacht naziemny, rzucając od dziobu na boki dwa zgrabne odkosy białego piasku? Patrzył, jak samolot krąży nad milczącymi ulicami Dodge City, z ręcznie wykręca niemal w miejscu i kieruje się w stronę cmentarza, po śladach, jakie zostawili na piasku on i Steiner. Pilot pedałowal wściekle, wznosił się, potem uchylił plastikowe okienko i spojrzal z góry na wyczerpanego mężczyznę opartego o kamienny nagrobek.

Nie dziwiąc się już niczemu, Wayne bez trudu rozpoznał tę brodatą twarz. Pilot krzyknął coś i mocniej zakręcił pedałami, wznosił się i skręcił, jakby chciał zwrócić uwagę grupy poszukiwawczej na ziemi.

– McNair... – Uśmiechając się do siebie, Wayne pomachał przejrzystym skrzydłom kołyszającym się nad jego głową. – McNair, to „Gossamer Albatross”. Przyleciałeś tu aż z Waszyngtonu, specjalnie dla mnie...

– Ciągłe jesteś durniem, Wayne! – Ponad rozwichrzoną brodą wykrzywiła się do niego spocona twarz pierwszego mechanika „Apolla”. – Dlaczego, do diabła, wymalowałeś się jak baba? I gdzie są pozostali: Orłowski, kapitan, profesor Summers?

Pojmując, że Wayne nie ma sił na odpowiedź, McNair zakręcił pedałami do tyłu i posadził samolot na parkingu sto metrów dalej. Wysiadł z kabiny. Coraz bliżej rozbrzmiewały parowe gwizdki. Na parking wjechał konwój trzech antycznych, ale wciąż wspaniałych parowych samochodów. Kominy dymiły i dygotały, kłęby pary buchały z cylindrów, starannie wypolerowany mosiądz błyszczał w świetle zachodzącego słońca. Zahamowały w chmurach pary, w brzęku tłoków, wielkie koła wyrzuciły piasek spod opon bez bieżników. Trzeci samochód holował zielony zbiornik wody ze złotym napisem „Straż Pożarna Nowego Jorku” na burcie i umocowaną na dachu zapasową parą szybowcowych skrzydeł. Kierowcy wysiedli, ściągając gogle i prochowce jak z czasów Edwarda. Wayne rozpoznał Urzędników spotkanych w motelu przy New Jersey Turnpike. Kobieta niosła nawet na biodrze dziecko, ładne niemowlę w miniaturowym hełmie pilota na głowie.

Wayne zdołał jakoś uklęknąć. Podbiegli do niego.

– GM – wykrztusił przez spękane wargi, grzbietem dłoni ścierając szminkę. – Heinz, Pepsodent, Xerox... właśnie przegapiliście Johna Wayne’a i Gary Coopera!

## XVI Ratunek

Prędkość, para, pulsujące żarem palenisko i pracujące ciężko zawory – dla Wayne’a było to sensacją większą nawet, niż przeżyli astronauta programu Mercury. Po tygodniowym odpoczynku wyruszyli z Dodge City i pędzili teraz na zachód trasą 50. GM, Pepsodent i Heinz siedzieli za kierownicami trzech samochodów. Mijali wzgórza zachodniego Kansas, zbliżając się do szczytów znaczących coraz bliższe Góry Skaliste. Wayne siedział wygodnie obok Anny Summers na tylnym siedzeniu pierwszego samochodu. Długie smugi srebrzystej pary strzelały z cylindrów. Wiatr chłodził mu czoło i z każdym tchnieniem pędzącego powietrza Wayne czuł, jak powraca mu pewność siebie, jak przepływa każdym nerwem i każdą tętnicą.

Podróżowali z czymś więcej niż tylko fasonem. Trzy parowe samochody – buick roadmaster, ford galaxy i chrysler imperial – zostały zbudowane specjalnie dla burmistrza Detroit w końcowych latach dwudziestego stulecia. Z tapicerką jak w pullmanowskich wagonach, kuloodpornymi szybami i zaczepami dla sprzętu i broni, były to najwygodniejsze pojazdy, jakie Wayne oglądał, o wiele szybsze i potężniejsze od akumulatorowych dublińskich karetek. Pędziły z prędkością prawie pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Do południa pierwszego dnia pokonali sto trzydzieści kilometrów – dystans, który na wielbłądzie wymagałby chyba tygodnia.

Obok przesuwała się pustynia, migały kaktusy i suche kanały łączące porzucone farmy z elewatorami, zaniedbane miasta tłoczyły się wokół ufortyfikowanych stacji benzynowych. Na trasie 50 stało niewiele porzuconych samochodów, więc gnali przed siebie z oszałamiającą prędkością. Pochylony nad wielką kierownicą chryslera Heinz w goglach i szoferskim płaszczu wciskał akcelerator, zwalniając tylko wtedy, gdy McNair na miejscu palacza dorzucał kolejną łopatę węgla przez rozżarzone drzwiczki paleniska.

Sto pięćdziesiąt kilometrów od Dodge City, kiedy bez wysiłku pokonywali wzniesienia, McNair wskazał na spokojne strzałki manometrów.

– Wiesz, Heinz, w Detroit umieli budować maszyny... Te stare firmy samochodowe znały się na rzeczy!

Przesunął gogle na czerwone od słońca czoło i obejrzał się.

– Nie za szybko dla ciebie, Wayne?! – krzyknął. – Jeśli chcesz, możemy zwolnić do trzydziestki.

Wayne opierał się wygodnie, pozwalając, żeby wilgotny podmuch chłodził mu twarz.

– Cała naprzód, Heinz! Cała naprzód! – zawołał dumnie.

Obok niego poblądła od zawrotów głowy Anna Summers trzymała się zaczepu karabinu maszynowego. Wayne obejrzał się przez ramię na podążające z tyłu wozy. Za nimi jechał buick GM-a, potężne koła wirowały szaleńczo, podwójny strumień pary rozciął autostradę niby nastroszony wąs. GM siedział przy kierownicy, a jego młoda, silna żona ładowała węgiel. Ich synek spał z goglami zsuniętymi na pierś. Potężny ford Pepsodenta zamykał kolumnę, ciągnąc cysternę z wodą i umocowany do niej rozłożony szybowiec. Nomadzi przesiedli się do samochodów z zaskakującym entuzjazmem i sprawnością, ale – jak przypominał sobie Wayne – byli przecież prawdziwymi Amerykanami.

Po bliskiej już groźbie całkowitej klęski ekspedycja znowu wróciła do życia. Ratunek McNaira stanowił kolejny punkt zwrotny, kolejny dowód realizacji marzenia. Nomadzi

przenieśli Wayne'a z cmentarza Boot Hill do samochodu, zabrali z Long Branch Saloon ledwie przytomną Annę Summers i przewieźli oboje do pobliskiego Holiday Inn.

Kiedy wracali do siebie, odpoczywając w cieniu markizy obok wyschniętego basenu, McNair opisał im własną ucieczkę przed radioaktywną chmurą nad Nowym Jorkiem. Prócz dwóch ocaleni też wszyscy marynarze. Podczas ostatniego tygodnia prac remontowych „Apolla” McNair odnalazł w brooklyńskim magazynie trzy parowe samochody.

– Mieli je wysłać do Europy, do osobistego użytku prezydenta Browna. Wspaniałe maszyny. To rozkosz przy nich pracować. Na szczęście właśnie skończyłem przegląd silników, kiedy sejsmograf spadł ze ściany. To było trzęsienie ziemi w Bostonie. Zanim wyjechaliśmy na zwiady, nagrałem dla was wiadomość. Dotarliśmy na lotnisko Kennedy'ego i oczywiście nie znaleźliśmy niczego. Postanowiłem sprawdzić sprzęt pomiarowy na dachu PanAm, na wypadek gdyby nastąpił jakiś wzrost promieniowania. I oczywiście liczniki Geigera aż się zapluwały. Rzuciliśmy prace przy „Apollu”, załadowaliśmy samochody węglem z bunkrów statku i z pełną szybkością ruszyliśmy New Jersey Turnpike.

Dwaj palacze badający nocne kluby Harlemu zlekceważyli ostatnie ostrzegawcze sygnały z „Apolla” i zapewne wpadli w radioaktywną chmurę, ale wszyscy pozostali uciekli. Piętnaście kilometrów od Waszyngtonu wyprzedzili czworo nomadów ze szczepu Urzędników, podążających wzdłuż autostrady na wielbłądach. Co prawda ostrzeżenia McNaira przed obłokiem zjonizowanego gazu nic dla nich nie oznaczały, jednak nasłuchali się dosyć o śmierci nadchodzącej z nieba. Natychmiast porzucili wielbłądy i usiedli z tyłu starożytnego buicka.

W Waszyngtonie dołączyli do zgromadzenia niespokojnych Indian z różnych plemion, których do opuszczenia terenów łowieckich zmusiły znaki na niebie: te same wizje ogromnego statku kosmicznego, po którym nieodmiennie następowały tajemnicze trzęsienia ziemi i wybuchy w elektrowniach jądrowych. Wielu nomadów ze szczepu Gangsterów, jak odkrył McNair, cierpiało na leukemię i oparzenia popromienne po katastrofach w Cincinnati i Cleveland.

Wszystko to bardzo dziwiło McNaira, podobnie jak Wayne'a i Annę Summers, odpoczywających w Holiday Inn w Dodge City.

– W Stanach Zjednoczonych działało około setki elektrowni jądrowych – przypomniał McNair. – Czyżby wmontowano tam urządzenia, detonujące po stu latach, jako rodzaj obłąkańczej broni ostatecznej? Niemożliwe, Anno. Wayne, zastanów się nad tym.

Anna machnęła ręką z lusterkiem, w którym oglądała ostatnie pęcherze na skórze. Bez makijażu i z jasnymi włosami zawiniętymi w ręcznik przypominała trochę zaniedbaną, zmęczoną mniszkę.

– Wiem – oświadczyła. – Ale w ostatnich dniach paniki w Białym Domu urząd prezydenta musiał wydać wiele bezsensownych poleceń.

– To prawda. Ale skąd ten dziwaczny system trzęsień ziemi, atakujących przypadkowe punktu kraju? Nie podążają po żadnych znanych liniach tektonicznych. Uskok San Andreas nie przebiega przez wyspę Chappaquiddick. Te trzęsienia ziemi mają dużą siłę w skali Richtera, ale niezwykle krótki czas trwania. A także podejrzaną zdolność zniszczenia rdzenia reaktora w najbliższej elektrowni atomowej.

Wszystkie te zagadki zdawały się sugerować, że cała skorupa Stanów Zjednoczonych pęka jak olbrzymi herbatnik. Co do tajemniczych wizji na niebie, o których mówili Indianie, były z pewnością rezultatem zbiorowej fantazji zabobonnych i niewykształconych proto-Amerykanów. Ich wyobraźnia, napędzana kaktusowym winem i kefem, przenosiła tę fantazję na każdy kaktus i każdy oset.

– Ależ McNair! – zaprotestował Wayne ze swojego leżaka. – Przecież ja też zobaczyłem wizję. Nie statek kosmiczny, ale Johna Wayne'a, Henry'ego Fondę, Gary Coopera i Alana



Ladda. Każdy z nich miał z półtora kilometra wzrostu. I to nie miraż; byli prawdziwi. Steiner też ich widział.

– Oczywiście, Wayne. Ale Steiner, no cóż...

Oboje, Anna i McNair, zachowali sceptycyzm, uznając wizję aktorów za produkt pustynnej choroby Wayne'a. Tylko Wayne martwił się opowieściami Indian. W wielu z nich występowały niezwykle i złowróżbne elementy, w szczególności obraz łysego młodego człowieka z posiniaczoną twarzą i oczami fanatyka: dziwaczego psychopaty wśród pamiątek z Myszka Mickey. Był też posępny mężczyzna w błękitnym garniturze, o twarzy samotnego grabarza – być może plemiennego bóstwa Urzędników, mściwego ducha wszystkich wędrownych Manhattańczyków...

Jednakże przez długi czas Wayne po prostu rozkoszował się świadomością, że McNair ocalił ich w ostatniej chwili. Załoga „Apolla” pozostała w Waszyngtonie. Żaden z marynarzy, starych wilków morskich, nie cieszył się na myśl o wędrowce przez amerykańską pustynię. W Waszyngtonie mieli założyć bazę, administrować Indianami (bosman uznał wręcz, że cały stan New Jersey nadaje się na rezerwat – dostatecznie suchy dla tych nomadów, lubiących rogatki, sklepy z błyszczącą biżuterią i kina dla zmotoryzowanych). Mieli też szukać aparatury radiowej, żeby nawiązać kontakt ze statkiem ratunkowym, który z pewnością w najbliższych miesiącach wysłę Moskwa.

McNair zostawił ich więc i wyruszył trzema parowymi samochodami razem z Heinzem, Pepsodentem, GM-em i Xerox z jej nowo narodzonego dzieckiem, nazwanym WTOP od lokalnej stacji radiowej, w której holu nastąpiło szczęśliwe rozwiązanie. Urzędnicy polubili samochody i otwarte szlaki, McNair zaś marzył o zbadaniu wzdłuż i wszerz całej Ameryki. Chciał obejrzeć zamarte fabryki i zakłady, kopalnie i stocznie, spróbować realizacji marzenia o ponownym uruchomieniu tego gigantycznego mechanizmu. Dość ostrożnie zwierzał się Wayne'owi, a nawet Annie Summers. Śmierć Orłowskiego i Ricciego, ucieczka Steinera, groteskowo wymalowane szminką twarze – co musiało służyć czemuś więcej niż tylko ochronie przed słońcem, cokolwiek twierdzili Wayne i Anna – wszystko to powstrzymywało go od zbytnej zażyłości.

Wyśledzenie ich mniej zawdzięczał szczęściu, a bardziej kolumnom dymu pozostawianym nad każdym spalonym miasteczkiem. Przemierzając tam i z powrotem Środkowy Zachód, znajdując i gubiąc trop wielbłądów, natrafił w końcu na martwe zwierzę przed stacją benzynową na przedmieściach St Louis. McNair zauważył gnijące ściervo z „Gossamer Albatrossa”, którego zabrał z wystawy w Instytucie Smithsona. Co siedemdziesiąt kilometrów zatrzymywali się, żeby załadować paliwo – każdy z samochodów wiozł w bagażniku tonę antracytu – i McNair wsiadał do mięśniolotu, by rozejrzeć się po okolicy. Podczas takiego lotu, w pobliżu Topeka, po raz pierwszy zobaczył słup dymu, czarny palec wskazujący punkt na białej jak kość pustyni – miejsce jakiegoś niezwykle wydarzenia.

– Przybyliśmy dosłownie w ostatniej minucie ostatniej rolki filmu – opowiadał dwójce ocalałych. – Nie złapałibyście już pociągu o 15.10 do Yumy. Chociaż Bóg jeden wie, dokąd zmierzaliście... Byliście wypacykowani jak trupa transwestytów... – Znad brzegu suchego basenu hotelowego McNair spojrzał ostro na Wayne'a i Annę. Mimo pewnego skrępowania coś jednak łączyło tych dwoje. – Ricciego mi nie żal. Nigdy mu nie ufałem. Jego kajuta była wypakowana bronią, musiał okraść chyba wszystkie sklepy z bronią na Manhattanie. Ale fatalnie, że nie udało się uratować Orłowskiego. Co do kapitana, to na pewno gdzieś tam jest. Wróci, Wayne, kiedy będzie gotów. Zawsze miałem uczucie, że przeprowadza na sobie jakiś eksperyment...

Wayne z powagą kiwnął głową. Wyrazna podejrzliwość McNaira przekonała go, żeby nie tłumaczyć charakteru zdrady Steinera. To dziwne, ale nie miał żalu, jak gdyby brutalne porzucenie ekspedycji przez Steinera usprawiedliwione było głęboką wewnętrzną potrzebą, elementem tej samej prywatnej mitologii, która ich wszystkich pchnęła w podróż do Nowego

Świata. Stany Zjednoczone gwarantowały wszystkim, że zrealizują tu swoje najbardziej szalone fantazje, dokądkolwiek by ich poprowadziły... że zbadają każdą, choćby najbardziej dziwną możliwość.

A jednocześnie nie potrafił zapomnieć o śmierci Orłowskiego. Wspominał umierającego komisarza, wymalowane policzki pokryte kurzem, głowę objającą się o piasek, gdy Wayne ciągnął po autostradzie jego drewniane nosze. Orłowski bredził, gadał bez przerwy.

– To wszystko twoja wina, Wayne. Ty nas tu sprowadziłeś, powinienem wysadzić cię na brzeg na Azorach... Ty, tak, pasażer na gapę, bardziej ode mnie chcesz zostać prezydentem...

A potem, na samym końcu:

– Jesteś jak Nixon, Wayne. Zyskasz jedną kadencję, jedną bardzo krótką kadencję...

Co do Ricciego – Pepsodent znalazł ciało w piachu na ulicy miasteczka – Wayne wyjaśnił Annie i McNairowi, że musiał zastrzelić fizyka, gdy ten usiłował zbiec z resztką wody. Jednak w rzeczywistości pocisk, który trafił Ricciego w tył głowy, nie pochodził z winchestera Wayne'a. Zanim Wayne na kolanach doczołgał się do bezcennego kanistra, fizyk leżał już martwy. Z nie znanych nikomu powodów Steiner włączył się do sporu – niezwykle anioł stróż, który pozwalał Wayne'owi na ucieczkę od samego początku, od chwili kiedy opuścili Plymouth Sound.

Wayne milczał jednak, świadom statusu, jaki zyskał dzięki śmierci Ricciego, autorytetu być może potrzebnego na przyszłość. Anna Summers także zdawała sobie z tego sprawę. Wiedziała, że Wayne odkrył jej słabość do salonów piękności i magazynów filmowych, jej marzenie o karierze filmowej gwiazdy. Ale na ulicach Dodge City stanął do walki w jej obronie. A kiedy wracali do sił nad pustym basenem, Anna nieoczekiwanie wzięła go za rękę.

– Ocaliłeś mi życie, Wayne... ale nigdy ci nie wybaczę.

Rozpierając się za spowitym parą tylnym siedzeniu chryslera, Wayne rozmyślał nad jej słowami. Słuchał uderzeń tłoków i zgrzytania zaworów. Wjeżdżali na coraz bardziej strome zbocza Gór Skalistych, coraz bliżej korzeni jego zagubionej Ameryki.

## XVII

### Przez Góry Skaliste

Wjeżdżali coraz wyżej. W chłodniejszym, czystym powietrzu wreszcie mogli odetchnąć swobodnie. Podążali pustą autostradą, przecinającą zygzakami góry Sangre de Cristo w południowym Kolorado, które zmiana klimatu upodobiła do Utah ze slajdów, jakie Wayne pamiętał z dublińskiej biblioteki. Ponad burtą chryslera spoglądał na strome skalne ściany, od stulecia rzeźbione wiatrami niczym gotyckie katedry, kilometry poszarpanych kanionów, szkarłatnych urwisk, potem doliny wydm i równiny jak z dawnych westernów. Po obu stronach drogi, dwa tysiące metrów ponad poziomem morza, rosły skały barwy różowego płomienia, zygzaki szczelin – labirynt miniaturowych Wielkich Kanionów. Parowe wozy wspinały się po wzniesieniach, tłoki ścisnęły rzednące powietrze, pasażerowie podziwiali opalizujące drzewa porastające stoki gór, skamieniałe resztki gęstych sosnowych lasów. Wszędzie natura zatrzymała się niemal w miejscu.

Dwie godziny później minęli ostatnią przełęcz i ruszyli w dół, do wyschniętej doliny Rio Grandę. Wayne szukał wzrokiem jakichś oznak źródeł czy wycieków, ale rzeka była tylko wypaloną blizną na barwnej pustyni, wśród niewielkich kotlinek, samotnych ostańców i kruszących się skał, stojących po obu stronach dawnego koryta niczym zapomniane przez graczy szachowe figury.

Na noc zatrzymali się przy Alamosa, dołożyli do palenisk wilgotnego miazgu i zasnęli pod gwiazdami, w chłodnym górskim powietrzu pachnącym żywicą, pirytami i śmiercią. Następnego ranka skręcili wyżej, ku górom San Juan – grzebieniowi rozdzielającemu wschodnią i zachodnią połowę kontynentu.

Potężne silniki pchały ich w górę z entuzjazmem godnym dawnych lokomotyw Pacific Union. Mijali opuszczone pensjonaty narciarskie, podobne do ufortyfikowanych domów rasy współczesnych Inków. Kiedy temperatura spadła jeszcze, a oddechy skraplały się w powietrzu, zatrzymali się w uzdrowisku, by wyłamać drzwi i zaopatrzyć się w koce, rękawice narciarskie i grube kurtki – tweedowe dla mężczyzn, futrzane dla Anny Summers, Xerox i dziecka.

Na przełęczy Wolf Creek, ponad trzy tysiące metrów – trzy wieżowce OPEC – nad poziomem morza, Wayne wychylił się przez osłonę i klepnął Heinza w ramię.

– Heinz, zatrzymaj się na chwilę!

Wyprostował się i dał znak innym samochodom. W zimnym, rozrzedzonym powietrzu para z silników kondensowała się w wilgotną mgłę i osiadała na szosie.

– Co to jest, Anno? McNair, widzisz je? Wyglądają jak sygnały.

Wayne wskazał postrzępione białe zasłony udrapowane na stromych grzbietach rozcinających dach nieba trzysta metrów ponad ich głowami. Niewielkie strzępki tych jasnych płacht leżały na ziemi obok drogi jak flagi odrzuconego semafora.

Wayne wyskoczył z chryslera i podszedł do najbliższej łąty. Opadł na kolana i nabrał w dłonie lodowatych białych kryształków. Przycisnął je do policzków.

– Anno! To śnieg!

Wszyscy wyskoczyli z wozów, odrzucając rękawice i gogle. GM i Heinz ze śmiechem tarzali się w śniegu, Pepsodent rozkopywał go nogami i pchał kryształki do ust, Xerox zjeżdżała z zachwyconym dzieckiem po łagodnych zboczach. Śnieżkowe walki wybuchły wokół samochodów. Anna Summers z zarumienioną, białą od śniegu twarzą ścigała Wayne'a i McNaira.

Wciąż się śmiali, kiedy po dziesięciu minutach zjechali z przełęczy w długą, krętą drogę do Durango. Po obu stronach mijali zaśnieżone szczyty i łąki przypominające elegancko zaprojektowane pola golfowe.

Wszyscy pochylali się do przodu, spoglądając z napięciem w dół, na ogromną chmurę białego talku przesłaniającą dolinę rzeki San Juan. Trzysta metrów pod nimi jej pierzaste sklepienie odbijało się od gór, rozciągało przez Utah i Arizoneę na południe, do Nowego Meksyku.

Kiedy zbliżali się do niej, Wayne poczuł chwilową panikę.

Nie wiedział, czy zdołają oddychać tą mgłą barwy mielonych kości, prawdopodobnie oparem z ługowych jezior w Dolinie Śmierci, tak gorącej, że nawet skały zaczynały parować.

Ale kiedy minęli ostatni zakręt, morze pyłu wyraźnie się przerzedziło. Otaczała ich przejrzysta para, wilgotna mgiełka podobna do kłębow buchających z cylindrów chryslera.

Był przemoczony! Spojrzał na wilgotną, błyszczącą skórzaną pelerynę. Wilgoć skraplała się na szybach, ściekała z googli Heinza, błyszczała na brwiach Anny, kapiała ze spalonego słońcem czubka nosa McNaira.

– Chmury! McNair, wielki Boże, to deszcz!

Pokrzykując do siebie, zsuwali się po górskiej drodze. Przez mokre opary widzieli jaskrawe, zielone igły młodych sosen na zboczach. Zjeżdżali w mokry, leśny świat. Było cieplej, bardziej wilgotno. Minęli gigantyczny dąb nad płytkim strumieniem, potem krystaliczną kurtynę wąskiego wodospadu. Sosny i srebrzyste brzozy porastały trawiaste stoki, dziesiątki górskich ruczajów łączyły się w bystry potok. Potok przeciął drogę, zmył kurz z ich kół, potem szeroką kaskadą runął w gładki skalny lejek do niewielkiego jeziora o sto metrów poniżej.

Powietrze oczyściło się. Uniosły się kłęby chmur jak pierzaste sklepienie, sufit wielkiego zielonego buduaru. Powietrze było tu gęściejsze, gorące i wilgotne, niczym w tropikalnej dżungli. Dookoła widzieli czerwone dęby i sykomory. Jaskrawe lilie rozsypywały białe płatki, długie liany oplatały pnie brzoź. Pojawiły się pierwsze zielone palmy z parasolami uniesionymi jak dla ochrony przed nieustającą mżawką. Rosły tamaryszki i bambusowe gaje, miejscami barwne orchidee, mech zwisał łańcuchami z konarów statecznych dębów. Przesyczone wilgocią powietrze wszystkiemu dodawało błysku szmaragdowego światła.

Przystanęli przed następnym przecinającym drogę potokiem. Anna wskazała porośniętą dżunglą dolinę. Nieduże jezioro długości kilkuset metrów rozlewało się między górkami zboczami. Ciemne chmury gromadziły się tuż nad czarnymi wodami. Gwałtowny wiatr mącił powierzchnię jeziora, pasy zmarszczek sunęły wolno w ich stronę. W ostatniej chwili zajaśniał niebieski błysk i w centrum szkwału wyleciał zimorodek. Wielkie krople uderzały już o gorący metal maski chryslera, syczały gniewnie na klapie paleniska. McNair wysunął łopatę i pochwytał kilkanaście wrzących kropli. Wszyscy krzyczeli z radości, zrywając z siebie zimowe okrycia. Xerox huśtała nagiego synka, wciąż jeszcze w goglach na twarzy. W tym radosnym potopie przypominał piskliwego cherubina w mrocznym lesie. Redukując prędkość do minimum, Heinz szukał czegoś przy desce rozdzielczej, wreszcie krzyknął tryumfalnie, gdy wycieraczki – nigdy dotąd nie używane – z godnością oczyściły dwa wachlarzowate okna na zalanych szybach.

Ścigani monsunową ulewą zjeżdżali w dół, ze wszystkich stron otoczeni gęstym tropikalnym lasem. Stacje benzynowe i przydrożne bary, myśliwskie chatki i motele dawno już pochłonęła roślinność. Trawa i wysokie po pas paprocie przebiły asfalt podjazdów, powoje opłotły dystrybutory i drewniane dachy.

Dżungla zagarnęła Durango. Pędzili pustymi ulicami, wzdłuż mokrych od deszczu krawężników, za którymi wyrastała wysoka na dwa piętra ściana lasu. Masa czerwonych dębów odepchnęła lekkie domki. Palmy przebijały frontony sklepów, przez okna sięgały ku

niebu, walczyły z porzewiałymi neonami. W centrum skorupy porzuconych samochodów tworzyły ciągi kwietników z kanną i dzikimi różami.

– Heinz, uważaj!

Chrysler skręcił gwałtownie, a McNair szybko chwycił kierownicę. Heinz siedział oszołomiony – uniósł ręce, gogle przekrzywiły mi się na głowie. Wskazywał wysokie, długonogie stworzenie przekraczające ulicę – eleganckiego przechodnia w plamistym żółtym płaszczu.

– To żyrafa! – Anna Summers podniosła się na tylnym siedzeniu.

Chrysler zwolnił i zatrzymał się z piskiem. Oczekali, aż zwierzę oddali się wzdłuż ciągu sklepowych wystaw, skubiąc po drodze owoce zwisające z kabli telefonicznych.

Szybko odkryli, że wśród drzew roiło się od wszelkiego rodzaju dzikich istot, potomków ptaków i ssaków uwolnionych przed stuleciem przez emigrujących strażników ogrodu zoologicznego. Smętny lampart spoglądał na nich znad wejścia do komisariatu, dwa gepardy przysiadły na stopniach ratusza. Chmura zaalarmowanych hałasem złośliwych wilg poderwała się spośród liści. Krzykliwe ary błyskały upierzeniem szybując nad pustymi parkingami, przerażona papuga uciekła przed chryslerem i wrzasnęła z wyrzutem, siadając na dachu salonu samochodowego.

Dwa dni później, po południu, jechali w kierunku Las Vegas, a ich zmysły oszałamiały nieskończone fale żaru. Dżungla podążała za nimi od gór, otaczał aromat tropikalnych kwiatów. Rozległe Mato Grosso pokryło zachodnią część kontynentu, przemieniło pustynne stany w krainę drzew i bystrych strumieni, setek jezior zasilanych monsunowym deszczem. Ciepły prąd z południowego Pacyfiku pokonał zimny Humboldta i przez sto lat posyłał gorące, wilgotne wiatry przez Sierra Nevada. Kalifornia, pustynia Mojave, sama Dolina Śmierci stały się prowincjami amazońskiej puszczy, która przekroczyła Przesmyk Panamski, by przez Meksyk i Baja California skolonizować pustynię.

– Wayne...! Widzę Las Vegas!

Mięśniolot krążył wolno sześćdziesiąt metrów nad głową Wayne'a, w wąskiej wstędze nieba widocznej między ścianami lasu. Zatrzymali się, żeby zmienić oponę w galaxie. Heinz i Anna Summers pomagali Pepsodentowi obsługiwać ciężki podnośnik, a Wayne odpoczywał na tylnym siedzeniu chryslera. McNair machał podniecony z kabiny „Albatrossa”. Jego głos ginął w ćwierkaniu tysięcy tropikalnych ptaków, mieszkańców niezwykle ptaszarni uwięzionych za zielonymi kratami, szczepów zirytowanych papug, prowadzących jakieś zawile dyskusje niczym pacjenci w przydrożnym szpitalu dla umysłowo chorych, delikatnych kolibrów zahipnotyzowanych własną urodą.

Obserwując powolny szybowiec o zniewolonych słońcem skrzydłach, Wayne zamknął umysł na ptasie krzyki. Z jakichś nie znanych sobie powodów znów myślał o pustyni, o nieskończonej bieli równin Kansas, o zasuszonych miastach, silosach zbożowych, elementach osobistego marzenia, które czekało, aż zacznie je urzeczywistniać. Tam objął kontrolę nad Steinerem, Anną Summers i pozostałymi. Tutaj, w tym hałaśliwym domu wariatów, samotność jest wykluczona. Od szumu i ruchu czaszka pękała mu jak kokos.

– Wayne! Obudź się!

McNair podchodził do lądowania. Czubki kruchych skrzydeł sunęły na odległość ramienia od ściany dżungli. Z emocji wystawiał brodę z plastikowej kabiny i przez moment przypominał kogoś z tych pijanych powietrzem zwariowanych ptaków.

Wayne wyskoczył z wozu i pobiegł za szybowcem. Delikatny samolocik unosił się lekko nad drogą, wirujące śmigło cięło gorące powietrze. Gdy Wayne i Anna chwycili za skrzydła, McNair wysuwał się już na zewnątrz.

– Widziałem Las Vegas, Anno...! – Zachwiał się na miękkich nagle nogach, bez tchu oparł się o jej ramię. – Rozumiesz, Wayne...?

– To dobrze. – Wayne podtrzymał mechanika. – To ledwie trzydzieści kilometrów stąd.  
– Nie! – McNair energicznie pokręcił głową, rozrzucając brodą kropelki potu. – Ono jest oświetlone! Palą się wszystkie neony! Anno, tam muszą być ludzie, całe tysiące!

## XVIII

### Elektrograficzny sen

I tak przybyli do elektrycznego raj. Zmierzch zapadł, kiedy pokonywali ostatnie kilometry. Wayne siedział zaciskając dłonie na szybie chryslera, nasłuchiwał wśród drzew echa uderzeń tłoków i pracy zaworów. Poprzez listowie spoglądał na różowe i złociste światła płonące w dole jakby z ogromnego paleniska. Jezioro neonów tworzyło migotliwą koronę, kilometry świetlówek pędziły wzdłuż podjazdów kasyn, wspinały się przez frontony hoteli i rozlewały szerokimi kaskadami. Pod niebem koloru ultramaryny, tak ciemnym teraz, że nie widzieli własnych twarzy, spektakl tego miasta, niegdyś stolicy hazardu, wydawał się równie nierzeczywisty jak elektrograficzny sen.

Wayne wstał na tylnym siedzeniu, pozwalając, by fala światła spływała mu na dłonie i koszulę, krystalicznym blaskiem rzeźbiła czoło. Anna chwyciła go za ramię. Jej twarz rozbłyskiwała przełomie pierwszymi odbiciami neonów wielkich hoteli. Przycisnął jej dłoń, próbując w równej mierze sobie co jej dodać odwagi.

– Wayne, to cudowne... Ale kim oni są?

– Jeszcze nie wiem, Anno. Może to Gracze. Ale kimkolwiek są, z pewnością wiele potrafią.

Heinz ostrożnie zwolnił do szybkości piechura. Z wyraźną podejrzliwością spoglądał na neonowe reklamy, od czasu do czasu próbował strzepnąć z ramienia McNaira odbite światło. Galaxy Pepsodenta i buick GM-a jechały za nimi zderzak w zderzak. Zdumione twarze Indian tkwiły przyciśnięte do szyb jak twarze żebraków do okien sali bankietowej.

– No dalej, Heinz – ponaglał go Wayne. – Dodaj pary.

Pokażmy im, że tu jesteśmy. Anno, widzisz te hotele? Pałac Cezara i Desert Inn. Wszystkie tam stoją: Dunes, Flamingo, Sahara... Heinz, to są twoje statki na niebie...

– Ale Wayne, kto w nich mieszka? Całe to miasto jest puste! – Anna poprawiła włosy, zerkając na swoje odbicie w szybie. – I dlaczego nikt o nich niczego nie wiedział?

– Bo my pierwsi dotarliśmy na tę stronę Gór Skalistych! – Wayne czuł, że wraca mu pewność siebie. – Nikt jeszcze nie pokonał wszerz Ameryki! Pomyśl tylko, McNair...

– Myślę, Wayne. Powtarzasz nam to sto razy dziennie.

McNair roześmiał się życzliwie. Wyraźnie podziwiał Wayne'a, a ten stał dumnie wyprostowany na tylnym siedzeniu chryslera, niczym ostami z pionierów, który przeprowadził swój tabor przez cały kontynent. Dotarli do północnych granic miasta, oświetlonej, ale pustej okolicy pełnej parkingów, moteli, barów i wielopoziomowych skrzyżowań. Wayne oczekiwał niemal, że ktoś wyjrzy przez okno kasy na stacji benzynowej i ich zauważy. Lada chwila zbiegnie się tłum i będzie ich pozdrawiał przez całą drogę do centrum.

Ale mimo jaskrawych światła Las Vegas wydawało się dziwnie ciche. Uliczne latarnie oświetlały puste parkingi, lecz wokół nie było ani samochodów, ani ludzi. Nikt nie grał na niezliczonych automatach w sklepach i salonach. Frontony kasyn przy Fremont Street jaśniały z niemal halucynatoryczną intensywnością, ale nikt nie stał na chodniku przed Złotym Nuggetem, Mintem i Podkową. Dżungla pochłonęła niektóre dzielnice, a neony nad Dunes i Desert Inn paliły się wśród płataniny lian i gigantycznych paproci. Południowa część miasta, na wschód od Stripu, była częściowo zalana wielkim jeziorem zasilanym górskimi rzekami – drugie Las Vegas, zatopione miasto jaśniejące równie mocno jak pierwsze – migotało do nich z morza światła.

Zatrzymali się przed Złotym Nuggetem. Wayne rozejrzał się po pustej ulicy, nagrzanym kanionie gorętszym chyba niż palenisko chryslera. Niespokojnie czekał, aż coś się wydarzy. Buick GM-a zahamował obok, przestraszona Xerox wtuliła się w ramię męża, z dzieckiem pod koszulą. Dołączył Pepsodent – jego wielkie oczy przeszukiwały okolicę niczym reflektory. Skrzydło szybowca poruszało się w obłuzowanych linach i Wayne nagle pomyślał, że są jak drugorzędna trupa cyrkowa, która ze skromnym przedstawieniem powietrznym zjawiała się w kurorcie długo po sezonie. Las Vegas bez wysiłku wytrzymało konfrontację nawet z jego ambitnymi marzeniami. Może właściciele spelunek, gangsterzy i operatorzy kasyn, którzy opuścili miasto przed stuleciem, niedbale zostawili włączone światła. A te wąwozy neonów zasilał jakiś potężny niewidzialny akumulator, ładowany emocjami pokoleń graczy...

– Wayne... – Anna nerwowo potrząsnęła głową. Jechali wolno wzdłuż Stripu. – Nie możemy tu zostać. To szaleństwo. Może wszyscy śpią?

Wayne liczył milczące hotelowe tarasy. Czyżby coś się poruszyło?

– Anno, nikt tu nie spał. To było miasto bez zegarów. – Uderzył pięścią o szybę. – Posłuchaj!

Gdzieś blisko, kawałek dalej wzdłuż ulicy, rozbrzmiewały dźwięki muzyki, oklaski i męski głos. Grała orkiestra, elegancka hotelowa orkiestra. Głos śpiewaka wznosił się w nocnym powietrzu, nucąc spokojnym, lekko modulowanym, na wpół znajomym barytonem.

Pięć minut później wysiedli z samochodów i ostrożnie weszli do hotelu Sahara. W jasno oświetlonym, choć pustym foyer wyraźnie słyszeli dźwięki ze sceny, gorące brawa publiczności, pewny siebie, żartobliwy głos śpiewaka, wypowiadającego swoje kwestie między piosenkami. Wayne uspokajająco machnął ręką wystraszonym nomadom w parowych wozach. Poszli dalej. Poprowadził Annę i McNaira obok znieruchomiałych kół ruletki i stołów do blackjacka. W blasku lamp wszędzie lśniły stopy żetonów, ułożone równo na nieskazitelnie zielonym suknie.

Kiedy przez tylne drzwi weszli do restauracji, Anna ścisnęła Wayne'a za ramię. Spoglądała z wyraźną troską, jakby usiłowała obudzić go z niebezpiecznego snu.

– Wayne, to przecież... Pamiętasz go!

Zatrzymali się w cieniu za kotarą i spojrzeli na oświetloną jasno scenę. Salę wypełniali siedzący przy stolikach dobrze ubrani widzowie w średnim wieku. Śpiewak w czarnym smokingu zakotłosał się w kręgu światła reflektora, przysunął do ust mikrofon i odchylił głowę.

– *And much more, much more than this, I did it...*

Wybuchła burza braw, entuzjastyczne krzyki zagłuszyły ostatnie słowa. Przyłączyli się nawet kelnerzy, kilku muzyków odłożyło skrzypce, żeby zaklaskać. Potężny, rumiany mężczyzna w kraciastej marynarce wstał i zdjął kapelusz, gdy wokalista kłaniał się z gracją. Tlenione kobiety ocierały oczy.

– Wielki Boże! – Zaszokowany McNair przecisnął się obok Wayne'a. Rozpoznał piosenkarza. – To przecież Sinatra.

Wayne zidentyfikował już człowieka z mikrofonem, krępego, lecz potężnie zbudowanego, z wysokim czołem i szarosrebrnymi włosami. To był Sinatra z późniejszego okresu, Sinatra z niezliczonych pożegnalnych koncertów, kiedy Ameryka nie chciała uwolnić swoich ostatnich wspaniałych symboli, znaków pewności siebie. Zmuszała ich do kolejnych powrotów na scenę.

Oklaski trwały ciągle, a kelnerzy zakrzętnęli się sprawnie, serwując drinki. Orkiestra zagrała znowu.

– Wayne... – Anna Summers niespokojnym wzrokiem szukała wyjścia. – Gdzie my jesteśmy?

– Zaczekaj! – Wayne wskazał przesuwający się krąg światła reflektora. – Patrz, Anno.



Sinatra odwrócił się i szerokim gestem wskazał kulisy. Lewa dłoń poruszała się w rytm muzyki. Elegancki mężczyzna w smokingu wszedł z wdziękiem. W jednej ręce trzymał cygaro, w drugiej szklanekę.

– Panie i panowie... – Sinatra uniósł dłoń, by uciszyć publiczność. – Chciałbym przedstawić mojego przyjaciela, człowieka, którego Bogie nazwał kiedyś pijakiem wszystkich pijaków... Oto Dean Martin!

Wayne obserwował scenę, poruszony muzyką i brawami. Reflektory omiotły scenę, dyrygent wznosił pałeczkę i głośne crescendo powitało trzecią postać, stojącą skromnie przy kulisie. Śliczna młoda dziewczyna miała na sobie sukienkę w kratkę i fioletowe buciki, a włosy ściągnęła w dwa mysie ogonki. Pozwoliła Sinatraze na całusa, zerkając przy tym na buciki, jakby chciała się upewnić, że wciąż ma je na nogach. Po czym wykonała charakterystyczny dyg.

I znowu Wayne ją poznał: Judy Garland. Publiczność biła brawo jak szalona, Teksasczyk w kraciastej marynarce zerwał z głowy kapelusz i wymachiwał cygarem, tlenione damy ocierały oczy. Sinatra umocował mikrofon na stojaku. Wziął dwójkę nowo przybyłych za ręce i chórem zaintonowali ostatnią pieśń.

Trzymając Annę za ramiona, Wayne patrzył na scenę z gwiazdami. Czuł się poruszony, ale spokojny, chociaż McNair przez moment wydawał się oszołomiony: potrzasał zegarkiem jak wariat i sprawiał wrażenie, jakby chciał się schować za własną brodą.

Anna odsunęła się.

– Wayne, co się tu dzieje? Czyżbyśmy cofnęli się w czasie?

– Nie sądzę. Ale to sprytne...

Wayne uśmiechnął się do takiej myśli. Powrót w czasie, powiedzmy do roku 1976... piękna idea, spełnienie marzeń, że gdzieś na kontynencie zachował się fragment dawnej Ameryki. Nawet w pochłanianym przez dżunglę Las Vegas... Sinatra i Dean Martin – dlaczego nie? Ale Judy Garland? To jej córka powinna tu występować obok dojrzałych Sinatry i Martina. Matkę zbyt dawno zabiły narkotyki i alkohol, żeby śpiewała tu teraz jako ta jasnowłosa nastolatka z „Czarnoksiężnika z Krainy Oz”. Poza tym młoda Judy Garland nigdy by nie zaśpiewała takich nadętych, butnych tekstów. Należała do jego pokolenia, dziewczyna z Kansas City, w pewnym sensie również pasażerka na gapę. On także przybył tu z Kansas, chociaż z całkiem innego.

Puścił Annę i rozejrzał się, jakby nagle zdjęty lękiem, że cały ten wieczór może być tylko złośliwym żartem, jakimś nie całkiem łagodnym osądem. W pewnym sensie śpiewali teraz jego piosenkę, a on był przecież zadowolony z siebie nie mniej od podstarzałego Sinatry...

– Wiesz, Anno, zawsze chciałem poznać Sinatrę.

– Wayne, nie możesz przecież...

Nie zwracał na nią uwagi. Zbiegł po wyłożonych dywanem stopniach. Żaden z kelnerów nie próbował go powstrzymać, nikt z widzów nie zauważył, że przechodzi wąskim pomostem nad wnęką orkiestry. Trójka śpiewaków dotarła już do finałowych nut, ogłuszający dźwięk wprawiał w drżenie każdą molekułę powietrza. Kiedy jednak przystanął z wahaniem w kręgu światła reflektora, ani Sinatra, ani Martin nie dali poznać, że go widzą, choć przecież patrzeli wprost na niego. Ich opalone, nienagannie ucharakteryzowane twarze były dokładnie takie, jakie zapamiętał z magazynów filmowych.

– Panie Sinatra... – Przekrzykując muzykę, Wayne wyciągnął rękę. – Pozwoli pan, że się przedstawię...

Sinatra postąpił o krok do przodu; jego spokojne oczy jakby nie widziały intruza. Poruszał rękami w takt ostatnich akordów i nagle zaczepił łokciem o ramię Wayne'a. Zanim Wayne zdążył go podtrzymać, Sinatra zakręcił się na sztywnych nogach i stracił równowagę. Zderzył się z Deanem Martinem, rozlał mu drinka i kopnął Judy Garland w kostkę. Potem upadł na

plecy i leżał, ciągle śpiewając i gestykulując. Jego wzrok nie wyrażał najmniejszego zdziwienia tą nieoczekiwaną zmianą pozycji.

Reflektory zadrżały, rozmyły się kręgi światła. Jak wypada w eleganckim hotelu, sala zmieniła się w wyłożone dywanami pandemonium. Muzycy z orkiestry pogubili nuty, skrzypkowie spokojnie łamali smyczki i rwali struny instrumentów, puzonista połknął ustnik, dyrygent dźgnął się pałeczką w oko. Sinatra leżał na scenie, kopał nogami i gestykulował w stronę sufitu.

– *My way, may way, may way, my wayeee...* – zawodził falsetem.

Obok niego Dean Martin mechanicznie zaciągał się cygarem i oblewał sobie twarz whisky. Bursztynowe krople ściekały mu z nosa na przyjazny, szeroki uśmiech. Tymczasem Judy Garland dostała epilepsji. Zerknęła w dół na swoje magiczne buciki, uśmiechnęła się jakby od tiku nerwowego, po czym ruszyła coraz szybszą serią podskoków przez całą szerokość sceny.

– *Didit, didit, didit, did it, didit, did it...* – jąkał się Sinatra niczym zepsuta lalka.

Melodia zakończyła się głośnym zgrzytem, reflektory zatoczyły krąg i oświetliły publiczność. Kelnerzy uwijali się jak szaleni, jedna z tlenionych kobiet wydłubywała sobie prawe oko, Teksaszczyk w kraciastej marynarce wstał i jedną ręką wbił do gardła cygaro, a drugą zrzucił z ramion własną głowę. Kiedy Dean Martin wylał sobie na twarz ostatnie krople whisky, widzowie klaskali tak gorliwie, że odpadały im ręce. Podskoki Judy Garland zmieniły się w taniec świętego Wita; przesunęła się na brzeg sceny i runęła na sekcję instrumentów drewnianych, gdzie muzycy obojętnie dźgali się po twarzach.

Po ostatnim jęku wszystko ucichło. W ciągu kilku sekund cała widownia zamarła, jakby ktoś wyrwał kabel z gniazdka. Zgasły reflektory, niespokojna cisza zaległa przy stolikach. Bezgłowi kelnerzy leżeli między tacami i kieliszkami.

– Wayne... może byś przestał się śmiać?

W chwili kiedy McNair wypowiadał te słowa, zapłonęły światła. W słabym blasku Wayne dostrzegł wbiegające przez tylne drzwi postacie w oliwkowych mundurach. Daszki czapek zakrywały im twarze. Szóstka otoczyła McNaira i Annę Summers. Byli niscy i wąscy w ramionach, jeszcze niedawno pewnie dzieci, ale trzymali w dłoniach pistolety.

Przywódca wyszedł przed grupę i skinął na Wayne'a. Miał przynajmniej osiemnaście lat, ale wydawał się o wiele młodszy od Wayne'a. Poważną twarz niemal całkowicie przesłaniał wizjer żółtego lotniczego hełmu.

– Przedstawienie jeszcze nie skończone, panie Wayne – oznajmił zimno, z hiszpańskim akcentem. – Ale pan Manson chciałby przenieść finał na zewnątrz.

Mówił tak rzeczowym tonem, że Wayne przez chwilę sądził, iż te nastolatki w mundurach także są robotami, podobnie jak cała publiczność, jak animowana Garland, Sinatra i Martin. Czyżby trafili do Las Vegas zamieszkanego przez maszyny, rozgrzewające szczeliny automatów hazardowych, dopóki nie wrócą prawdziwi gracze? Ale kiedy zawahał się, chłopak w żółtym hełmie wymierzył w niego w sposób, jaki Wayne widział w przeszłości aż za często: znudzonym, ostrzegawczym gestem europejskiego policjanta. Ten młody Meksykanin przyglądał mu się z podejrzliwością, jakiej nie potrafiłby symulować żaden konstruktor robotów.

Kiedy dotarli do tarasu, kazał Wayne'owi podnieść ręce i sprawnie go obszukał.

– To był piękny pokaz. Cybernetyka na poziomie, jakiego wy, Amerykanie ze Starego Świata, nie widzieliście już od dawna. A zatem, gdzie pańska broń?

Wayne wzruszył ramionami.

– Bez wykrętów – warknął Meksykanin. – Mamy pana na filmie. Używa pan winchestera, strzela do węży i... robactwa. Zgadza się, Wayne?

Spojrzał Wayne'owi w oczy. Wzrok miał zadziwiająco dorosły i zdawało się, że doskonale zna motywy ich podróży przez Amerykę. Twarz miał surową, ale wrażliwą, jak

meksykańscy studenci, których Wayne poznał w stołówce na Uniwersytecie Amerykańskim w Dublinie. Siedzieli samotnie, zamyśleni – jak Wayne błędnie podejrzewał – nad swymi snami o tequili, walkach byków i *manana*. Jednak ten młody człowiek miał silniejszy charakter, był jak granat z podpalonym lontem temperamentu. Wayne pomyślał, że mógłby spróbować go uderzyć...

Podeszła ładna, siedemnastoletnia dziewczyna w motocyklowych goglach i bandanie na gęstych ciemnych włosach. Machnęła groźnie srebrzystym radiotelefonem.

– Paco, prezydent mówił, żeby się ich nie czepiać. Chce się z nimi dzisiaj zobaczyć. Paco...

Wzrok Paco umknął za wizjer, w skoncentrowany, osobisty świat hełmu.

– Dobrze, Ursulo. Jeśli prezydent sobie życzy...

McNair przecisnął się do przodu, odpychając uzbrojonego młodzika, który gładził jego brodę.

– Prezydent? Chwileczkę...

– Właśnie. Jaki prezydent? – powtórzyła Anna Summers. Wyrwała się parze nastolatków. Spoglądała na krąg uzbrojonych podrostków jak nauczycielka, której klasa usiłuje spłatać jakiegoś skomplikowanego figla. – O jakim prezydencie mówicie?

– Prezydencie Stanów Zjednoczonych – odparł spokojnie Paco. – Prezydencie Mansonie.

## XIX

### Apartament Hughesa

Potem, po krótkiej szamotaninie, Wayne zapamiętał, że grupa nastolatków wyprowadziła go z hotelu, obok pustych stołów do ruletki i blackjacka, prosto w jasną noc. Niezliczone neony płonęły wśród drzew otaczających słynne kasyna Stripu, rozpalając barwami miliony liści. Trzy czarne limuzyny czekały zaparkowane przed Saharą z atrapami chłodnic niby srebrnymi akordeonami. Wayne rozpoznał je natychmiast – smukłe i szerokie pojazdy ze złotego wieku automobilu, prawdziwy buick, pontiac i dodge z lat sześćdziesiątych.

Uzbrojony oddział nastolatków w mundurach czekał przy samochodach, rozmawiając przyjaźnie z czwórką przestraszonych nomadów. Wielki policyjny radiowóz przejechał z pełną szybkością, śledzony zdumionym wzrokiem Pepsodenta. GM próbował osłonić przed wyciem syreny żonę i dziecko, obejmując oboje ramionami. Razem przykucnęli przy stygnącym palenisku, gdy Heinz usiłował odpowiadać na pytania młodego Meksykanina na temat działania tłoków i zaworów w parowych samochodach.

– W porządku. Waszych przyjaciół zabierzemy później. – Paco wepchnął Wayne’a na przednie siedzenie pontiaca, sam wsiadł z tyłu, a Ursula zajęła miejsce przy kierownicy.

Nie musieli czekać na dopływ pary – silnik zaczął pracować od razu. Wayne zauważył jeszcze Annę Summers i McNaira, popychanych do otwartych drzwiczek dodge’a. A potem odjechali w noc, pomknęli wzdłuż brzegów rozświetlonego jeziora. Miękki blask rozpraszał się na wodzie, na rafach waty cukrowej spływającej jak z posępnych katedr z frontonów nocnych klubów.

Ursula włączyła radio. Rozległy się trzaski, a po nich rozmowy. Kontroler lotu o dziecięcym głosie dyskutował o chmurze nad Górami Skalistymi, potem wyrecytował listę stacji paliwowych w Phoenix i Flagstaff. Ursula dotknęła przycisku i natychmiast Elvis Presley potężnym rytmem wypełnił wnętrze wozu. Odezwał się staromodny disc-jockey; jego komentarz był piskliwą paplaniną o najnowszych plotkach ze świata show-biznesu, informacji o lotach pasażerskich i adresach miejscowych sprzedawców samochodów.

– Ursula, na miłość boską... – Paco ścisnął wibrującą skorupę hełmu. – Przecież jesteśmy na służbie.

Ursula niechętnie przyciszyła radio. Zmarszczyła ciemne brwi, najwyraźniej na użytek Wayne’a.

– Paco, jesteś zbyt poważny. Cały czas tylko Strawiński, Stockhausen i John Cage. Kiedy wybierzesz się na tańce? Wayne, pokażę ci jiva. A może wolisz tango?

– Może – zgodził się Wayne. Chciał zadowolić tę wspaniale zbudowaną piękność w goglach i mundurze. – Radiostacja... to robi wrażenie. Hu was tu jest?

– Za mało – odparł smętnie Paco. – Może setka. Potrzebujemy świeżych rekrutów, ale nikt nie lubi Ameryki. Wcale mnie to nie dziwi. Ta potworna muzyka ma ze sto lat... Znaleźliśmy taśmę programu lokalnego radia. Jak oni mogli to wytrzymać?

– Przyznasz, że jest w niej energia – zauważył Wayne. Nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby krytykować Stany Zjednoczone. Niewyraźne opinie Paco trochę go zaniepokoiły. – Jesteście wszyscy z tego samego szczepu? Gracze?

– Nie! – Ursula roześmiała się i przyjaźnie klepnęła Wayne’a w ramię.

Paco burknął coś pogardliwie.

– Ursula i ja pochodzimy z Chavez, wolnego portu Chicano w Baja California – wyjaśnił.

– Ty jesteś Gringo, przyjacielu, jesteś Amerykaninem. Nie zapominaj, że Meksykanie

zbudowali te hotele. Uspokój się... Nie mam zamiaru żądać ich dla Montezумы. Ale tym razem nie będziemy tylko kelnerami i kuchcikami.

– Masz rację... Musiałem ukryć się na pokładzie, żeby popłynąć do Ameryki. – Wayne spoglądał na przesuwające się za szybą hotele, otoczone hektarami parkingów. Setka tych nastolatków i ktoś, kto nazywał siebie prezydentem. Poczul ulgę: nie była to wielka liczba. Mimo wyjących radiowozów i powodzi świateł Las Vegas było prawie puste. – Ale nieźle zaczęliście. Macie już nawet lotnictwo.

To był jedynie domysł. Paco lekceważąco machnął ręką.

– Tylko prezydenckiego sea-kinga i parę hueyów. W rządowych zbiornikach zostało mnóstwo paliwa. Wystarczy na kilka lat. Ale wyszkolenie mechaników trwa długo. Twój przyjaciel, McNair, jest dobrym inżynierem. Przyda się nam. I ta pani profesor.

Wayne pomyślał o pustyni w Kansas, o śmierci Orłowskiego, o własnej cudem odwróconej klęsce pod Boot Hill.

– Wdzieliście wszystko? – zapytał ostro. – Dlaczego nam nie pomogliście?

– Spokojnie... – Paco obserwował Wayne'a z wyrzutem, jakby niepewny, czy dopuszczenie tego nerwowego przybysza do krainy nastolatków będzie rozsądnym posunięciem. – Widziałem was tylko na filmie... Mamy parę kamer po tamtej stronie gór, z automatycznymi zoomami, które ogniskują się na wszystkich obiektach ruchomych. Szkoda waszych dwóch kolegów.

– Dwóch? Wdzieliście Steinera? Kapitana?

Twarz Paco ukryła się wewnątrz hełmu.

– Nie widzieliśmy go. Musiał zginąć bardzo szybko, Wayne. Gdyby się ruszał, prezydent miałby go na filmie.

Pontiac skręcił na parking przed wielkim hotelem. Wysiedli i podeszli do drzwi prywatnej windy ozdobionej prezydencką pieczęcią.

– Hotel Desert Inn – wyjaśnił Paco, kiedy jechali już na górę. – Z czymś ci się to kojarzy? Może z nazwiskiem?

– Oczywiście: Howard Hughes.

– Bardzo dobrze, Wayne. Aż za dobrze. Ale panu Mansonowi się to spodoba.

Dotarli na poziom apartamentu w nadbudówce na dachu. Drzwi windy otworzyły się na cichy, wyłożony dywanem korytarz. Zimne białe światło padało na chromowany blat, przy którym młody chłopak w białym fartuchu czytał komiks.

– Cześć, Paco... Stary się denerwował.

– Już jesteście. – Paco obejrzał komiks: „Batman i Robin kontra Cat-woman”. Wrzucił go do kosza. – Gdzie się podział ten podręcznik obsługi, który ci dałem?

– Oj, Paco...

Z teatralnym jękiem chłopak wcisnął klawisz w ścianie. Drzwi rozsunęły się, ukazując westybul wielkiego, ale skromnie umeblowanego apartamentu. Drugi młody technik w laboratoryjnym fartuchu sprawdzał szereg metalicznych elektronicznych konsoli ustawionych pod ścianą. Co prawda za oknami błyszczały nocne światła miasta, jednak powietrze tutaj miało dziwnie sterylny posmak. W pokojach zainstalowano dodatkowy, skomplikowany system klimatyzacji: rury biegły z sąsiedniej sypialni do zespołu wentylatorów i filtrów w oknie. Wirniki działały bez przerwy, reagując na minimalne zmiany wilgotności i temperatury.

Skinąwszy na Wayne'a, Paco otworzył drzwi sypialni. Niebieskawe światło, jak na szpitalnym oddziale intensywnej opieki medycznej, padało na marmurowobiałe ciało mężczyzny w podeszłym wieku, leżącego na chirurgicznym łóżku przed baterią monitorów. Starzec był nagi, przewiązany w pasie ręcznikiem. W jednej ręce trzymał inhalator, w drugiej telewizyjnego pilota. Błękitne światło drżało na białej skórze i budziło wrażenie pulsującej, niezdrowej aktywności – uwięzionej w żyłach krwi, która usiłuje powrócić do nadaktywnego

serca. Nieruchome oczy wpatrywały się w rzędy ekranów, jakby rzeczywista egzystencja tkwiła raczej w jonowym strumieniu migotliwych obrazów, nie we własnych niespokojnych mięśniach tego człowieka.

– Prezydent Manson...

Ursula w przedpokoju zajęła się komiksem, a Paco wprowadził Wayne'a. Wskazał białą linię wymalowaną u ich stóp, tuż za drzwiami, nakazując tam się zatrzymać.

– Pan Wayne... Prezydent Stanów Zjednoczonych.

Wayne zawahał się, próbując rozpoznać tę dziwną postać w przepasce biodrowej. Wysokie czoło, mięsisty nos i szeroka szczęka przypomniały mu dawnego prezydenta Nixona, który przez cały wiek tkwił na wygnaniu w starym apartamencie Hughesa w Las Vegas. To podobieństwo było nienaturalne, jak gdyby człowiek przed monitorami był aktorem, który specjalizował się w naśladowaniu prezydentów i stwierdził, że w Nixona potrafi się wcielić bardziej przekonująco niż w pozostałych. Opanował te długie spojrzenia i nagłe odwracanie wzroku, mieszaninę idealizmu i korupcji, głębokiej melancholii i niepewności połączonej z potężnym wewnętrznym przekonaniem.

Ponad głową Wayne'a, równoległe z białą linią na podłodze, tkwiła metaliczna zasłona układu wentylacyjnego. Dudnił cicho w niebieskim blasku, odsysał powietrze znad skóry, odkażał aseptyczne pomieszczenie.

– Wejdz, Wayne! Czekałem, żeby cię poznać, od dnia kiedy wyruszyliście z Waszyngtonu. – Mężczyzna na łóżku odwrócił się i błysnął do Wayne'a dziwnym uśmiechem. Ale kiedy przybysz postąpił o krok i minął białą linię, natychmiast podniósł aerozol, a palce wcisnęły klawisze pilota, jakby chciały tym zapobiec nadmiernemu zbliżeniu. Opanował się zaraz i uśmiechnął znowu. – To była niezła wyprawa, Wayne. Jestem z ciebie dumny. Paco, możesz nas zostawić. Sprawdź sea-kinga i ochronę, jutro czeka nas pracowity dzień.

Paco zasalutował i wyszedł. Manson skinął aerozolem, wskazując jeden z monitorów. Ekran pokazywał milczącą teraz salę w hotelu Sahara. Roboty leżały nieruchomo między stolikami.

Manson ze smutkiem pokręcił głową.

– Co za rzeźnia... Biedny profesor traci kontrolę. To dobrze, że zjawili się twoi przyjaciele, Wayne. Przydadzą się. Zwłaszcza McNair. Podobają mi się jego parowe samochody i samolot na pedały. Ale mam dla niego ważniejsze zadanie, najważniejsze ze wszystkich. NASA i von Braun potrafilyby go wykorzystać, lecz Stany Zjednoczone zmiękły, straciły pęd w Wieku Kosmosu... Zmiękły pod każdym względem. W tobie, Wayne, tkwi duch pioniera. Obserwowałem cię, chłopcze. Nawet się o ciebie martwiłem. Za wiele od siebie wymagałeś, ale takich właśnie nam tu trzeba. Kiedy byłem młodszy...

Manson gadał do siebie, zapominając chyba o obecności gościa. Leżał z aerozolem i pilotem w dłoniach, niczym współczesny faraon dzierżący jabłko i berło swego urzędu. Mozaika obrazów oświetlała zmiennym blaskiem jego niezdrową twarz.

Wayne przyjrzał się kolejno wszystkim ekranom. Poza chaosem w hotelowej restauracji ukazywały jakieś słabo oświetlone lotnisko w pobliżu Las Vegas, restauracyjny taras nad jeziorem, gdzie McNair i Anna Summers siedzieli samotnie jak para zagubionych turystów, wysoko sklepiony pokój z wielkimi mapami za szkłem, skrzyżowane amerykańskie flagi za ogromnym kołem ruletki, kabinę kontroli elektrowni jądrowej i parę nastoletnich techników zamiatających kafelki podłogi, widok na Strip z dachu pobliskiego hotelu z wyraźnie widocznymi jasnymi oknami nadbudówki na Desert Inn.

Blask ekranów padał na białą skórę Mansona jak upiorny drugi naskórek. Na ścianie za nim wisiały w ramach fotografie, stare zdjęcia agencyjne z połowy dwudziestego wieku. Wayne rozpoznał je wszystkie: kapsuła kosmiczna „Apollo”, pociski balistyczne Titan i

Minuteman w silosach, bombowiec strategiczny B-52 i wysoki mężczyzna w garniturze, o spokojnej, smutnej twarzy, stojący obok wielkiego, wielosilnikowego hydroplanu.

Manson obserwował Wayne'a czujnie, uśmiechając się lekko do siebie.

– Wiesz, kto to jest, Wayne? W czym apartamencie jesteście? Oczywiście, że wiesz. Howard Hughes, ostatni z wielkich Amerykanów. Przejąłem jego imperium, a raczej to, co z niego pozostawili ci pigmeje. To jego mieszkanie, Wayne. Dokładnie tu, gdzie teraz stoisz, na najwyższym piętrze Desert Inn w Las Vegas. Tutaj zatrzasnął za sobą drzwi do świata. Najbardziej przewidująca decyzja podjęta przez Amerykanina... – Oczy Mansona zasłyły mgiełką od wyraźnie nie pierwszy raz przeżywanej emocji. – Cieszę się, że tu jesteś, Wayne. Podobasz mi się. Hughes na pewno chciałby, żebym cię zaangażował. Każdy, kto potrafi pokonać Amerykę w trzy miesiące, musi mieć krew czystą jak wiatr.

Pchnięty impulsem, Wayne przekroczył białą linię. Słyszał gorączkowy szum wentylatorów, próbujących odciągnąć go do tyłu. Ale Manson usiadł i przyglądał ciemne włosy. Uśmiechnął się zadziwiająco niewinnie, jakby dostrzegł w przybyszu młodszą wersję samego siebie.

– Podążaliśmy za tobą przez Stany, Wayne. Wiedziałem, że ci się uda, odkąd zobaczyłem, jak idziesz przez Broadway. Miałaś styl i postawę. Trzy miesiące... Byłem w twoim wieku, kiedy tu dotarłem, a zajęło mi to dwa lata! Czołgałem się po piasku na łokciach i kolanach. To mnie zatruło, Wayne. Jakiś nieznaną wirus przedostał się do krwi, jakiś bakcyl pozostawiony przez konający naród, stworzony z klęski i trzeciorzędnych marzeń...

Manson spojrzął na swoje białe ciało, chorego intruza przestrzeni psychiki. Skrzywił się z niesmakiem.

– Zostań tu kilka tygodni, Wayne – ciągnął. – Ty i twoi przyjaciele potrzebujecie odpoczynku. Może zechcesz zatrzymać się na dłużej, pomóc Kompanii Hughesa stawiać USA na nogi. Ale najpierw musimy powstrzymać wirusa. Tak, Wayne, wirusa. Wierz mi, zaraza rozprzestrzenia się od wschodu. Chłopcy z laboratorium jeszcze jej nie zidentyfikowali. Istnieje tylko jedno antidotum. Kiedy ją zahamujemy, czeka nas tutaj wspaniała przyszłość. Prędzej czy później będzie mi potrzebny ktoś, kto przejmie moje obowiązki. Mógłbyś zostać wiceprezydentem, Wayne, a nawet prezydentem Stanów Zjednoczonych...

Manson ucichł, ręce opadły mu na łóżko. Drzwi uchyliły się i Paco skinął na Wayne'a. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji, jakby był przyzwyczajony do chwilowych gości, otrzymujących obietnicę prezydentury.

Już w progu Wayne obejrzał się za siebie. Manson drzemał na łóżku. Lewą ręką ścisnął aerozol niczym dziecko butelkę z mlekiem, prawa bezustannie zmieniała kanały. Obrazy migotały bez przerwy.

Ale mimo swych dziwactw, mimo obsesji wirusów i zarazy, Manson stworzył jedyną zorganizowaną siłę, jaka zaistniała w Ameryce Północnej przez ostatnie sto lat. Wyrwanie dżungli miasta, miliony kolorowych świateł lśniących wśród splątanych lian, paproci i palm, zaawansowany sprzęt telewizyjny i komunikacyjny, renowacja przynajmniej fragmentów imperium Hughesa – wszystko to rozbudziło na nowo część dawnej potęgi USA. Sugerowało, czego można dokonać w przyszłości. Choć ekscentryczny, Manson dostrzegł pieczęć charakteru Wayne'a wyciśniętą długą wędrówką przez kontynent. Rozpoznał ambicję, która byłego pasażera na gapę, nieślubnego syna sekretarki z Dublina postawiła na czele ekspedycji „Apolla”.

Ale czy powinien zostać tu z tym niezwykłym samotnikiem, czy raczej wyruszyć do Kalifornii?

U drzwi usłyszał jeszcze głos Mansona, niemal błagalny, z samej granicy snu.

– Zostaniesz, Wayne... Zostań ze mną i bądź prezydentem...

## XX

# Dziennik Wayne'a

## Część druga

2 listopada. Hotel Piaski, Las Vegas

Niezwykły tydzień. Właśnie wróciliśmy z Anną i McNairem z wycieczki do elektrowni jądrowej Lake Mead. Wywarła na nich wrażenie równie wielkie jak na mnie. Reaktor powielający dostarcza całej energii do zasilania Las Vegas, wszystkich rurek neonów, teleksów i telewizorów. Odpoczywam teraz w moim apartamencie na dziewiątym piętrze Piasków. Oprócz mnie w hotelu jest tylko dwóch nastolatków, Chavez i Enrico, którzy mieszkają w nadbudówce na dachu i mają za zadanie wozić mnie po mieście w doskonale zachowanym cadillacu z 1956 roku (skrzydła przy bagażniku, wygięta przednia szyba, pastelowy kolor). Annie trafiła do Hiltona, McNair do Stardust.

Tyle na razie widziałem z całej działalności Mansona, plus wyprawy po drogach przez dżunglę do Kalifornii. To kompletne miniaturowe Stany Zjednoczone, położone w sercu amazońskiej puszczy, utrzymywane w ruchu dzięki dziwacznemu geniuszowi Mansona. Trzyma się z tyłu, rzadko opuszcza apartament Hughesa w Desert Inn, ale coraz bardziej jestem przekonany, że przyszłość Ameryki, a może i całego świata, zależy teraz od działań Mansona w Las Vegas. To jądro niezwykłych możliwości, które mogą rozszerzyć się i przekształcić planetę, zacząć wszystko od nowa. Taki Manson obrał cel i w pewnym sensie ma prawo nazywać siebie czterdziestym piątym prezydentem. Zakładając, że z nim zostanę, będę jego prawą ręką – a tego chyba chce. Nie mogę powstrzymać myśli o sobie jako czterdziestym szóstym...

5 listopada. Hotel Piaski, Las Vegas

Pod wieloma względami jest to bardzo dziwne miejsce. Dzisiejszy ranek spędziłem na międzynarodowym lotnisku McCarrana, głównej bazie technicznej operacji Mansona, i w starym Terminalu Lotniczym Hughesa, gdzie zajmują się komunikacją. Zauważyłem, że poza Mansonem nie ma tu nikogo, kto przekroczyłby dwudziestkę. To znaczy, że wszystko zrobił sam. Otacza go orszak entuzjastycznych dzieciaków, przede wszystkim meksykańskich zbiegów, których zebrał z małych osad wokół Baja California. Wyszkolił ich na maszynach uczących w centrum Hughesa na wysokiej klasy techników komputerowych, elektryków, specjalistów łączności i tak dalej. Jest tam flota śmigłowców, używanych głównie do lotów rozpoznawczych nad południową Kalifornią, i mała szkoła pilotów, w której Paco jest głównym instruktorem.

Trudno dokładnie określić, ilu właściwie żyje tu ludzi. Połowa armii Mansona zawsze przebywa gdzieś w terenie. Albo szukają ropy (cała benzyna pochodzi z tajnych zbiorników pozostawionych przez agencje rządowe i wielkie korporacje), albo badają rejon Los Angeles w poszukiwaniu jądrowych prętów paliwowych i sprzętu elektronicznego. Ostatnio wypuszczają się dalej, aż do dawnej bazy marynarki wojennej w San Diego i zakładów komputerowych w okolicach San Francisco.

Pozostali przebywają tutaj, w Vegas. Pracują głównie na lotnisku, w hangarach przebudowują stare śmigłowce i naprawiają wszystko, od samochodów i ciężarówek po specjalistyczny sprzęt radiowy i telewizyjny. A mimo obfitych zapasów komiksów z Batmanem, panuje tu bardzo purytańska atmosfera. Dzieciaki są mu bardzo oddane, trzeba to



przyznać. Kiedy Enrico pokazywał naszej trójce miasto, niechętnie traciły czas na odpowiedzi na nasze pytania.

Jednak naprawdę interesowała ich wiedza techniczna McNaira i znajomość fizyki jądrowej Anny Summers. Najzdolniejsi chłopcy i dziewczęta pracują w elektrowni atomowej Lake Mead. Mogą być dumni, że udało im się ją uruchomić, chociaż wyraźnie są przemęczeni. Jutro McNair i Anna mają tam wrócić, żeby im pomóc. Najwyraźniej światła Las Vegas palą się po nocach nie dlatego, że kogoś interesują kasyna, ale żeby reaktor działał bez zmniejszania mocy. Manson planuje, że kiedy opanują już działanie elektrowni Lake Mead, uruchomią stopy w Phoenix i w Salt Lake City, wyruszą na wschód.

Ryzykowne, to jasne... według Anny, produktem ubocznym reaktorów powielających na szybkie neutrony są spore ilości plutonu zdolnego do głowic bojowych.

16 listopada. Hotel Piaski, Las Vegas

Drobne nieprzyjemności. Mijają dwa tygodnie od ostatniego spotkania sam na sam z Mansonem. Zaczynam podejrzewać, że Paco mnie do niego nie dopuszcza. Trzy dni temu widzieliśmy się w dość nerwowych okolicznościach w Desert Inn – czekaliśmy parę godzin, żeby omówić możliwość wyprawy do San Francisco w celu zbadania zniszczeń spowodowanych trzęsieniem ziemi. Nagle pojawił się Manson. Miał na sobie dziwaczny niebieski garnitur i uśmiechał się nieprzyjemnie. Powitał Annę i McNaira, życzył im powodzenia, po czym zniknął w swojej limuzynie. McNair i Anna byli trochę zdziwieni, ale lubią dzieciaki i pociąga ich wyzwanie, jakim jest praca tutaj. Oboje zapewnili, że chętnie zostaną kilka miesięcy, dopóki nie przybędzie ekspedycja ratunkowa i nie zaczną się negocjacje w sprawie uznania całego przedsięwzięcia Mansona.

Jednak oni przynajmniej odgrywają tu bardziej aktywne role. Ja nie mam nic do roboty. A że nie chcę siedzieć na miejscu, Paco uznał mnie za zbyt ciekawskiego. Irytuje go chyba moje próby – bez żadnych złych zamiarów przecież – oceny rozmachu imperium Mansona. Nie zdaje sobie sprawy, jak wysoka jest stawka i jak może zareagować Moskwa. Najwyraźniej Manson ma grupę dalekiego zwiadu wyposażoną w co najmniej dwa śmigłowce. Tkwią po tamtej stronie Gór Skalistych i zapewne mają za zadanie kontrolę zdestabilizowanych siłowni na wschodnim wybrzeżu. Musieli zauważyć „Apolla”, kiedy tylko dobiliśmy do brzegu w Nowym Jorku. Utrzymują kontakt z Mansonem poprzez maszty stacji telewizyjnych, ogromne mikrofalowe wieże, obejmujące siecią fal cały kontynent.

Jednak tego ranka, kiedy poruszyłem ten temat w rozmowie, Paco zamilkł natychmiast i nagle na nowo zauważyłem potężnego kolta 45, którego nosi na biodrze. Przyciskałem Paco w kwestii eksplozji atomowej, która zniszczyła Boston, ale unikał odpowiedzi. Zaczął mówić o groźbie zarazy, przyglądając mi się czujnie, jakbym był jednym z mansonowskich wektorów rozprzestrzeniania. Wydaje się, że jakiś nowy szczep wyjątkowo groźnego wirusa mutował przez całe stulecie w porzuconych wojskowych laboratoriach biologicznych i jedyną bezpieczną metodą walki z nim jest unicestwienie całego terenu, który opanował.

Ale w jaki sposób? Czyżby Mansonowi wpadła w ręce broń atomowa? Dawne poligony jądrowe leżą zaledwie pięćdziesiąt kilometrów na północ od Vegas. Rozmawiałem o tym z Anną i McNairem. Oni też się niepokoją, ale niczego nie wiedzą na pewno. Manson jest bardzo tajemniczy, a dzieciakom pewnie nie mówił za wiele, bojąc się, że je wystraszy.

Wszyscy tu są bardzo sympatyczni, lecz wyjątkowo prowincjonalni. Nie sądzę, żeby dali sobie radę w rzeczywistym świecie. Przed godziną, kiedy wyszedłem zaczerpnąć świeżego powietrza, pojawił się patrol w dziuple. Prowadziła Ursula, a z nią były dwie uzbrojone dziewczyny. Zatrzymały się na Stripie, przed Pałacem Cezara – wielkim, porośniętym dżunglą mauzoleum. Próbowaly zatrzymać Heinza i Pepsodenta za próbę włamania do hotelowego lobby. Wymachiwały pistoletami przed nosami nomadów. Ci młodzi Meksykanie żywią jakąś szczególną pogardę wobec czarnych czy białych proto-Amerykanów. Traktują

ich jak zdegenerowanych aborygenów. Na szczęście wielkim rollsem podjechał McNair i zażegnał spór informując, że zatrudnił Pepsodenta jako swojego osobistego szofera. Nadzwyczajna wdzięczność i ulga. Xerox, holująca za sobą GM-a i dziecko, została pokojówką Anny, jednak Heinz nie chce podporządkować się mnie. Wciąż spogląda na góry i dżunglę. Myślę, że ma w sobie coś z Davy Crocketta.

18 listopada. Hotel Piaski, Las Vegas

Kolejny fragment łamigłówek trafił na miejsce. Tego wieczoru Manson urządził pokaz bardzo szczególnego rodzaju. Zaprosił nas na kolację do Desert Inn. Nie warto chyba wspominać, że sam się nie zjawił. Kiedy odpoczywaliśmy na tarasie, nagle błysnęło jaskrawe światło z jakiegoś projektora na drugim brzegu jeziora – ostry promień, szeroki jak pas startowy. Dziesiątki tęczy zamigotały w powietrzu, połączyły się i uformowały ogromną trójwymiarową postać wysoką jak drapacz chmur. Patrzeliśmy na to stworzenie, wesołego zwierzaka z tapety w dzieciennym pokoju, z okrągłą uśmiechniętą twarzą, uszami sterczącymi jak wachlarze i czarnym guzikiem nosa.

Myszka Mickey, to chyba oczywiste. Anna i McNair byli zdumieni, ale ja widziałem już coś podobnego na pustyni pod Boot Hill. Zauważyliśmy, że dwóch chłopców Mansona obsługuje kamerę na dachu Silver Slipper, wyświetlając całą serię takich laserowych holograficznych wizerunków. Po Mickey pojawiła się wielka statua kobiety z gołymi nogami w różowej sukience uniesionej prowokacyjnie powyżej ud. Stała w rozkroku ponad Las Vegas, odrzucając do tyłu blond włosy, a fontanna światła chłodziła jej nogi. Marilyn Monroe, naturalnie.

To był niezwykle show. Przez godzinę defilowała przed nami ironiczna przeszłość *pop-Americana*: Superman i Kaczor Donald, Clark Gable i Niesamowity Hulk, butelka coca-coli wysoka na dwadzieścia pięter i kosmolot „Enterprise” niczym latająca rafineria ropy, cały w srebrzystych rurach i walcach. Dolarowy banknot wielkości futbolowego boiska i koloru najczystszej astroturfu – sztucznej murawy. Na końcu przemaszerowała kolumna prezydentów: Jefferson, Lincoln, Franklin Delano Roosevelt, Eisenhower i Jack Kennedy. Ogromne poważne twarze przesłaniały niebo. I wreszcie niesamowity wizerunek posępnego mężczyzny w niebieskim kombinezonie, szarej eminencji tego niegdyś beztroskiego miasta miliona światła, naszego gospodarza...

Teraz poznałem źródło przerażających wizji, które wypłoszyły plemiona nomadów z ich terytoriów łowieckich wzdłuż wschodniego wybrzeża. Wiedziałem, skąd się wziął statek kosmiczny, jaki GM, Heinz i Pepsodent widzieli nad Bostonem. Grupa Mansona podróżowała od miasta do miasta i urządziła takie laserowe pokazy, żeby przestraszyć Indian. Niepokojąca jest siła oddziaływania tych obrazów; pamiętam olbrzymiego Fondę, Wayne’a, Ladda i Coopera nad Boot Hill. Musiał tam być zespół Mansona. Czyżby Manson chciał mnie wypróbować, zwabić na Zachód, dodać sił do przebycia Gór Skalistych? Mam wrażenie, że dzisiejsze przedstawienie było delikatną sugestią, żebyśmy nie zwracali uwagi na dąsy Paco i sprawy trywialne.

23 listopada. Hotel Beverly Hills, Los Angeles

Wczoraj Manson wreszcie się pojawił! Zmaterializował się z wilgotnego powietrza Vegas niczym roztargniony anioł. Taki był początek wspaniałej trzydniowej wyprawy do Kalifornii. Zaraz po śniadaniu w moim apartamencie w Piaskach – przepiśrcze jaja, trufle, szynka z dzika (lasy wokół Vegas aż roją się od zwierzyny, od małpiatek i mandryli po pantery śnieżne i szkarłatne ibisy, wszystko uciekinierzy z kalifornijskich ogrodów zoologicznych), w górze rozległ się straszliwy hałas, jakby cały hotel startował do lotu. Sea-king Mansona wylądował na wzmocnionym dachu – śmigłowiec sanitarny z prezydenckim godłem na kadłubie, pilotowany osobiście przez Paco, który wziął sobie dzień wolnego ze szkoły latania.

Przez interkom nadeszła wiadomość. Swoim dziwnym, głuchym głosem Manson zaprosił mnie do udziału w locie inspekcyjnym do Los Angeles. Natychmiast wjechałem windą na górę i pochyłony w sztormie wdmuchiwanym z dżungli w dole płatków orchidei zająłem miejsce w kabinie obok Paco. Manson siedział za szklanym przepierzeniem na dziwnym obrotowym krzeselku, przesuwającym od lewych do prawych iluminatorów. Wyglądał bardzo dostojnie w piaskowym komplecie safari – jak ekscentryczny posiadacz ziemski na polowaniu. W powietrzu, nad centrum Las Vegas, czekała już nasza zbrojna eskorta: dwa bezpilotowe śmigłowce sterowane przez Paco, sprzężone z urządzeniami sea-kinga.

Uformowaliśmy klucz i ruszyliśmy z dużą prędkością na południowy zachód. Wkrótce pozostawiliśmy za sobą Las Vegas, rozświetloną koroną wypalającą otwór w listowiu dżungli. Paco utrzymywał nas jakieś sto metrów nad ziemią, śmigłowce mknęły po bokach. W niedługim czasie dotarliśmy do granicy Kalifornii z Newadą i skierowaliśmy się na pustynię Mojave. Poniżej przesuwiała się nieprzerwana dżungla, gęsto rosnące drzewa rozdzielane tylko betonowymi pasami autostrad. Trudno uwierzyć, że kiedyś była tu martwa pustynia. Amazońskie puszcze sięgały teraz od gór aż do wybrzeża. Dolina Śmierci rozkwitła w sadowniczy raj. Kiedy przelecieliśmy nad Międzystanową 15 i zniżyliśmy się do Glendale, zobaczyłem wystające z liści górne piętra co wyższych budynków. Od czasu do czasu pod zielonym sklepieniem mogłem dostrzec poszycie lasu pogrążone w wiecznym półmroku, szary świat podmiejskich centrów handlowych i domków pękających pod naporem wielkich palm i dębów. Ze wszystkich stron bystre leśne potoki rzeźbiły sobie drogę do morza, wycinając głębokie wąwozy przez dawne ciągi sklepów i posiadłości prywatne, kierując się do wielkiej nowej delty rzeki Los Angeles w Long Beach, obszaru mulistych wysepek i zarośniętych przelewających się kanałów szerokości często powyżej kilometra. Niezwykły był widok Watts Towers na niewielkiej, lśniącej wysepce o trzysta metrów do obu brzegów. „Queen Mary” spoczywa w oceanie mułu, liany i pnącza zwisają z jej kominów aż do znaku wolnej burty.

Pierwsze spojrzenie na Ocean Spokojny poruszyło mnie do głębi – ogromna, ciężka od deszczu kadź parująca jak nieskończone Morze Jawajskie. Wreszcie przebyłem całą Amerykę. Obejrzałem się, a Manson wystawił kciuk do góry. Polecieliśmy wzdłuż koryta rzeki Los Angeles. Wije się przez Burbank i Glendale, potem skręca wzdłuż linii Hollywood i Harbour Freeway w stronę Long Beach.

Paco wskazał mi jej dwa główne dopływy, rzeki Bel Air i Hollywood – wyraźne brunatne kanały szerokości kilkudziesięciu metrów, zasilane przez ciepłe tropikalne deszcze i tysiące przeciekających basenów. Większość z nich to zbiorniki zielonej wody, zarośnięte wodnymi liliami, mieszkania stad żurawi i flamingów. Kiedy zatoczyliśmy krąg nad Bel Air i Beverly Hills, widziałem grzejące się w słońcu aligatory i eleganckie ptaki na deskach trampolin, czekające, aż sfilmuje je jakiś łowca talentów, gdy patrzą nonszalancko na zarośnięte ogrody opuszczonych posiadłości.

Z powietrza Los Angeles tworzy niesamowity widok. Szerokie autostrady są jak linie ogrodów; długie na wiele metrów zasłony mchu zwisają z betonowych wiaduktów. Duża kolonia małp szerokonosych zajęła Hollywood Bowl; cała ich armia wrzeszczała i kłóciła się jak znudzona publiczność; ucichły, kiedy przelatywaliśmy nad nimi. Leniwce wisały z pętli Magie Mountain, wplątane w Moebiusowe wstęgi kolejki. Palmy wyrastają nad koroną Brown Derby, pумы spacerują na rogu Hollywood i Vine czekając na nieostrożnych turystów, hieny i osły zostawiły swoje tropy w mule przed Chińskim Teatrem Manna.

Wylądowaliśmy na parkingu przed hotelem Beverly Hills – zmienionym w centrum komunikacyjne Mansona. Stado hałaśliwych gibbonów rozsiało się na starych leżakach wokół stęchłego basenu, krzycząc i kłócąc się ze sobą niby producenci filmowi. Paco wystrzelił im nad głowami ładunek śrutu; odbiegły niechętnie do dżungli, zgrzytając zębami i

pokazując nam zadki. Mansona bardzo to rozbawiło, pozwolił nawet pomóc sobie pizy wysiadaniu, śmiejąc się przy tym chrapliwie i szorstko.

24 listopada. Hotel Beverly Hills, Los Angeles

Spędziliśmy noc w starym luksusowym hotelu, gdzie kiedyś bywała elita świata filmu i telewizji. Nie zmienił się wcale, dodano tylko konsole komunikacyjne w holu i stumetrową antenę wystającą z paproci na dachu. W okolicach Los Angeles działa kilka grup rekonesansowych; poszukują specjalistycznego sprzętu lotniczego i elektroniki. Kiedy się zjawili, Manson odebrał szczegółowe raporty, po czym wycofał się do apartamentu na trzecim piętrze. Odpoczywał na fotelu z maską tlenową na twarzy i butlą między kolanami. Trudno ocenić, co mu właściwie dolega, może rodzaj psychosomatycznej astmy... Odnoszę czasem wrażenie, że za długo żył samotnie i teraz inni ludzie wydają mu się intruzami na tym, co według niego powinno być pustą planetą.

Paco, jak się przekonałem, jest gwałtowny, ale miły i inteligentny.

– Znajdziemy ci samochód, Wayne, żebyś mógł sobie obejrzeć Los Angeles. Stary system autostrad wciąż istnieje. Przetrwają chyba tak długo jak piramidy.

W nagłym przypływie szczerości wyznał mi, że Vegas Mansona i operacje w Los Angeles traktuje jako fundament nowego meksykańskiego królestwa, które obejmie całą Amerykę Północną na zachód od Gór Skalistych. Próbowałem opowiedzieć mu o własnych marzeniach o odrodzeniu USA. Najwyraźniej uznał jednak, że jestem niepraktyczny, przywiązany do nazw kilku firm i masy infantylnych wierzeń dotyczących nieograniczonego wzrostu. Według niego, to właśnie nadmiar fantazji zabił Stany Zjednoczone, cała ta Myszka Mickey i Marilyn, najbardziej zaawansowane techniki służące różnym głupstwom – jak polaroidy czy kosmiczne przedstawienia – które powinny zostać na stronach powieści science fiction. Zgodnie z jego słowami, kilku ostatnich prezydentów zachowywało się tak, jakby do Białego Domu trafili prosto z Disneylandu. Paco czytuje komiksy z Batmanem, lecz uważa się za zimnego realistę. To dziwne, ale chyba nie wierzy w Mansona tak jak ja, widzi w nim raczej ekscentryka, jakiegoś Lloyda Wrighta, Edisona czy Landa.

Miał jednak rację co do autostrad. Kiedy wystartowaliśmy rankiem i zatoczyliśmy krąg nad północno-wschodnią częścią miasta, zobaczyliśmy w dole dobrze zachowany system dróg. Poza biurkami i hotelami jedynie skrzyżowania autostrad wystają ponad dżunglę. Wyszukane wille i klocki bloków mieszkalnych, które tak bardzo chciałem obejrzeć, zniknęły w tysiącach błotnych lawin.

Kiedy minęliśmy Hollywood Freeway, zauważyliśmy pojedynczy samochód sunący pustą szosą – różowy Continental mark V holujący sporą przyczepę, wyglądającą jak wielka stalowa cysterna.

– Drugi stopień rakiety nośnej Adas – wyjaśnił mi Paco.

Przez radio porozmawiał z załogą, Miguelem i Diegiem, którzy od dwóch miesięcy pracowali w Los Angeles, a teraz ze zdobyczą wracali do domu. To spotkanie bardzo podekscytowało Mansona. Nie widziałem go jeszcze tak ożywionego. Rozkazał Paco polecieć nad drogą, ledwie trzy metry nad continentalem. Miałem uczucie, że odbijemy się od dachu samochodu i spadniemy w dżunglę. Manson gadał do siebie jak dziecko, przesuwając fotel od jednego iluminatora do drugiego. Czyżby zamierzał wysłać się na orbitę, może nawet zbudować stację kosmiczną, gdzie byłby bezpieczny w wolnej od wirusów, bezludnej próżni?

Z pewnością bardzo go interesuje sprzęt wojskowy. Należy bronić Stanów Zjednoczonych, a przynajmniej tej ich części, która obecnie nadaje się do zamieszkania: Kalifornii i Newady (kraju Hughesa). Nie warto podawać ich na talerzu moskiewskim biurokratom. Wylądowaliśmy z zakładach lotniczych Lockheeda w Burbank: kilometry popękanych betonowych pasów porośniętych sięgającymi do piersi palemkami, ogromne mroczne hangary i warsztaty. Od razu zauważyłem, że Mansona nie interesują

szerokokadłubowe odrzutowce pasażerskie – TriStary – częściowo zmontowane w hangarach produkcyjnych. Ważniejsze, że Lockheed był dostawcą rządowym, specjalistą od zaawansowanych systemów rakietowych. Paco użył palnika acetylenowego, żeby wprowadzić nas do działu prac tajnych. Podążaliśmy dziesięć metrów za Mansonem przez labirynt biur projektowych i warsztatów technicznych, dokładnie badając to, co wyglądało na części pocisków międzykontynentalnych i cruise'ów, głowic bojowych i układów sterowania.

Widok całej tej niszczycielskiej siły bardzo pobudził Mansona. Kiedy wracaliśmy nad wzgórzami Hollywood, ogromna chmura przestraszonych flamingów uniosła się znad basenów w dole. Manson dał sygnał Paco, chłopak spojrzał na mnie zniechęcony i uruchomił tablicę przyrządów w tylnej kabinie, przekazując Mansonowi sterowanie śmigłowcami ochrony. I nagle rozpętało się piekło: obie maszyny wykręciły na zewnątrz, lufy działek błysnęły ogniem, karabiny maszynowe zasypały pociskami stada bezbronnych ptaków. W powietrzu wirowały pokrwawione pióra, tysiące strzępków flamingów zachlapało listowie dżungli niby różowa farba z rozpylacza. Lecz Mansonowi to nie wystarczyło; przez pół godziny zmieniał kurs tam i z powrotem, nad wzgórzami i w doliny, masakrując wszystko, co się poruszało: samy spokojnie skubiące trawę na tyłach budynku Paramount, stadko lam pożerających liście winorośli nad stacją benzynową przy Ventura Boulevard, nawet słoń, który usiłował osłaniać swoją rodzinę, zażywając kąpieli w basenie hotelowym Bel Air. Samica i młode szczęśliwie uciekły między drzewa, ale samiec zginął w krwawej kałuży. Ryczał ciągle we wrzącej od pocisków wodzie, gdy oba śmigłowce okrążyły go niby rekiny oszalałe od zapachu krwi.

Paco i mnie wszystko to przyprawiało o mdłości. Na dachu hotelu Beverly Hills bez słowa wysiedliśmy z sea-kinga. Manson sprawiał wrażenie nasyconego, jak wielki boa. W notesie kreślił jakieś wojenne symbole, ciąg koncentrycznych kręgów rażenia. Na chwilę ogarnęło mnie nieprzyjemne uczucie, że samo życie jest dla niego chorobą.

#### 4.00, 25 listopada. Hotel Beverly Hills

Niezwykłe, ale ważne spotkanie o północy z Mansonem. Zakończyło się przed kilkoma minutami i teraz jestem trochę zagubiony, lecz zdeterminowany. Rysuje się tu wspaniała okazja, jednak czasu mam chyba mniej, niż myślałem. Wystarczy jeden samolot rozpoznawczy ze statku badawczego na Pacyfiku, a nie tylko Hughes Enterprises, ale i moje marzenia o prezydenturze zginą niczym tamten słoń.

O północy leżałem bezsennie w pokoju na czwartym piętrze i nasłuchiwałem odgłosów zwierzęcego życia na Beverly Hills – jakby chodziły tam stada hałaśliwych pawi oślepionych własnym widokiem. Przez okno widziałem na parkingu mgliste sylwetki śmigłowców, wciąż pokrytych zaschniętą krwią i piórami flamingów. Wtedy właśnie zabrzączał interkom i Manson poprosił mnie do swojego apartamentu.

Nadal ubrany w komplet safari, siedział przed swoimi monitorami, barwnymi obrazami Las Vegas przekazywanymi z silnej kamery ustawionej na dachu Desert Inn. Był błydy, ale skupiony, jakby już dawno postanowił zrezygnować ze snu, wydając w tym celu odpowiedni dekret.

– Wejdz, Wayne... – Skinął na mnie. – Jak dotąd interesująca podróż, chociaż pewnie nie podobało ci się to dzisiejsze polowanie. Szkoda tego słońca, ale Paco musi poćwiczyć strzelanie, zwłaszcza do celów, do których wolałby nie strzelać.

Teleks zaterkotał wypluwając wiadomość. Manson zerknął na taśmę i na moment znieruchomiał, przymykając oczy, zapatrzonej w jakiś nierealny sen za murem.

– Złe wieści w sprawie tego wirusa, Wayne. Wygląda na to, że wkrótce rozprzestrzeni się do Miami i Baltimore. Dzięki Bogu, że jak dotąd Zachodnie Wybrzeże jest od niego wolne.

– Wirus? – powtórzyłem. – Co to właściwie za choroba?

Chciałem go przygwoździć, ale uciekł wzrokiem.

– Bardzo aktywny nowy szczep, Wayne. Zwykle przenosi się do nas ze wschodnim wiatrem. Rozwijał się przez sto lat, żeby opanować te martwe miasta.

– Ależ panie prezydencie, lądowaliśmy w Nowym Jorku. Byliśmy narażeni na kontakt z tą chorobą?

Manson spojrzał tak, jakby zobaczył mnie po raz pierwszy.

– Byliście narażeni, Wayne, ale chyba jesteście odporni. Dlatego chciałem, żebyś się do mnie przyłączył. Jest wiele do zrobienia. Te meksykańskie dzieciaki są zdolne, a McNair bardzo pomoże od strony technicznej, razem z profesorem Summers. Ale potrzebuję kogoś, kto mnie zastąpi. Ciężko pracowałem, Wayne, przez długie lata. Nie chciałbym patrzeć, jak to wszystko się rozpada.

Ciemny, gęsty deszcz splukiwał dżunglę, krople tańczyły na łopatach wirników śmigłowców, zmywały krew z luf. Manson siedział jak topniejąca woskowa lalka, błyskawice rozświetlały jego zmęczoną twarz. Chciałem poprawić mu nastrój, zacząłem więc chwalić jego dokonania, jego zaawansowaną bazę techniczną i komunikacyjną w dżungli Newady.

– To zadziwiające, panie prezydencie. Nie wiem, jak dał pan sobie radę całkiem sam.

Manson przyglądał mi się z chytrym uśmiechem. Widziałem, że podoba mu się to „panie prezydencie”, ale nie był głupcem.

– Otrzymałem niewielką pomoc, Wayne. Mój partner przyłączył się do mnie w Las Vegas piętnaście lat temu. Wybitny inżynier, dopóki nie zwariował. To on nauczył Paco pilotażu.

– Gdzie on jest? – spytałem. Piętnaście lat... To mógłby być... – Czy to on zbudował roboty w hotelu Sahara?

Manson machnął ręką.

– To jedno z jego drobniejszych dokonań. Jest w Las Vegas, ale nie czuje się najlepiej. To wyczerpanie po podróży przez cały kontynent. – Dziwny wyraz pojawił się na twarzy Mansona, jakby wspomnienie wszystkich pustych autostrad i wyschniętych basenów Ameryki. – Teraz pracuje wolniej. Odbywa niewielką terapię zajęciową ze swoimi kukiełkami. Prawdziwa praca za bardzo go ekscytuje.

Burza trwała nadal, ulewa okładała kroplami liście palm, jakby setki śmigłowców ostrzeliwały nas z karabinów maszynowych. Spytałem Mansona, kiedy tu przybył. Czy należał do poprzedniej ekspedycji? Unikał jednak szczegółów, z wyraźną niechęcią wspominając Bremę, Antwerpię i Liverpool. Musiał przez długie miesiące włączyć się po dokach i nabrzeżach, czekając na odpowiednią okazję. Opowiadał o młodości spędzonej w amerykańskim getcie w Berlinie, wspominał o dzielnicy Spandau.

– Ale Europa już dla mnie nie istnieje. Tyle że widzę, jak budzi się niczym stary pies. Węszy tutaj, próbuje wetknąć pysk do tej nowej Ameryki, jaką zbudowałem. To była gra, Wayne. Postawiłem własne życie, postawiłem wszystko na ten jeden obrót koła, który dany jest każdemu z nas. Niewielki stosik marzeń i nadziei. A teraz próbują mi to odebrać. I tobie również, Wayne.

O co mu chodziło? Postanowiłem zaryzykować.

– Panie prezydencie... Te pociski, które pan przygotowuje, i wybuchy jądrowe nad Bostonem, Cincinnati i Cleveland... To nie były eksplozje starych elektrowni atomowych?

Manson wpatrywał się w ekrany monitorów. Coś działo się w pokoju dowodzenia w Vegas.

– Musiałem je zniszczyć, Wayne. Ze wschodu groziła zaraza. Wykorzystałem stare pociski cruise. Przed załamaniem nerwowym mój partner odrestaurował głowice bojowe i systemy sterowania. Są powolne, lecz pewne, jak gołębie pocztowe wracające do domu na gorącą kolację. Uważaj to za konieczny środek zapobiegawczy. Ale potrzebujemy ich więcej, Wayne. Zostały już tylko dwa titany i sześć cruise'ów.

– A te pokazy laserowe, sir?

– Ostrzeżenie dla Indian. Dziwni z nich ludzie, zdegenerowani i prymitywni, lecz przynajmniej zostali tutaj, kiedy inni odjechali. Nie chcę ich krzywdzić. Pomogli mi, kiedy tu wędrowałem. Ale musimy powstrzymać tę zarazę, zanim dotrze do Gór Skalistych. Wayne, musimy uruchomić pociski Minuteman. Tkwią w silosach po całej Newadzie. Twoi przyjaciele to potrafią, mają doświadczenie...

Słuchałem go przy wtórze kropel deszczu niezmiennie uderzających o ciemne liście. Wiedziałem, że racjonalizuję własne wątpliwości i że Manson świadomie odkrywa swoje prawdziwe motywy, że chce mnie wypróbować. Zaraza? Mutacje jakichś patogennych organizmów są oczywiście możliwe, ale... Prawdopodobnie Manson chce rozciągnąć kordon sanitarny, pas radioaktywnych miast od Wielkich Jezior aż do Zatoki Meksykańskiej. To przyhamuje natarcie od wschodu. Mentalność Linii Maginota, struktura raczej psychologiczna niż fizyczna osłona. A co z odsłoniętą flanką od strony Pacyfiku? Zgodnie z logiką, od Malibu do Newport Beach powinny wyrastać umocnienia i forty, Manson powinien być gotów bronić Mariny del Rey do ostatniego sprzedawcy antyków i agenta handlu nieruchomościami.

– ...za twoją zachętą, Wayne, jeśli powiesz im kilka słów. McNair i profesor Summers wysłuchają ciebie. – Spojrzał na mnie oczami nieruchomymi w świetle błyskawic. – Titany i minutemany mają moc pięciuset kiloton i duży zasięg. Nowy Jork, Paryż... Moskwa...

– I nie tylko, sir. – Zawahałem się, wspominając rozmowę z Orłowskim w Białym Domu. – Panie prezydencie, moglibyśmy zniszczyć Tamę Beringa, odwrócić bieg prądów arktycznych. Missisipi popłynęłaby znowu, można by zbierać dość zbóż, żeby wyżywić świat, zyskać kartę przetargową.

Manson uśmiechnął się promiennie.

– Jesteś graczem, Wayne. – Mówił to z dumą. – I trafiłeś we właściwe miejsce.

25 listopada. Malibu Beach

Niezwykła noc. Czy wierzyłem we własne słowa, kiedy proponowałem Mansonowi zniszczenie tamy w Cieśninie Beringa? Czy raczej zaraziłem się jego obsesjami? Co ciekawe, to wcale nie jest zły pomysł. W końcu to właśnie tama, próba manipulacji klimatem całego kontynentu, utrzymuje obecny podział Ameryki na pustynię i dżunglę. To właściwie wysysk, gnębienie „naturalnej” Ameryki równie brutalne i egoistyczne jak dowolna fantazja z Hollywood czy z komiksów Marvela, które Paco tak krytykuje.

Wróciłem do siebie, kiedy ostatnie burzowe chmury odpływały znad kalifornijskiego wybrzeża. Manson zrobił na mnie wrażenie. Mimo swoich dziwactw, ma jednak zalety dawnych jankesów. Chce odbudować potęgę Ameryki, sprawić, by stanowisko prezydenta było czymś więcej niż honorowym tytułem. Z drugiej strony jego obsesje... niepokojące, delikatnie mówiąc. Inni ludzie budzą w nim niepokój i podobnie jak Nixon żywi niechęć do własnego ciała. Paco i chłopcy uważają go za zajętego tylko sobą ekscentryka, ale przecież tacy sami byli Hughes i Henry Ford. Geniusz Hughesa prowadzi Mansona, ale też ktoś inny, kogo nie potrafię zidentyfikować... W myślach powraca obraz nieruchomych oczu z szalonym, mesjanistycznym błyskiem...

Zasnąłem myśląc o Mansonie, zbudziłem się o ósmej słysząc hałas i zamieszanie. Paco grzał silniki śmigłowców na parkingu, z interkomu dobiegały rozmowy nastolatków. Zjawił się trzyosobowy patrol młodych Meksykanów w czerwonym buicku kabrioletcie. Kiedy zjechałem do holu, Manson zniknął w kabinie sea-kinga. Paco kazał mi zostać. Jutro zabiorą mnie samochodem. Najwyraźniej ruszali wszyscy na jakąś tajną misję. Słyszałem, że chłopcy krzyczą do siebie „Edwards!”, zapewne chodzi o Bazę Lotnictwa Wojskowego Edwards. Chciałem wsiąść do kabiny – Manson na swoim fotelu nie zwracał na mnie uwagi – ale Paco zatrzasnął drzwi i krzyknął:

– Druga ekspedycja! Statek zawinął wczoraj do Miami!

Odlecieli. Wichura przygniotła dżunglę, kiedy skręcili nad wzgórze Hollywood.

Sam w hotelu, poczułem się zmęczony i bezsilny. A zatem przybyła wyprawa ratunkowa. Wprawdzie dzieliło mnie od nich prawie pięć tysięcy kilometrów, ale byłem przekonany, że dotrą do Las Vegas, zanim zdążę cokolwiek zorganizować. W apartamencie Mansona monitory lśniły słabo w świetle dnia. Opuściłem żaluzje i przez trzy godziny obserwowałem, jak lotniskowe radary przeczesują niebo nad Las Vegas, czekając na atak.

Nic się nie stało... Uspokoilem się trochę i zszedłem na parking. Czerwony buick stał na podjeździe, rodzina kłótliwych pawianów niczym turyści z prowincji zajęła tylne siedzenie. Gwizdały i machały, gdy podchodziłem, jakby oczekiwały, że obwiozę je po Los Angeles. Potem uciekły błyskawicznie, kiedy wcisnąłem klakson.

Ruszyłem. Pojechałem pustym Bulwarem Zachodzącego Słońca aż do autostrady. Ciężkie, deszczowe chmury. Zatrzymałem się w Malibu, samotny nad oceanem na granicy wielkiego miasta. Przeszedłem przez palmowe gaje i usiadłem na plaży, pasie piasku zaśmieconym gnijącymi orzechami kokosowymi. Dobre miejsce, żeby pomyśleć. Wędrowałem między skorupami domów gwiazd filmowych, łupinami przebijanych palmami snów. Ostatni raz zapisuję coś w tym dzienniku. Od dzisiaj nie będzie już czasu, żeby notować na bieżąco.

Wybór jest jasny: albo odstąpić od Mansona, zabierając ze sobą Annę i McNaira, albo przyłączyć się do niego. Jeśli nawet jest szalony, mogę to wykorzystać. Mogę użyć tego szaleństwa w słusznym celu. Miną miesiące, zanim duża wyprawa zdoła dotrzeć do Las Vegas. Przez ten czas umocnimy się tutaj. Moskwa będzie musiała z nami paktować, będą tolerować nasze rządy tutaj, tak samo jak tolerują wojskowe i kościelne reżimy w Ameryce Południowej.

Wystarczy mi dziesięć lat, żeby ten kraj znów uczynić wielkim.

Prezydent Wayne... Nie brzmi to już tak dziwnie jak kiedyś.



## Twarde lądowanie

Żyrafa przystanąła między kałużami wody na Fremont Street, uniosła swą delikatną mordkę w czyste po deszczu niebo i spojrzała na jaskrawą fronton Złotego Nuggetu. A kiedy podjęła swój elegancki trucht wzdłuż pustego chodnika, Wayne odpoczywał sto metrów nad nią, z nogami na pedałach „Gossamer Albatrossa”. Zeszłej nocy błyskawice wycięły łany dżungli na północ od Las Vegas i wpędziły tę łagodną istotę na przedmieścia. Teraz spacerowała opustoszałymi ulicami i niczym nieśmiały turysta podziwiała kasyna, nieświadoma Wayne’a, szybującego nad nią bezgłośnie w silnych prądach termicznych.

Zręcznie wykręcając lekkim szybowcem, ze śmigłem sterującym mu za plecami jak miecz, Wayne podążał za żyrafą za Podkową i Mint. Złośliwie podkraść się do niczego nie podejrzewającego zwierzęcia i przesunął cień samolociku tak, że żyrafa znalazła się pośrodku wielkiego krzyża celowniczego. Zamarła, niezdolna dotrzeć do słonecznego, oddalonego o kilka kroków chodnika. Zerknęła na wielką drapieżną maszynę, na szerokie skrzydła i srebrzysty sztylet wyrysowane na tle słońca. Zabezczala nosowo, zadrzała, po czym rzuciła się do panicznego galopu, desperacko zygzakując po ulicy.

Wayne zaśmiał się dobrodusznie i zaczął pedałowac. Ścigał żyrafę po ulicach, kierując ją za pomocą cienia samolotu, aż wreszcie dotarła do bezpiecznego lasu na zachód od miasta.

Zadowolony z siebie Wayne wykonał szeroki skręt nad centrum dzielnicy, wzniósł się na dywanie ciepłego powietrza z tysięcy świetlnych reklam. Gonił żyrafę nie ze złośliwości; pozostawiona sobie wkrótce wpaśćaby pod maskę pędzącego cadillakiem nastolatka.

Kiedy jednak zwolnił nad Circus Circus, dostrzegł wyraźną dezaprobatę na twarzach dwóch uzbrojonych dziewcząt, wymieniających przed wejściem płoteczki i kosmetyki. Ursula kręciła swą kształtną głową, raz jeszcze udając, że Wayne ją szokuje. Minęły już dwa miesiące od dnia, gdy na plaży Malibu podjął decyzję. Ale mimo zbliżenia z prezydentem nie zdołał przebić tego muru rezerwy, jaki wzniesli między nimi Paco i młodzi południowcy.

Dopiero wczoraj wieczorem, podczas nie zapowiedzianej wizyty w kasynie Szczęście Dam, Manson publicznie nazwał Wayne’a „wiceprezydentem”. Idąc za przykładem starca i próbując przełamać dziwne zakłopotanie, McNair i Anna Summers zaczęli głośno klaskać i rzucać Wayne’owi do stóp srebrne dolary. On stał przy stole do ruletki i kłaniał się nisko. Jednak zbrojny orszak dziewcząt i chłopców, którzy na tę okazję go tutaj przywieźli, demonstracyjnie powstrzymał się od braw. Akceptowali jedynie Annę i McNaira – nie tylko dlatego że swoją wiedzą wspomagali projekt opanowania elektrowni jądrowej Lake Mead.

Ze swojej strony Wayne uczynił wszystko, żeby ożywić Las Vegas, dać młodym Meksykanom smak prawdziwego amerykańskiego życia. W USA zajmowano się nie tylko komputerami i techniką. Z niechętną pomocą Paco, Wayne odnowił drogerię i bar z hamburgerami w pobliżu starego dworca autobusów Greyhound – pierwszy z sieci, którą miał nadzieję objąć całe miasto. Będą potrzebne, kiedy zaczną przybywać młodzi z nowych ośrodków rekrutacyjnych – namawiał Mansona, żeby utworzyć je nad Baja California. Na północy miasta stała porzucona fabryka coca-coli i Wayne próbował przekonać McNaira, by którąś wolną chwilę poświęcił na jej uruchomienie. Mógłby wykorzystać obfite zapasy syropu.

Sklepy z kosmetykami i dyskoteki – tego przede wszystkim potrzebowała młodzież. W tej chwili wolny czas spędzali w hotelowych apartamentach, spali, oglądali stare filmy porno i palili marihuanę, niby podstarzali wczasowicze. Wayne z parą niechętnych nastolatków

naprawił projektory w kinie dla zmotoryzowanych przy Boulder Highway, ale mało kto zjawiał się na pierwszym seansie, specjalnym pokazie dwóch filmów, „Piasków Iwo-Jimy” i „Gwiezdných wojen”. Ci Meksykanie wyraźnie uznali je za kolonialną propagandę, wyprodukowaną przez padający kapitalistyczny reżim. Co do wyścigu dragsterów, zakończył się fiaskiem. Wayne skończył wisząc bezradnie na pasach rozbitego wozu, wyśmiewany przez grupę zdziwionych nastolatków podpierających się karabinami. Ale przynajmniej spróbował.

Nie, uznał Wayne, machając do dziewcząt przed Circus Circus. Nie wiadomo, dlaczego wszyscy czuli się przy nim niezręcznie. Może widzieli w jego oczach bezinteresowną ambicję, kontynentalne w skali marzenie o nowej Ameryce. Nie podobało im się to, ale Manson właśnie dlatego wybrał Wayne’a, że był on jedynym człowiekiem o tak szerokiej wizji, by kiedyś odbudować cały naród. Wiedzieli też, że Wayne uważa ich za nieco ograniczonych i prowincjonalnych, że kiedy ruszy rekrutacja nowego personelu, stracą swoją dominującą pozycję w Hughes Company. Wayne naciskał na to od miesiąca.

– Będziemy dosłownie werbować nowy naród, sir – zaznaczył podczas pierwszego spotkania w apartamencie Mansona w Desert Inn. Starał się wzbudzić trochę entuzjazmu w pozostałych członkach rady, McNairze, Annie Summers i Paco. Wstał i szerokim gestem wskazał sylwetki wieżowców Las Vegas. – Potrzebni nam będą ludzie o najwyższych kwalifikacjach: specjaliści od komputerów, analitycy systemowi, architekci, agronomowie. Po raz pierwszy w historii skompletujemy naród wykorzystując metody doboru personelu udoskonalone przez Exxon, IBM i DuPonta. Zbudujemy społeczeństwo od zera, sir. Weźmiemy tylko najlepszych, ponieważ tylko najlepszych potrzebuje Ameryka...

Paco wpatrywał się posepnie w swój pistolet leżący na lśniącem blacie. O pięć metrów od nich prezydent rozparł się zamyślony w fotelu i z aprobatą kiwał głową.

Jedynie Anna zaprotestowała. Zaskoczona zmarszczyła czoło, słysząc tę płomienną mowę.

– Ależ Wayne, to potwornie elitystyczny punkt widzenia. Co z tymi przemęczonymi, stłoczonymi masami, które marzą, żeby odetchnąć swobodnie...?

Wayne lekceważąco machnął ręką, choć od razu przypomniał sobie Statuę Wolności w wodnym grobowcu, tak podobną do jego zmarłej matki.

– Kolej na nich przyjdzie później. W tej chwili mamy na głowie ważniejsze projekty, jak w dniach po ataku na Pearl Harbor czy w czasie realizacji planów księżycowych Kennedy’ego. Potrzebni są ludzie, którzy na nowo puszczą w ruch Amerykę, uruchomią setki elektrowni jądrowych, zaplanują i zbudują systemy irygacyjne, stworzą nowy przemysł... ekspertów komunikacji i mediów, fachowców od handlu i finansów. Optymalną populację Stanów Zjednoczonych oceniam na około stu tysięcy ludzi.

– Wayne ma rację, panie prezydencie – zgodził się nieoczekiwanie McNair.

Ale McNair miał szerszą wizję niż Anna Summers. Od tygodni zachwycał się warsztatami mechanicznymi w zakładach lotniczych Los Angeles, nieograniczonymi możliwościami skomputeryzowanych systemów. Jeden człowiek z piórem świetlnym przy monitorze mógł zaprojektować i zbudować stację kosmiczną, nie dotykając nawet śrubokręta. McNair miał tysiące własnych ambitnych pomysłów, a Wayne zachęcał go do pracy. Z zadowoleniem słuchał argumentów inżyniera.

– Z pewnością potrzebni są nami nowi rekruci, ale jedynie ci, którzy gotowi są pracować. Zwłaszcza kiedy przeniesiemy naszą bazę na wschód od Gór Skalistych, gdziekolwiek uznamy to za stosowne.

– Omaha w Nebrasce – przerwał mu Manson. Zerknął na swój inhalator i dodał tajemniczo: – Dowództwo Lotnictwa Strategicznego.

Wayne kiwnął głową, sam nie wiedząc dlaczego.

– Aspekt militarny jest niezwykle istotny, sir. Kiedy przyjdzie pora na rokowania z Moskwą, musimy z nimi rozmawiać z pozycji siły. Mimo to sugerowałbym, żebyśmy

przenieśli sztab do Waszyngtonu. To tradycyjna siedziba władz, a nam przyda się płynący z tej tradycji autorytet. Musimy uprawomocnić nasze rządy. Proponuję ustanowić pełną administrację ze wszystkimi symbolami rządu centralnego: wprowadzić walutę, świadectwa własności, obywatelstwo, potem mianować i przyjmować ambasadorów. Ekspedycja z Miami nie będzie ostatnią, sir.

Statek badawczy z nieznaną misją odpłynął niespodziewanie. Nie widziano go więcej. Mimo to McNair i Anna zgodzili się z Wayne'em, że ich ponownie przyjęte amerykańskie obywatelstwo może nie przekonać pierwszych komisarzy, którzy zjedzą na ląd. Jednak prezydent stracił zainteresowanie. Chwilami Wayne'owi zdawało się, że jego własny entuzjazm nudzi Mansona. Dostrzegał chytre uśmiešky skierowane ponad stołem obrad do Paco. Siedząc na fotelu w swoim jaskrawobłękitnym kostiumie, z inhalatorem uniesionym niby różdżka, Manson zaczął wspominać Dowództwo Lotnictwa Strategicznego i eskadry bombowców z bombami wodorowymi, w latach siedemdziesiątych bez przerwy patrolujące niebo nad Ameryką.

Paplał o „twierdzy USA” i groźbie zarazy. Zdawało się, że wyobraża już sobie hordy zakażonych imigrantów z Europy, którzy tłoczą się na plażach wschodniego wybrzeża i ze stałą prędkością trzech kilometrów dziennie przenoszą w stronę Gór Skalistych wściekliznę, polio, raka i zapalenie opon mózgowych.

Ten nie kończący się monolog niemalże wpędził Wayne'a w rozpacz. Manson chyba nie potrafił zrozumieć, że wkrótce będzie musiał nawiązać stosunki ze światem zewnętrznym, że pewnego dnia nieproszeni goście wkroczą do królestwa Hughesa, ciekawscy jak zabłąkane żyrafy czy samy, a wcale nie tak łatwo dający się wystraszyć. Jak dziecko, którym był pod pewnymi względami, Manson objawiał swój niepokój w zamiłowaniu do gier hazardowych. Odkąd powrócił z poligonów atomowych w północnej Newadzie, prawie co wieczór odwiedzał domy gry i hotele Las Vegas. Zabierał McNaira i Annę, po czym konwój limuzyn sunął od Złotego Nuggetu do Podkowy, od Fremont do Szczęścia Dam. Ubrany w obcisły czarny frak, z rulonami srebrnych dolarów pod ręką, Manson śledził wirujące koła ruletki, jakby w przebiegających liczbach próbował odczytać przyszłość. Można było odnieść wrażenie, że głównym zadaniem Wayne'a jako wiceprezydenta jest pilnowanie, by nie wysechł nieskończony strumień monet, które Paco i jego grupa ze stoickim spokojem dostarczali ze skarbców miejscowych banków. W rzeczywistości funkcja Wayne'a polegała na skłonieniu McNaira do takiego ustawiania kół, by prezydent wygrywał częściej niż przegrywał.

Co ciekawe, Manson najchętniej obstawiał zero, numer krupierski, najłatwiejszy do uzyskania drogą oszustwa. Chyba zdawał sobie z tego sprawę i uśmiechał się do Wayne'a, gdy wszyscy bili brawo, a srebrne dolary tworzyły wokół niego mur błyszczący jak dziwaczna, ozdobna zbroja.

Zgadziali się na wszystko, żeby poprawić prezydentowi nastrój, chociaż McNair także się martwił ekscentrycznym zachowaniem Mansona. A jeszcze bardziej jego obsesyjnym zainteresowaniem pociskami Minuteman spoczywającymi na wyrzutniach w dżungli o kilka mil od Las Vegas.

– Rozumiem, że trzeba spalić zakażone miasta – zwierzył się Wayne'owi po naradzie. – I naprawdę musimy się bronić. Ale co najwyżej przed bandami złodziei nadchodzącymi z Ameryki Środkowej, nie przed resztą świata. Te pociski mogą w ciągu dwudziestu minut osiągnąć Berlin i Moskwę. Wiem, że Anna się martwi. Możesz z nim porozmawiać, Wayne? Ciebie posłucha.

Jednak Wayne nie był przekonany.

– Musimy sprawiać wrażenie mocarstwa atomowego – wyjaśnił na poczekaniu. – To wszystko tylko na pokaz. Pies, który szczeka, nie gryzie.

Było to jednak niepokojące i Wayne coraz częściej chciał znaleźć się w powietrzu i pomyśleć. Spoglądając w dół przez krystalicznie czyste powietrze, popedałował w „Gossamer Albatrossie” w stronę Desert Inn, uważając, by nie nadziać samolociku na jeżące się na dachu anteny komunikacyjne. Zaczął korzystać z mięśniolotu, żeby zapomnieć o problemach, ale także z powodu niezwykle swobody oferowanej przez maszynę. Z góry mógł widzieć wszystko. Nikt z młodych Meksykanów pędzących po ulicach w lincolnach i cadillacach nie pomyślał nawet, żeby spojrzeć w górę na „Gossamer Albatrossa”, niezwykle prostego w pilotażu. Pierwsi piloci, jeszcze z dwudziestego wieku, byli wyczerpani już po kilku minutach w powietrzu. Wayne utrzymywał się w górze całymi godzinami.

– Sto lat minęło od końca wieku samochodu – zauważył z ironią McNair. – Przez ten czas *Homo sapiens* wytworzył sobie silniejsze nogi i płuca. Nasi dziadowie musieli być gromadą astmatycznych paralityków.

Pedałując spokojnie, Wayne wzniósł się wyżej, niczym rozentuzjasmowany Ikar na acetatowych skrzydłach, dwa razy bardziej palnych niż tamte. Opanował się jednak. Nie ryzykował – w końcu tylko krok dzielił go od prezydentury Stanów Zjednoczonych. Wykręcił i poszybował w dół, nad jezioro zalewające coś, co kiedyś było polem golfowym dla członków klubu Desert Inn. Zauważył Annę Summers mknącą brzegiem w zgrabnym czerwonym mustangu. Zmierzała do pracy na tamie i w elektrowni jądrowej. Gdy Wayne machnął skrzydłami, pokiwała mu wesoło. Zanurkował tuż obok samochodu, tak by miniaturowe podwozie „Gossamer Albatrossa” wyrwało z ciemnej toni dwa białe pióropusze. Anna uśmiechnęła się, zatrąbiła klaksonem i odjechała między migoczące neonami ulice.

Wayne radośnie nacisnął pedały i znowu wzbił się wyżej. Uwielbiał te delikatne flirty z Anną, złożone zaloty między skrzydlatym mężczyzną i pędzącą kobietą. Na ziemi, prawem kontrastu, czuł się niezgrabnie i ciężko. Czy ona zdaje sobie sprawę, myślał okrążając wieczorami jej hotel, że pewnego dnia może zostać Pierwszą Damą Ameryki?

Ta wizja dodała mu energii. Wspiął się w górę po schodach słonecznego blasku. Chłodne powietrze świszczało i szumiąco na tkaninie poszycia, muskało skrzydła z całą śmiałością dnia. W dole Wayne widział szeroką tylną ścianę Centrum Kongresowego, gdzie tak wielu późniejszych prezydentów Stanów Zjednoczonych otrzymało partyjną nominację. Tutaj, na południowym wschodzie Las Vegas, dżungla była najgęściejsza – hałaśliwa, pełna życia kraina tropikalnych ptaków, wielkich nietoperzy i owadów. Poza Desert Inn hotele i kasyna wzdłuż Stripu pochłaniał las i tylko górne piętra wynurzały się spośród drzew. Pałac Cezara, Rozbitkowie i Flamingo ledwie były widoczne wśród gigantycznych paproci i dębów.

Coś błysnęło pod dachem Piasków, słoneczny promień zadrżał w czymś, co wyglądało jak wizjer dziwnego urządzenia optycznego. Róg płóciennej markizy trzepotał luźno na wietrze. Wayne zakręcił, niemal muskając dach czubkiem skrzydła. Raz jeszcze dostrzegł długą metalową rurę, bez wątplenia lufę wyrzutni przeciwlotniczej.

Nagle zaalarmowany, postanowił lądować na wąskim dachu obok markizy. Może jakaś niezadowolona grupka Meksykanów planuje przewrót wojskowy? Z tego miejsca bez trudu odpała pocisk w sea-kinga Mansona, kiedy tylko maszyna wystartuje z lotniska.

Zawisł trzy metry nad lądowiskiem. Usiłował skierować szybowiec na dach, kiedy nagle coś za nim zahuczało. Drapieżny cień przemknął po niebie, przesunęła się potężna maszyna. Łopaty śmigła cięły słoneczne promienie i rąbały powietrze w eksplodujące bloki. Seria trąb powietrznych pochwyliła „Gossamer Albatrossa”, dożyła mu skrzydła nad wodą i pchnęła Wayne’a na drążki. Szarpany we wszystkie strony, okaleczony samolocik runął we wrzącą strugę powietrza za śmigłowcem. Niczym połamana wałka zawirował do tyłu i runął na ziemię.

Uwięziony w poszarpanej kabinie Wayne zdążył jeszcze zobaczyć Piaski i patrolowy śmigłowiec, który strącił go z nieba. A potem zmiażdżone resztki samolotu uderzyły o korony

drzew. Podarte skrzydła cięły wachlarze liści palm daktylowych, aż przebijając zasłonę mchu upadły w nagłą ciemność w dole.

Wayne szarpał niesprawne przyrządy. Próbował skierować szybowiec na niewielki ocieniony parking widoczny między drzewami, ale jakiś poważny, potężny dąb przesunął się przez zdumione powietrze i ściągnął na ziemię pilota z jego nieszczęsnym pojazdem.

## XXII

### Dom prezydentów

Otaczali go prezydenci.

Wysoko w górze tkwiło stalowe niebo z otworami okien wychodzących w nicość. Czyżby raj był zrobiony z metalu? Wayne leżał na wąskiej szpitalnej kozetce w ogromnej sali o ścianach tak dalekich, że musiał odwracać głowę, by je zobaczyć. Stały tam tysiące krzeseł ustawionych rzędami, jak gdyby konsylium anielskich medyków miało za chwilę wejść i obserwować badanie chorego.

A ze wszystkich stron surowo i z powagą spoglądali na niego prezydenci Stanów Zjednoczonych.

Najbliżej Wayne'a siedział na wózku inwalidzkim Franklin Delano Roosevelt. Wąskie wargi ściągnął w charakterystyczny grymas, rozważając stan ciała i umysłu chorego. Obok, w homburgu na głowie i brązowym płaszczu stał Harry Truman. Bystre oczy oceniały Wayne'a beznamyślnie. Nixon stanął w nogach łóżka, nieco odsunięty od pozostałych, z lekkim, wcale nie nieprzyjaznym uśmiechem na pomarszczonej twarzy. Był tam zamyślony Carter i uśmiechnięty Gerry Ford, który wyraźnie współczuł Wayne'owi tego nieoczekiwanego upadku. Trójka Kennedych trzymała się razem: JFK, Teddy i John-John. Ich promienne uśmiechy zachęcały Wayne'a, by wstał z łoża choroby.

Wayne usiadł, zdając sobie sprawę, że prawą nogę ma w gipsie. Zobaczył, że są tam wszyscy, czterdziestu czterech prezydentów zgromadzonych wokół jego kozetki w ogromnej sali. Byli Jefferson i Waszyngton w surdutach, pełen godności Lincoln w cylindrze, choleryczny Teddy Roosevelt i zadumany Woodrow Wilson, serdeczny Eisenhower z kijem golfowym w ręku, gotów przekonywać Wayne'a o uzdrawiającym działaniu partyjki golfa. Był nawet młody Jerry Brown z taką miną, jakby zamierzał powiedzieć za Wayne'a mantrę.

Potem, jakby na sygnał, wszyscy przemówili równocześnie, podnosząc głosy o znajomej intonacji, gestykulując uprzejmie do siebie niczym członkowie prezydenckiego kolegium wprowadzający nowo przyjętego.

Prezydenta Wayne'a?

FDR wyprostował się w fotelu, zgadzając się z Wayne'em w kwestii zbrojeń.

– ...czołgi, działa, samoloty... Musimy stać się wielkim arsenałem demokracji...

– Można być zbyt dumnym, by walczyć – zgodził się Woodrow Wilson.

Ale Lincoln zaprotestował:

– Głos jest mocniejszy niż pocisk... – I dodał z mądrą miną: – Ten naród, z bożą pomocą, odrodzi się w wolności...

Na co podniecony Nixon podszedł do kozetki i przypomniał:

– To byłby tchórzliwy postępek...

Wszyscy krzykali razem, przeciskając się do Wayne'a, jakby chcieli uzyskać jego głos: wieża Babel argumentów, odbijających się echem od tysięcy pustych krzeseł wokół hali.

– ...czołgi, działa, samoloty...

– ...ograniczeni Amerykanie...

– ...bezpieczne dla demokracji...

– ...zbyt dumny, by walczyć...

– ...*Ich bin ein Berliner*...

Wypchnięty do przodu przez trójkę Kennedych, FDR wykrzyknął Wayne'owi prosto w twarz, stukając go stalowym palcem w ramię:

– ...jedyne, czego musimy się lękać, to...  
Wayne krzyknął.

Wszystko ucichło. Czterdziestu czterech prezydentów zamarło w bezruchu, z rękami uniesionym w przerwanej geście, ustami otwartymi, jakby zapomnieli swych ulubionych przemówień. Ostatnie echa ich głosów umknęły ku odległemu sklepieniu i umilkły wśród spokojnego nieba za oknami. Wayne siedział, czując ból strzaskanej rzepki kolanowej i naderwanych mięśni uda. Unikając wyciągniętego palca FDR, przyjrzał się otaczającym go robotom.

– Jak się czujesz, synu?

Przy łóżku pojawił się nagle niski mężczyzna o jasnych oczach, w białym laboratoryjnym fartuchu. Zręcznie wymijał prezydentów, przyglądając się im po kolei. Mruczał coś do siebie, niby doświadczona pielęgniarka w szpitalu dla psychicznie chorych, doglądająca grupy pacjentów z silnymi iluzjami prezydenckimi. Przecisnął się między Kennedymi i uśmiechnął pocieszająco do Wayne'a.

– Uspokój się, chłopcze. Choć to zadziwiające, wylądowałaś jednak w jednym kawałku. Nie lataj więcej koło tych śmigłowców, bo nawet ja nie zdołam cię poskładać.

Kiedy zauważył, że Wayne z trudem omija wyciągnięty palec FDR, staruszek wyciągnął z kieszeni fartucha nadajnik i wcisnął klawisz.

Z wyraźnym skrzypieniem, szumem trybów i szelestem stawów kulowych, FDR cofnął rękę, usiadł wygodniej na fotelu i rozciągnął wargi w kocim uśmiechu.

– Teraz lepiej? – Starzec współczująco wskazał sińce na ramionach Wayne'a. – Jak na przyszłego prezydenta, jesteś w zadowolającym stanie. Trochę z ciebie zażartowałem, szykując to specjalne przyjęcie. Paco mówił, że jesteś naszym nowym wiceprezydentem. Ale obawiam się, że wiceprezydenta nie zbudowałem jeszcze żadnego.

Wayne położył się. Czuł, że jego ciało stało się całym atlasem stłuczeń i sińców. Głowę miał lekką i pustą, jakby ten podstarzały chochlik w białym fartuchu wyssał część jego mózgu i włączył go w obwody robotów. Wskazał daleki strop.

– To Centrum Kongresowe... Myślałem, że już umarłem...

– Niewiele brakowało, chłopcze. – Staruszek oparł siwą głowę o ramię Nixona, jakby pocieszał syna marnotrawnego. – Dobrze, że ten szybowiec był taki lekki. Gdybyś tkwił wewnątrz sztywnej konstrukcji... lecz nie myślmy o tym. Przyglądałem się, jak latasz. Dobry jesteś, Wayne, wyczuwasz powietrze. A ten samolot... piękny jak na swój czas, chociaż w zasadzie nadal tylko szybowiec. Ale podsunąłeś mi pomysł czegoś lepszego. Mamy teraz o wiele lżejsze materiały.

Urwał widząc, że Wayne przygląda mu się z niekłamaną ciekawością.

– Oczywiście, mój chłopcze. Kim jestem? Tego chciałbyś się dowiedzieć. – Skłonił głowę i kpiąco szurnął nogą. – Doktor Wiliam Fleming, emerytowany profesor informatyki Uniwersytetu Amerykańskiego w Dublinie, niegdyś szef działu badawczego Hughes Aircraft Company. – Gestem wskazał prezydentów. – A naszych przyjaciół, jak sądzę, rozpoznałeś bez trudu.

Wcisnął kilka klawiszy na nadajniku. Zaszurały stopy, zakotłosały się ramiona i czterdziestu czterech prezydentów wykonało w tył zwrot. FDR zakreślił kołami wózka i cały prezydencki kontyngent ruszył pewnym krokiem przez hol Centrum Kongresowego, by zatrzymać się o trzy metry od podium.

– Tak lepiej. – Staruszek podskoczył i usiadł na brzegu łóżka. Skierował na Wayne'a swe błyszczące, chytre oczka, jak gdyby ten ranny młody człowiek był zabawką, którą należy zbadać i wykorzystać do gry. – No cóż, Wayne, witaj w moim nie takim znowu skromnym domu. Tutaj powstawali prezydenci, i to nie tylko w jednym sensie tego słowa. Żałuję, że

nasze spotkanie nastąpiło tak nieoczekiwanie, ale Charles woli, żebym chował się tutaj i rozgrywał moje drobne zabawy.

– Doktor Fleming... – Wayne smakował językiem to nazwisko. Pamiętał serdeczny list, jaki ten starzec napisał do jego matki. To dziwne, ale naprawdę uważał go kiedyś za swego naturalnego ojca. Teraz jednak odrzucił tę myśl. Była śmieszna. Jego prawdziwe korzenie tkwiły bliżej takich ludzi jak Manson. – Urodziłem się w Dublinie. Dwadzieścia lat temu znał pan tam moją matkę.

– Wspaniała kobieta w pięknym okresie życia. Byłaby z ciebie dumna, Wayne, z wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych...

Wayne zaśmiał się niepewnie.

– To pan Manson podjął taką decyzję. Jest bardzo wielkoduszny. Wierzę w niego – dodał, podkreślając swoją lojalność. – Chce znowu uczynić Amerykę wielką.

– I ty również, Wayne. I ja. Kiedy jednak wszyscy zgadzamy się co do celów, możemy sobie pozwolić na dyskusje o środkach. Czy też, skoro już o tym mowa, co właściwie ma oznaczać słowo „Ameryka”. To symbol emocjonalny, Wayne; wyszedł z mody w osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych latach dwudziestego wieku, stracił moc przyciągania...

Przerwał zirytowany, że mówi sam do siebie. Wayne już nie słuchał. Zapadał w płytką, gorączkową drzemkę. Wieczór spłynął nad dżunglę i panele ciemnego nieba przesłoniły okna w dachu Centrum Kongresowego.

Fleming wysadził choremu poduszkę. Potem zbliżył się do prezydentów, uruchomił nadajnik i spokojnie wyprowadził ich przez drzwi pod sceną. Osobiście popychał wózek Roosevelta. Wayne zapadł w sen pełen puszczy i marzeń, śmigłowców i prezydentów, i fantazji o samolotach napędzanych siłą mięśni.



## XXIII

### Słoneczny Ptak

Następnego ranka Wayne zbudził się odświeżony. Minęła gorączka, noga była sztywna, ale mniej bolała, a stłuczenia na piersi przypominały barwą odpryski tęczy. Przyćmione światło wypełniało Centrum Kongresowe. Po drugiej stronie holu Fleming prowadził musztrę swoich prezydentów. Stali w czterech szeregach i słuchali obojętnie, jak każdy z nich występuje po kolei i przemawia do pozostałych. Lincoln przedstawił swoje przemówienie gettysburskie, FDR obiecywał Nowy Ład, John Kennedy składał zobowiązanie, że kraj wyśle ludzi na Księżyc, Nixon tłumaczył się z zaginionych taśm.

– Bardzo dobrze, panie Lincoln – pochwalił chudego robota doktor Fleming. – FDR, nad „czołgami, działami i samolotami” trzeba jeszcze popracować. Te gardłowe przydechy są zbyt agresywne. Pan Nixon... no cóż, mężna walka. Te brakujące osiemnaście minut zawsze trudno było wyjaśnić. O, Wayne, już nie śpisz!

Podbiegł w białych tenisówkach. Przyszyrzył brodę i wyglądał teraz na jeszcze bardziej ożywionego.

– No i jak? Dobrze spałeś?

– Nie... – Wayne przypomniał sobie swój sen. – Dziwne... Leciąłem wielkim mięśniolotem rozmiarów tego budynku.

– Latające centrum kongresowe, które sam jeden wprawiałeś w ruch? To brzmi zachęcająco, Wayne. Poczekaj, aż zobaczysz, co tu budowałem.

Później, kiedy Wayne żartocznie rzucił się na śniadanie, Fleming rozsiadł się na turystycznym krześle ustawionym tuż obok kozetki. Miał chyba ochotę na rozmowę. Między kolejnymi widelcami jajecznicy z przepiórczych jajek Wayne wypytywał go, zadowolony, że może poprawić humor temu samotnemu, ekscentrycznemu starcowi. Doktor Fleming opisał swoje przybycie do nowojorskiego portu z wyprawą w 2094 roku, szok po odkryciu Sahary zasypującej opustoszałe miasta wschodniego wybrzeża, pierwsze ostrożne ekspedycje do Waszyngtonu i Pittsburgha.

– Nastąpił poważny rozłam w kierownictwie wyprawy – wspominał. – Indianie byli wtedy bardziej agresywni. Bronili swoich terenów łowieckich. Zanim opuściliśmy New Jersey, wpadliśmy w zasadzkę szczepów Profesorów i Biurokratów. Były ofiary. Polityczni przywódcy zdecydowali, że mamy się spakować i wracać do Europy. Ale my, naukowcy, koniecznie chcieliśmy ruszyć przez kontynent na zachód. W rezultacie byliśmy mamie wyposażeni, a zanim dotarliśmy do Great Junction, mieliśmy na całą naszą trójkę tylko jedną parę zdrowych nóg. Manson nas uratował. Chybabyśmy tam zginęli, gdyby nie nadjechał na wielbłądzie...

– Już wtedy tu mieszkał?

– Mieszkał? – Fleming uniósł małe, wypielegnowane dłonie. – Jak współczesny Robinson Crusoe, z kilkoma indiańskimi ochroniarzami, w tym samym apartamencie w Desert Inn. Jak tu dotarł, nie mam pojęcia. Pokonał Stany całkiem sam. Oczywiście, Las Vegas było wtedy całkiem puste, nie paliły się światła, tylko ciemna dżungla, tysiące węży i malarycznych bagien, koszmar rozwrzeszczanych ptaków i jaszczurek. Najszczęśliwsze lata Charlesa.

– I pan mu pomógł zacząć wszystko od początku?

– Pomogłem, Wayne? To my zbudowaliśmy to wszystko! Szczerze mówiąc, zwykle byłem sam. Dwaj pozostali członkowie ekspedycji zginęli w nieszczęśliwych wypadkach: jeden utonął w elektrowni Lake Mead w zbiorniku radioaktywnej cieczy chłodzącej, drugi

rozbił się, wypróbując naprawiony śmigłowiec. I tak zresztą chcieli odejść po kłótni z Mansonem. Pozostałem tylko ja. Byłem Mansonowi coś winien, dlatego nie opuściłem go. Z początku cała operacja Las Vegas zaczęła się jako zabawka dla Mansona, ale teraz ja sam też chyba stałem się zabawką...

Wayne nasłuchiwał warkotu śmigłowca lecącego w stronę lotniska.

– Myślałem, że pan Manson wszystko to zorganizował.

– Bzdura. Charles to człowiek wybitny, na swój sposób. Liznął w Spandau trochę wiedzy o komputerach, ale poza tym... – Fleming lekceważąco pstryknął palcami. – Dlatego właśnie ty mu jesteś potrzebny, mój chłopcze. A zwłaszcza twój przyjaciele. McNair i ta profesor...

– Anna Summers. Jest fizykiem jądrowym. Musi ich pan poznać, doktorze, będą zachwyceni.

– Nie! – Starzec odsunął się, jakby szukał bezpieczeństwa w dalekich ścianach. Był lekko wystraszony, jak pacjent w szpitalu. – Od lat w niczym już nie uczestniczę. Nigdy stąd nie wychodzę, Wayne. Jestem słabego zdrowia. Charles uznał, że najlepiej będzie, jeśli zostanie tutaj. Mam wszystko, czego potrzebuję, świetne laboratorium, chłopcy przychodzą dla mnie gotować, od czasu do czasu wybieram się na spacer po lesie... Fizyk jądrowy, powiadasz. To niepokojące. – Wziął się w garść, jak gdyby postanowił nie myśleć o przyszłości. – No dobrze, Wayne. Pożyczmy fotel od FDR i pokażę ci warsztat starego mechanika.

Przez godzinę Fleming oprowadzał Wayne'a po laboratoriach urządzonych w biurach i pokojach recepcyjnych poniżej audytorium. Były tam dziesiątki warsztatów z obrabiarkami, precyzyjnymi spawarkami wyposażonymi w mikroskopowe okulary, a także wielki autoklaw do wytrawiania obwodów drukowanych. Wszędzie leżały sztuczne ręce i nogi obok odsłoniętych tułowi i głów bez twarzy podobnych do wnętrzości wielkich zegarków; oczy sterczały dziwnie z gęstwy sworzni i kolorowych przewodów.

Jeden z oddziałów na tyłach audytorium przypominał pracownię szalonego rzeźbiarza. Tutaj z arkuszy skóropodobnego plastiku Fleming wycinał i modelował twarze i dłonie, mocował je do metalowych armatur rąk i głów. Wokół stały dziesiątki znanych postaci – ustawione w panteonie symbole Ameryki. Huckleberry Finn i Humphrey Boggart, Lindbergh i Walt Disney, Jim Bowie i Joe Di Maggio leżeli sztywno na sobie jak nieprzytomni pijacy. Bing Crosby stał z kijem golfowym w ręku, a odsłonięta krtka ukazywała syntezator mowy. Muhammed Ali pozował w bokierskich szortach, z kikutów rąk zwisały żyły czerwonych i zielonych kabli. Marilyn Monroe uśmiechała się, kiedy przechodzili. Piersi leżały u jej stóp, a w otwartej klatce piersiowej widzieli stawy kulowe i pneumatyczne pęcherze wypełniające puste przestrzenie jej serca. Na końcu stali prezydenci, płatanina rąk, nóg i twarzy leżących na stole roboczym, jakby czekały, aż ktoś zbuduje z nich nocny koszmar Białego Domu.

– Robi wrażenie, Wayne? – spytał Fleming, kiedy przystanęli nad stosem odrzuconych Nixonów. – Więcej pierwszych urzędników niż człowiek mógłby zamarzyć.

Wydawał się jednak znudzony swoimi wspaniałymi zabawkami. Wayne podążył wzrokiem za jego spojrzeniem, przez otwarte drzwi prowadzące do wielkiego holu przy wejściu do Centrum Kongresowego. Bez przerwy migotało tam światło, jakby odbite od kryształów ogromnego kandelabru.

Zaciekawiony Wayne pchnął koła wózka i ruszył do drzwi. Doktor Fleming z dumą wskazał skomplikowaną konstrukcję ze szkła i metalowych linek, zawieszoną trzy metry nad podłogą. Jasny jak słoneczny promień i smukły jak wałka kadłub i przezroczyste skrzydła szklanego samolotu spinała pajęczyna stalowych linek tak cienkich, że tylko kilka kropeł skondensowanej pary znaczyło krystaliczne powierzchnie ich delikatnej geometrii.

Fleming z dumą patrzył na swoje dzieło. Po raz pierwszy jego ruchliwe, drobne ciało całkowicie zamarło.

– Wayne, pozwól przedstawić sobie Słonecznego Ptaka. Tobie muszę za niego podziękować. Twoje loty z ostatnich kilku tygodni naprowadziły mnie na myśl o nowym, bezsilnikowym samolocie. Nie warto wykorzystywać własnych nóg do niczego oprócz sterowania: słońce tylko czeka, żeby wykonać za nas całą pracę...

Sięgnął do zawieszonoego tuż nad głową prawego skrzydła. Kiedy rozłożył palce na przezroczystej płycie, w powietrzu zadrżała siatka linii naprężeń.

– Zdumiewający materiał, Wayne. Jedna z setek nowych odmian szkła wynaleziona podczas kryzysu energetycznego pod koniec dwudziestego wieku. Tę zaprojektowano, żeby nawet w pochmurny dzień ogrzewała wnętrze domu. Są w niej miliony miniaturowych laserów zogniskowanych o parę milimetrów od wewnętrznej powierzchni. Razem powodują niesamowity wzrost temperatury. Jak widzisz, musiałem go przywiązać. – Pstryknął w obciążoną linę mocującą urządzenie do podłogi. – W rezultacie samolot wytwarza własną poduszkę ciepłego powietrza. Jeśli przechylimy skrzydła, jak łopaty śmigieł, będzie się zsuwał z fali wznoszącej do przodu lub do tyłu. Heliodynamiczna siła nośna, w przeciwieństwie do aerodynamicznej. Nieporównywalnie cichy, łatwy w sterowaniu, napędzany ekonomiczną energią słońca i tajemniczy jak płatek śniegu.

Wayne przyjrzał się szklanej konstrukcji. Samolot migotał w jasnym świetle słońca i szarpał lekko linki, chwilami prawie niewidoczne. Między pięciometrowymi skrzydłami tkwił otwarty kadłub – dwa siedzenia w metalowej ramie. Linki sterownicze biegly od drażka pilota i znikaly w powietrzu.

– Zadziwiający, panie doktorze. – Samolot zadrżał, kiedy Wayne podjechał bliżej: powietrzna istota nerwowo reagująca na obecność rannego pilota. – Ale czy już pan nim latał?

– Oczywiście, że nie. Jestem za stary. – Fleming skromnie machnął ręką i chytrze zerknął na Wayne'a. – Ale to będzie twoje zadanie. Jesteś przecież oblatywaczem. Tak, to ty polecisz Słonecznym Ptakiem, a ja będę twoim nawigatorem. – Zanim Wayne zdążył zaprotestować, doktor kontynuował z zapalem. – Najbardziej niezwykłą cechą tego materiału jest jego absolutna prostota. Wystarczy diament do cięcia i szpulka stalowego drutu, a możesz produkować jeden taki samolocik dziennie. Grupa czterdziestu czy pięćdziesięciu ludzi zdolna jest w krótkim czasie stworzyć sporą flotę powietrzną. – Uśmiechnął się z dumą. – Powiem szczerze, że to właśnie zaplanowałem: czterdziestu czterech ludzi, ściślej mówiąc.

– Czterdziestu czterech...?

– Czterdziestu czterech prezydentów! – Fleming zachichotał radośnie. Pomysły strzelały mu z oczu na podobieństwo sprężyn z przekręconego zegara. – Daj mi kilka dni, Wayne, a przeprogramuję ich systemy kontrolne. Dlaczego nie? Mam już dość wysłuchiwanie przemowy gettysburskiej, moralizowania Wilsona i Nucona paplającego o tych taśmach. Zagonię ich do pracy. Zapełnią niebo Słonecznymi Ptakami. Zabierzemy dzieciaki i odleciemy zamieszkać w promieniach słońca, daleko stąd, już na zawsze...

Uśmiechał się do kaskad słonecznego blasku wpadających przez okna holu, świetlnych schodów przyzywających szklany samolot szarpiący linki uprząży. Wayne ścisnął poręcz wózka, sprawdzając wytrzymałość zranionej nogi. Przy odrobinie szczęścia gips powinien go podtrzymać. Mógłby zrobić sobie laskę – w warsztatach znajdzie się jakiś stalowy pręt. A potem ucieknie od tego szaleńca. To fakt, podziwiał doktora Fleminga, ale też słyszał ciche trzaski i zgrzyty szklanego samolotu. Zadrżał, wyobrażając sobie samobójczy lot tą maszyną. Pora wracać do Mansona, do obowiązków wiceprezydenta, jak najdalej od szklanych samolotów i snów o słońcu.

Po południu Fleming zapadł w drzemkę w hamaku na podeście. Wayne ostrożnie wstał z fotela i pokuśtykał przez puste warsztaty do wyjścia, wspierając się na kiju golfowym Crosby'ego. Ale kiedy tylko minął Słonecznego Ptaka, przekonał się, że drzwi – podobnie jak wszystkie pozostałe wyjścia z Centrum Kongresowego – chronione są przez gwardię

prezydencką. Lincoln i Truman uśmiechnęli się do niego pocieszająco, a Waszyngton wskazał mu wózek inwalidzki, który Carter i Ford wspólnie przewieźli z audytorium.

Wayne powrócił do głównej sali, odprowadzany chłodnymi spojrzeniami czterdziestu czterech prezydentów. Stali wokół niego, gdy układał się w szpitalnym łóżku. Pilnowali go, nie opuszczali przez całą noc i kolejne dni, kiedy doktor Fleming układał się na hamaku – zadowolony i złośliwy Dżepetto, witający w swoim magicznym sklepie z zabawkami kolejnego Pinokia.

## XXIV

### Absolwent Spandau

I tak przez następny tydzień, kiedy wydarzenia w Las Vegas podążały swą krętą drogą, Wayne był więźniem starego uczonego i jego czterdziestu czterech prezydentów. Co rano po przebudzeniu widział pełne godności postacie wokół łóżka, ich posepne twarze bez wyrazu. Doktor Fleming siadał w hamaku na podeście i wystukiwał na nadajniku pierwsze instrukcje. Potem Reagan i Coolidge przynosili Wayne'owi śniadanie, a pozostali maszerowali do laboratorium, gdzie z zapalem pracowali przy konstrukcji rosnącej flotylii szklanych samolotów. Niewielka grupa pozostawała przy Wayne na straży. Zawsze przyjaźnie uśmiechnięci Ford i Carter popychali wózek, a trzech prezydentów mających doświadczenie wojskowe: Grant, Eisenhower i Waszyngton, szli za nim wszędzie i spokojnie ignorowali pytania, czy można otworzyć drzwi Centrum.

Przez pierwsze dni, kiedy Wayne odzyskiwał władzę w nodze, zakładał, że chronią go od możliwych wypadków, że dbają o szybki powrót do zdrowia, by był gotów do pierwszego przelotu Słonecznym Ptaakiem. Słyszał warkot śmigłowców Mansona, lądujących i startujących z lotniska Las Vegas. Najwyraźniej działo się coś ważnego, a wzmożony ruch w powietrzu nie miał nic wspólnego z poszukiwaniami Wayne'a. Każdej nocy kilka razy budził go huk wystrzałów z działek, kiedy śmigłowce wykonywały ćwiczebne przeloty nad dżunglą.

Pewnego wieczoru, tydzień po swoim wypadku, kiedy nieustanny hałas strącił ze stropu audytorium obłok kurzu, Wayne potoczył swój fotel do działającej windy i wjechał na taras widokowy. Doktor Fleming stał samotnie przy poręczy, odwrócony plecami do świateł Las Vegas. Trzy kilometry na wschód od Centrum Kongresowego śmigłowce atakowały samotny blok mieszkalny. Prowadzone przez sea-kinga Mansona, przeleciały nad Centrum, obciążone rakietami powietrze-ziemia. Wayne zauważył nawet Paco w żółtym hełmie. Za nim, w fotelu Strzelca, Manson kręcił się jak niecierpliwy, maniackalny myśliwy. Rakiety jedna po drugiej pomknęły do celu, wybuchając na szklanych płytach pokrywających ściany. Stado wystraszonych ptaków wzleciało z leśnego jeziora obok budynku. Ich jaskrawe ciała unosiły strzępy ognia.

– Gry wojenne, Wayne – mruknął Fleming. – Bóg jeden wie, w co bawi się Charles. Może przygotowuje się na przyjęcie gości... Słyszałem o bandach najemników w lasach Arizony, Indianach, bandytach i innych mętach. Oni i Manson raczej się nie dogadają...

– Panie doktorze... – Wayne'a podniecał obraz zniszczenia, kłęby białego dymu nad dżunglą. – Jestem wdzięczny, że się pan mną zajął, ale powinienem już wracać do prezydenta.

Fleming przyjrzał mu się, jakby z trudem potrafił go rozpoznać.

– Prezydenta? Nie masz tu dość prezydentów?

– Będę potrzebny panu Mansonowi.

– Wcale nie! Mnie będziesz potrzebny, Wayne. Musisz wypróbować Słoneczne Ptaki. To nasza jedyna droga ucieczki. Wszyscy odlecimy w słońce!

Tego wieczoru zaczęła się praca na nocną zmianę. Wayne leżał w łóżku, a prezydenci trudzili się bez przerwy, budując flotę Słonecznych Ptaków. Fleming popędzał ich – nadzorca z radiowym nadajnikiem – wysyłając nieskończony ciąg mikrofalowych instrukcji. Cięli i kształtowali panele słonecznego szkła, mocowali je do smukłych ram kadłubów, przeciągali linki sterownicze i dopasowywali punkty zaczepów. Budząc się Wayne widział te niezwykle stworzenia uwiązane jak szklane ważki do podłogi wokół niego. Były wśród nich jednomiejscowe jednopłaty, dwu i trzymiejscowe dwupłatowce, trójpłatowce ze skrzydłami

długimi na dwadzieścia metrów i miejscami dla sześciu pasażerów. W bladym świetle poranka widmowa flota migotała bezustannie, wyrывая się do lotu na skrzydłach dnia. Nocą nawet blask księżyca wzbudzał w delikatnych maszynach dreszcz podniecenia. Jak uwięzione sylfidy szarpały liny mocujące, a ich skrzydła rozbrzmiewały muzyką dzwonek. Prezydenci stali między nimi cierpliwie – przyszli lotnicy, zrodzeni z marzeń Wayne'a o locie i Białym Domu.

Pod koniec drugiego tygodnia powstało już dwanaście samolotów. Wsparty na kij golfowym Crosby'ego Wayne kuśtykał po laboratoriach i patrzył, jak nabierają kształtów kolejne. Prezydenci pracowali z energią, z jaką niewielu ich pierwowzorów mogło się równać w prawdziwym życiu. Przerывali tylko wtedy, gdy Fleming odkładał nadajnik i nasłuchiwał warkotu śmigłowców i strzałów z baterii działek wokół lotniska.

Przy lunchu Fleming wskazał nadajnikiem nogę Wayne'a, jakby radiowym poleceniem próbował zmusić ją do działania.

– Widzę, Wayne, że nabierasz sił. Jesteś prawie gotów, żeby wypróbować pierwszego Ptaka.

– Właściwie... nie jestem pewien.

Wcale nie miał zamiaru latać tymi szklanymi konstrukcjami. Widział już, jak ginie w rozpryskach przegrzanych kryształów. Jednak nie sprzeciwiał się Flemingowi. Czekał, aż odzyska siły w dostatecznym stopniu, by prześcignąć ciężką prezydencką gwardię. Choć zirytowany uwięzieniem w Centrum Kongresowym, polubił tego samotnego starca. Żałował tylko, że nie wykorzystuje swoich talentów, by pomóc Mansonowi.

Wayne podniósł głowę znad tacy z jedzeniem i spojrzał na krąg nieruchomych robotów.

– Panie doktorze... Już dawno chciałem o to zapytać. Pomiął pan jednego prezydenta.

– Którego, Wayne?

– Pana Mansona.

Fleming zmierzył go gniewnym wzrokiem. Dłonie miał poranione – całymi dniami ciął szklane płyty. Drobne odpryski pokryły bielą jego włosy i brodę, jakby wysiłek ostatnich tygodni dodał mu dziesiątków lat.

– Nie. Charles prosił, ale mu odmówiłem.

– Dlaczego? Bardziej się zasłużył dla Stanów Zjednoczonych niż większość prawdziwych prezydentów. Stara się chronić wszystko, co pan tu wybudował.

– Zgoda, Wayne. – Fleming drgnął, gdy od strony lotniska rozległa się seria wybuchów. – Ale jego metody są dla mnie nazbyt drastyczne. Cincinnati, Cleveland... tu wina spada na mnie. Ja pomogłem mu uzbroić głowice bojowe tych pocisków. Powinienem zdać sobie sprawę, w jaki sposób Charles zamierza chronić Amerykę. Tak samo jak samobójca ochrania siebie przed własnym ciałem.

– Ależ panie doktorze – nie ustępował Wayne – on przecież musiał zniszczyć te miasta. Fauna i flora Nowego Świata straciła odporność na bakterie Starego.

– Charles ci to powiedział? – Fleming wydłubał z lewej dłoni drażniącą szklaną drzazgę. – Tak, bez wątpienia nadchodzi śmiertelna epidemia... Jest niezwykle zakaźna i nie znamy na nią lekarstwa.

– Wie pan o tym?

– Oczywiście. To najgroźniejsza choroba ze wszystkich. Nazywa się „inni ludzie”. Przybędą już wkrótce; jeszcze większe wyprawy spróbują na nowo skolonizować te ziemie.

Wayne chciał wstać, chwycić za ramiona rozwścieczonego starca i jakoś go uspokoić. Kozia bródka Fleminga podskakiwała i drżała jak pisak pobudzonego sejsmografu.

– Myli się pan, doktorze. Pan Manson mówił...

– Wayne! – Fleming uderzył dłonią w klawiaturę nadajnika, budząc trwoźny spazm wśród zebranych prezydentów. Skrzydła szklanych samolotów zadrżały współczująco, jakby zatrzęsła się niewidocznie podłoga holu. Uczony opanował się z wysiłkiem. – Przestań go

nazywać panem Mansonem. Powinieneś może wiedzieć, że to nie jego prawdziwe nazwisko. Dla jakichś powodów przyjął je, kiedy go wypuścili ze Spandau.

– Wypuścili? On wyemigrował – sprostował rzeczowo Wayne. – Spandau to amerykańska dzielnica Berlina. Było tam kiedyś więzienie – dodał dla informacji Fleminga. – Trzymali w nim przestępców wojennych: Hessa, Speera...

– A później „więźniów” całkiem innego rodzaju. Kiedy sto lat temu wyburzyli starą twierdzę, nikt z Niemców nie chciał budować na tej ziemi. Dlatego oddali ją emigrantom z Ameryki. Przypuszczam, że miał to być ironiczny gest. Spandau to nazwa amerykańskiego szpitala dla psychicznie chorych w Berlinie, alma mater twojego czterdziestego piątego prezydenta.

Manson? Charles Manson?

Wayne słyszał już kiedyś to nazwisko. Wspólnik Howarda Hughesa, czy może ktoś zamieszany w sprawę Watergate? Nazwisko było tak znane jak wcześniej Dillingera. Ale dlaczego?

Manson, Charles...

– Co się stało, Wayne? – Na twarzy starca pojawił się wyraz szczerzej troski. – Przykro mi, podciąłem gliniane nogi twojego idola. Ale musiałem cię ostrzec przed niebezpieczeństwem. Tak, Wayne, po długiej podróży upiory Charlesa Mansona i IBM spotykają się w Pałacu Cezara, grając pociskami Cruise zamiast złotych sztonów...

Manson? Wayne wstał, oparty na kiju. Próbował się zastanowić. Szklane samoloty dygotały ze strachu, wyczuwając serię coraz bliższych wstrząsów.

Doktor Fleming mówił już tylko do siebie.

– Może teraz rozumiesz, dlaczego wolałem schować się tutaj. Ale teraz wszystko to możemy odrzucić...

Rozległy się wybuchy. Pociski przeciwlotnicze eksplodowały na niebie, odłamki bębniły o dach Centrum. Fleming oprzytomniał, wystukał coś na nadajniku. Prezydenci stanęli w rozkroku, na ugiętych nogach. Potężna syrena alarmowa zawyła nad ulicami Las Vegas. Zawarczał przeciążony silnik, w górę wzbił się śmigłowiec, rozpaczliwie mieląc powietrze łopatami niemal pionowo ustawionego wirnika. Tuż za nim leciał mały samolot z pasami na kadłubie. Przemknął za oknem, ścigany pociskami wystrzeliwanymi z dachu pobliskiego hotelu. Rozbłyśki wybuchów posyłały kłęby gorącego dymu ponad dżunglą, powietrzne pięści uderzały w ściany Centrum.

Zanim Wayne zdążył ściągnąć Fleminga na ziemię, błysk światła rozjaśnił audytorium. Sześćdziesiąt metrów nad nimi rozprysnęły się szyby okien. Rzucony na kolana Wayne osłonił twarz. Gorący pył sparzył powietrze. Rozpadł się szklany dwupłatowiec, strzeliły linki nośne, płyty szkła pękały z brzękiem. Kolejny samolot zerwał się z uwięzi i runął na grzbiet pomiędzy chwiejących się prezydentów, eksplodował z trzaskiem i jak cukrem obsypał ich szklanym pyłem.

Doktor Fleming stał pośrodku tego pandemonium z nadajnikiem w ręku, z brodą i rzęsami pokrytymi szklanym pyłem. Prezydenci padali jak kręgle, gdy wybuchy naruszały komory ciśnieniowe ich systemów równowagi. Madison, Coolidge, Adams i Reagan przewrócili się pierwsi i teraz kopali nogami wśród szczątków samolotu. Jedynie Gerald Ford utrzymał pozycję pionową, ale w geście solidarności umyślnie potknął się i rzucił na ziemię. Podniósł się i upadł znowu, wstał z przymilnym uśmiechem, otrzepał kurz z ramion i rzucił się na plecy, tylko po to by znów się poderwać.

– Gerry... na miłość boską... – Fleming zamachał nadajnikiem w rzedającym dymie. Lejkowaty dach wysysał kurz, wyrzucał go przez wybite okna. Tymczasem nie cichło posępne wycie syren alarmowych.

– Panie doktorze... – Wayne chwycił starego uczonego pod ramię, gdy ten liczył uszkodzone samoloty. Połowa flotyli była nadal nie uszkodzona. – Musimy znaleźć pana Mansona!

– Nie, Wayne! Zostajemy tutaj!

– Panie doktorze, te samoloty nigdy nie polecą... To tylko fantazja!

Czekał na jakąś odpowiedź, ale starzec uniósł swoją różdżkę i wpisywał ostatnie instrukcje. Kiedy zjawił się Truman z zaciśniętymi jak zwykle wargami, szukając wzrokiem drzwi wyjściowych, Wayne wykorzystał szansę. Podniósł kij golfowy i wybił nadajnik ze słabej dłoni doktora. Potem schylony przebiegł pod drżącymi skrzydłami szklanego samolotu. Kiedy ślizgając się i kulejąc sunął przez audytorium, słyszał, jak Fleming krzyczy i pogania swoje roboty. Prezydenci dudnili już ciężko za jego plecami, potykali się i ślizgali na tłuczonym szkle niby pijani łyżwiarze.

Ciepłe, duszne powietrze dżungli napływało przez rozbite drzwi holu. Wayne z wdzięcznością wciągnął je do płuc. Z krótkim salutem dla odegnanego widma Binga Crosby'ego odrzucił kij golfowy, zbiegł po schodach i kulejąc wśród ryku syren pomaszerował do centrum miasta.



## XXV Oblężenie

Las Vegas było miastem oblężonym. Wayne zatrzymał się dopiero bezpieczne dwieście metrów od Centrum Kongresowego, żeby odpocząć na tylnym siedzeniu porzuconego kabrioletu. Prezydenci stali w grupie przed wejściem, mrużąc oczy na zalanych słońcem granicach ich zaprogramowanego świata.

Wayne nie zwracał na nich uwagi. Czujnie obserwował niebo. Pociski rozpryskiwały się nad miastem. Obsadzone przez młodocianą milicję Mansona działka przeciwlotnicze sporadycznie otwierały ogień z dachów hoteli Dunes i Paradise. Podobne do pasiastych ryb ciemne sylwetki samolotów rozpoznawczych przesuwały się nad Las Vegas z zachodu na wschód.

Kiedy wokół niego zaczęły spadać odpryski jaskrawego powietrza, Wayne ukrył się pod dachem stacji benzynowej, po czym, gdy tylko zapadła cisza, ruszył do Desert Inn. Gdzie się podziewał Manson? Neony kasyn i hoteli świeciły niezwykle jasno. Ze wszystkich stron drażnił siatkówkę niezdrowy blask, jakby historyczną stolicę hazardu zaatakowała tropikalna gorączka. Ulice były puste, a wypalone wraki samochodów dymiły wzdłuż krawężników. Przy Paradise Road Wayne naliczył kilkanaście zbombardowanych moteli i bloków mieszkalnych w kręgach poczerńałego lasu. Zdalnie sterowane śmigłowce Mansona patrolowały wschodnie granice miasta. Wayne widział, jak atakują pusty stadion przy autostradzie, nurkują i zataczają kręgi, jakby kierował nimi obłąkany pilot.

Setki zabitych ptaków pokryły ulice, pióra papug przypominały barwne plamy farby. Martwy bizon leżał na boku przy skrzyżowaniu Paradise Road i Desert Inn Road; nogi sztywniały mu w słońcu. Obok spoczywały poharatane odłamkami zwłoki nieostrożnej pantery, która wyszła z kryjówki, by pożywić się przypadkową ofiarą.

Syreny alarmowe nie przerywały melancholijnego wycia. Wayne skręcił w Desert Inn Road. Trzy zwiadowcze samoloty oddalały się w stronę granicy Arizony. Dołączył do nich czwarty, który zakończył swój lot na poziomie dachów Las Vegas i umożliwił Wayne'owi ucieczkę. Czyżby należały do najemników, tych bandytów, o których Manson twierdził, że pewnego dnia wynurzą się z mroków dżungli Arizony i Nowego Meksyku? Ścisły szyk lotu i takie same insygnia sugerowały raczej zorganizowaną ekspedycję wojskową, może należąca do morskiej wyprawy, która na krótko przybiła do brzegu w Miami.

Ale po co ten zbrojny opór? Jeśli prezydent zamierzał ustanowić legalną władzę, potwierdzić swe prawo do stanowiska pierwszego prokonsula Nowej Ameryki, popełniał błąd, zachowując się jak ekscentryczny watażka. W dodatku jedna połowa jego milicji ścierała się chyba z drugą. Gdy Wayne zbliżał się do Desert Inn, natrafił na ufortyfikowany workami z piaskiem, pierwszy z wielu punktów oporu, ustawiony na skrzyżowaniu przy Stripie. Zwoje drutu kolczastego zagradały ulicę, wplątane w przednie koła unieruchomionego cadillaca.

Dwie dziewczyny stały na workach z piaskiem. Wayne rozpoznał Ursulę, która wiozła go na spotkanie z Mansonem zaraz po przybyciu do Las Vegas. Teraz nosiła pełny ekwipunek bojowy z ochraniaczami i uprzężą. Wymachiwała pistoletem maszynowym, mierząc do trzech najwyżej piętnastoletnich chłopców, kryjących się za szybami cadillaca. Mimo zielonych mundurów i broni wyglądali na zagubionych i przestraszonych – okrągłe buzie oszołomione wyciem syren.

Wayne ruszył biegiem, z trudem przekrzykując hałas.

– Przepuść ich! Ursula, co ty wyprawiasz? Odsuńcie drut kolczasty!

Zerknęła na niego ze znużeniem i gestem kazała zawrócić. Wymierzyła broń w przednie koła cadillaca. Huknęły strzały, para buchnęła z przebitej chłodnicy, a ciężki wóz przechylił się do przodu na sflaczałych oponach. Przerażeni atakiem chłopcy zamarli na moment w limuzynie, potem z dziecięcymi piskami wyskoczyli na zewnątrz i uciekli wzdłuż ulicy zalanej blaskiem neonów.

Wayne podszedł do punktu oporu. Wskazał apartament na dachu Desert Inn.

– Ursula, co się stało z prezydentem? Muszę go zobaczyć.

Dziewczyna przyglądała mu się z nieskrywaną wrogością.

Wyraźnie uznała, że Wayne opuścił ich w tygodniu kryzysu.

– Odszedł stąd, Wayne. Przeniósł swoją kwaterę do Pokoju Wojennego. I nie chce cię widzieć. A teraz uciekaj stąd, przyłącz się do swoich przyjaciół ze wschodu.

– Ursulo...

Wayne chciał przekroczyć drut kolczasty spowijający podziurawionego cadillaca. Jednak dziewczęta zniknęły już za umocnieniami. Lufy ich pistoletów maszynowych podążały za nim, kiedy odchodził niepewnie. Gdy znalazł bezpieczną kryjówkę za porzuconą ciężarówką, Ursula wstała i krzyknęła za nim – Pasionaria z nocnego klubu w dżungli:

– Wayne, tym razem nie ukradniecie nam naszej ziemi!

Przez następną godzinę Wayne krążył po Las Vegas w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu głównej kwatery Mansona – „Pokoju Wojennego”, o którym niezrozumiale wspominała Ursula. W jej ustach brzmiało to jak nazwa baru. Piękna, ale nierozsądna dziewczyna. Mógł sobie wyobrazić, jak uczy go tanga seriami pistoletu maszynowego. Może prezydent zachorował albo nastąpił przewrót pałacowy, a obroną Las Vegas przed realnymi czy wyimaginowanymi wrogami kieruje Paco i inne walczące frakcje. Cała operacja Hughes/Manson nagle znalazła się na krawędzi chaosu – nerwowe strzelaniny na ulicach, niebezpieczne ataki śmigłowców, które w tej chwili obrzucały napalmem niewinne kino dla zmotoryzowanych, działka przeciwlotnicze bezustannie ostrzeliwujące puste, błękitne niebo. A wśród tego wszystkiego neonowe frontony kasyn jaśniały niby halucynowane Niagary.

Zmęczony ciągłym kryciem się i wybieganiem z barów i hoteli, Wayne ruszył środkiem Stripu. Kiedy trafiał na punkty oporu, przepędzano go szorstko. Najwyraźniej nikt nie chciał z nim rozmawiać. Pomyślał zniechęcony, że autorytet wiceprezydenta, nigdy specjalnie nie poważanego ani podziwianego, w tej chwili sięgnął dna.

Grupki zdenerwowanych nastolatków kryły się między automatami w hotelach, leżały pod stołami ruletki w kasynach przy Fremont Street. Jak cherubiny uwieszone w prześwieconym raju, wpatrywali się w Wayne'a nie widzącymi oczami. Nie reagowali na jego krzyki.

– Chico... gdzie jest Pokój Wojenny? Widziałeś pana Mansona? Kto teraz dowodzi? Pancho, skąd się wzięły te samoloty?

Zrezygnował w końcu. Przed Złotym Nuggetem wyrwał kluczyki z ręki dwunastolatka siedzącego na krawężniku obok pustego continentala. Ruszył Stripem, nie zwracając więcej uwagi na działka i śmigłowce. Musiał jakoś dotrzeć do lotniska – tam prawie na pewno mieściło się nowe centrum dowodzenia. Jeśli mu się poszczęści, znajdzie prezydenta w starym Terminalu Hughesa. Manson prawdopodobnie dostał wylewu albo zawału serca i nie ma pojęcia, że jego zastępcy rozrywają na strzępy dżunglowe księstwo.

Dotarł tylko do skrzyżowania z Sahara Avenue, gdy zauważył pędzący w jego stronę niewielki konwój samochodów. Prowadził go znajomy czerwony mustang. Wayne poślizgiem ustawił continental w poprzek drogi, zmuszając tamtych do hamowania z rykiem klaksonów i błyskaniem reflektorów. Zmęczona Anna Summers stanęła na siedzeniu, chwytając podrapanymi dłońmi przednią szybę. Ciemne plamy krwi znaczyły jej brodę i ramiona.

– Wayne? Myśleliśmy, że już po tobie. Zjedź nam z drogi!

Wayne wyskoczył z lincolna, szukając po kieszeniach resztek bandaża, żeby opatrzyć jej rany. Anna machnęła tylko ręką, nie zważając na zakrzepłą krew.

– W porządku. Nic mi nie jest. To biedny McNair...

Razem przebiegli obok następnego samochodu, wyposażonego w radio dżipa kierowanego przez dwie zdenerwowane dziewczyny z milicji Mansona. Za nim stał plymouth kombi z bladym Pepsodentem za kierownicą. Z tyłu na materacu leżał McNair z nogami przywiązanymi do chromowanych noszy. Ubranie i brodę miał poplamione czerwoną górską gliną, oczy zamknięte na bezbarwnej twarzy. Z prawej nogi usztywnionej w prymitywnych łupkach i owiniętej strzępami płótna ciemna krew sączyła się na podłogę samochodu.

Anna Summers drgnęła, gdy zabrzmiały serie działek przeciwlotniczych z dachów Piasków i Paradise. Ośłoniła oczy przed morderczym światłem neonowych reklam, po czym uspokajająco klepnęła Pepsodenta w ramię. Ubranie i dłonie Indianina były umazane tą samą czerwoną gliną, jakby on i McNair walczyli w rowie pełnym rdzy.

Wayne objął Annę za ramiona i odprowadził ją do swojego lincolna. Kiedy ruszyli Sahara Avenue, westchnęła bezradnie i potrząsnęła głową, jakby zła sama na siebie.

– Manson oszalał... Próbował zabić McNaira. Co się z tobą działo, Wayne? Musisz znaleźć Mansona i jakoś przejąć dowodzenie. Uaktywnił titana i cruise'y ukryte gdzieś w dżungli. Chce ich użyć przeciwko flocie ekspedycyjnej w Malibu. – W chwilowym ataku furii uderzyła go w ramię. – Wiedziałeś, co on planuje!

– Malibu? – Zaskoczony Wayne potrafił myśleć jedynie o pustej plaży, gdzie podjął decyzję poddania się Mansonowi. – Ile tam jest okrętów?

– Trzy. Mają około pięciuset ludzi i sześć samolotów. Są z patrolu antypirackiego na Pacyfiku. Bazują na Hawajach. Rozmawialiśmy z nimi przez radio, zanim Manson zablokował transmisję. Jest też mniejsza ekspedycja z Phoenix. Połączyli się z meksykańskimi i indiańskimi najemnikami zza Rio Grandę.

– I to oni postrzelili McNaira?

– Nie! McNair chciał ich ostrzec, ale śmigłowce Mansona spłynęły z nieba koło Flagstaff i zaatakowały bez uprzedzenia. Musieli uciec z drogi, ale Pepsodent zdołał jakoś wrócić do samochodu i mnie zawiadomić.

– Śmigłowce Mansona... – Wayne z uporem kręcił głową. – Chyba raczej najemnicy. Manson mówił...

– Wayne, on zwariował! – Anna uderzyła poranioną dłoń w kierownicę. – On odpalił te pociski! Ty durniu, byłam przy tym! Myśleliśmy, że chce wysłać na orbitę satelitę komunikacyjnego, ale one mają głowice bojowe! Kiedy z McNairem odmówiliśmy mu pomocy, bałam się, że zastrzelili nas na miejscu!

– Ależ Anno...

Wayne szukał jakiegoś sposobu, żeby ją uspokoić. Jechali przez Sahara Avenue, a gałęzie drzew przesłaniały im wąski pasek nieba nad głowami. W pobliżu hotelu Sahara rozległ się nieprzyjemny hałas i nad ulicą przeleciał śmigłowiec. Wayne dał dziewczętom i Pepsodentowi sygnał do zatrzymania, a sam spojrzął na osobistego sea-kinga prezydenta ze znajomym zestawem medycznym i szybkostrzelnymi działkami. Lufy przeszukiwały ulicę, a przez pióropusze palm Wayne zauważył w kabinie złoty hełm Paco. W hermetycznie odizolowanym przedziale z tyłu siedział Manson w swoim obrotowym fotelu; zmrużone oczy lśniły na popielatoszarej twarzy. Powiedział coś do mikrofonu i sea-king skrzyknął ostro. Serie pocisków przeszły puste samochody, ulewą metalowego deszczu rozrywając dachy.

Bezzałogowy śmigłowiec z warkotem odleciał na swój śmiertelny patrol, szukając ofiary. Wayne objął Annę Summers, która ścisnęła kierownicę, opierając głowę na dłoniach.

– Już odleciał. Przeniesiemy McNaira do hotelu. Potem zorganizuję ucieczkę. Do Los Angeles.

– Wayne, pociski... Nie rozumiesz? – Anna wyprostowała się i wyrwała z uścisku Wayne’a. Spojrzała na niego z determinacją. – Te pociski są gotowe, ktoś uzbroił je dla Mansona najwyżej rok temu. Sześć cruise’ów i dwa titany, wszystkie z głowicami atomowymi.

– Wiem o tym... – Wayne nasłuchiwał cichnącego warkotu sea-kinga. Przez chwilę czuł się jak tamte przerażone dzieciaki pod Złotym Nuggetem. Przemówił z takim przekonaniem, na jakie w tej chwili było go stać: – Nie martw się. Zanim odjedziemy, aresztuję Mansona i obejmę prezydenturę.

## XXVI

### Titany i cruise'y

Ich bazą na najbliższe trzy dni stało się dziesiąte piętro hotelu Sahara. Po pierwszej ciężkiej nocy McNair zaczął szybko wracać do formy. Pod opieką Anny Summers leżał w zaciemnionym pokoju, za zaciągniętymi żaluzjami dla ochrony przed coraz bardziej jaskrawym światłem ulicznych neonów. Popsodent kucnął u stóp łóżka z pistoletem maszynowym na kolanach. Marszczył czoło, słysząc z zewnątrz nie cichnący ogień przeciwlotniczy, wieczny warkot śmigłowców i wycie syren.

Pozostali Indianie – Heinz, Xerox i GM – odjechali poprzedniego dnia. Prowadzeni przez bystrego Heinza, załadowali węglem stare galaxie, puścili parę w tłoki i ruszyli do Kalifornii. Przy odrobinie szczęścia, myślał Wayne, śmigłowce Mansona nie wykryją powolnego parowego pojazdu. Samotny Pepsodent ze stoickim spokojem pilnował McNaira, pomagał Annie go myć i zmieniać opatrunki.

Wayne tymczasem także trzymał wartę. Z dachu hotelu obserwował ostateczny rozpad dżunglowego imperium Mansona, które pociągało za sobą w otchłań tak wiele jego marzeń o odrodzonej Ameryce. Manson zagłuszał wszystkie pasma radiowe nad Las Vegas, co ścianą trzasków odcięło transmisje ekspedycji z Malibu i z Phoenix. Ale z przebijających się czasem krótkich rozmów radiotelefonicznych można było wywnioskować, że obie grupy zbliżają się coraz bardziej. Niewielka flotyła okrętów w Malibu wyładowała wozy bojowe i ekwipunek, po czym żołnierze rozproszyli się w okolicach Los Angeles, zakładając serię odosobnionych enklaw, by w ten sposób uniknąć zagrożenia ze strony pocisków Mansona.

Drugiego dnia z oderwanych fragmentów biuletynu dowiedzieli się, że Manson odpalił jeden z dwóch titanów. Wymierzył potężną rakietę nie w Malibu ani w Phoenix, ale z jakichś niewyjaśnionych powodów w Des Moines, opustoszałe miasto wśród białych piasków na wschód od Gór Skalistych.

– Zostało jeszcze sześć cruise'ów i titan – stwierdził Wayne. – Ale dlaczego akurat Des Moines? Dlaczego nie Waszyngton albo Nowy Jork? Przecież nienawidził biurokratów ze wschodniego wybrzeża.

– Ostatnia szalona zagrywka. Od początku wiedziałam, że jest obłąkany. A mimo to pracowaliśmy dla niego, Wayne. Dlaczego? – Anna zadrżała w półmroku sypialni McNaira. Ledwie przytomny pacjent sączył herbatę z filiżanki, którą Pepsodent podsuwał mu do nadpalonej brody. – Może systemy kierujące są uszkodzone i nie był w stanie wskazać, którą mapę mają wybrać. Ale co za wariat je uzbroił?

Wayne zignorował pytanie. Miał powody, żeby nie wspominać Annie o spotkaniu z doktorem Flemingiem w Centrum Kongresowym. Ale wieść o ataku na Des Moines poważnie go zaniepokoiła.

– Anno, to nie pasuje do Mansona. On zawsze jest wyrachowany. Do przesady. Des Moines musi być elementem jego osobistej układanki...

Anna drgnęła i przez zasunięte żaluzje wyjrzała na rozświetlone miasto w dole.

– Ale gdzie on teraz jest? Gdzie jest ten jego Pokój Wojenny?

– Tego nikt nie wie. Nigdy o tym nie mówił.

Nawet doktor Fleming, mimo swej nienawiści do Mansona, nie wspomniał o tajnej kwaterze.

Na szczęście przez cały okres chaosu trwały loty rozpoznawcze. Na niebie krzyżowały się smugi kondensacyjne przelatujących wysoko maszyn w pasiastej liberii. Wayne zgadywał, że

fotografują miasto i lotnisko, próbując ocenić siły Mansona i odnaleźć punkty oporu. Czy domyślali się, że Las Vegas broni zbieranina dzieciaków? Próbując oślepić ich obiektywami, Manson zwiększał moc zasilającą miasto. Neonowe frontony kasyn i hoteli zmieniły się w katarakty białej lawy, ściany oślepiającego różu i fioletu, które zdawały się rozpalać okoliczną dżunglę i zmieniały Strip i centrum w rozpłomioną, bezcieniową dziedzinę, gdzie rzadkie wozy pancerne przypominały widmowe smoki w palenisku pieca.

O zmroku krótkofalowe transmisje obu ekspedycji przebiły się wreszcie przez trzaski układów zagłuszających. Nadano krótkie wezwanie do wszystkich mieszkańców Las Vegas, żeby złożyli broń i współdziałali z nacierającymi oddziałami. Wtedy odezwał się równy głos Mansona. Przeklinał napastników monotonną tyradą przesyconą obsesją brudu, chorób, biurokracji i śmierci, jakby był oszalałym spikerem nadającym nie z Las Vegas, ale z ogarniętego zarazą miasta miliona szafek z dokumentami.

Z dachu Sahary, w samym środku Stripu, Wayne zdumionym wzrokiem śledził rozwój wydarzeń. Anna Summers próbowała dodać mu sił. Trzeciego ranka, kiedy syreny alarmowe powitały kolejny samolot zwiadowczy, opuściła przytomnego już McNaira i windą wjechała na pokład obserwacyjny.

Wayne spoglądał na wyświetlany laserowo obraz żołnierza z karabinem, w hełmie i kamizelce kuloodpornej, wyrastający kilkaset metrów ponad miastem. Teraz, kiedy baterie na dachach Piasków i Paradise wyczerpały amunicję, Manson wysyłał do obrony swego królestwa te ogromne iluzoryczne postacie. Bóg jeden wie, co myśleli piloci samolotów, widząc tych wykrzywionych gigantów, którzy powstawali, by strącić ich z nieba – niesamowity szereg żołnierzy i rewolwerowców, Joe Louisa z prawej i z lewej atakującego samoloty przelatujące przez jego pięści, potem King Konga w odpowiednich do sytuacji śmiertelnych drgawkach, a nawet samego Mansona w niebieskim garniturze i homburgu na głowie, zasiadającego nad rozświetlonym miastem niby posepny grabarz w ambitnym, ale pozbawionym smaku filmie reklamowym.

– Ten obraz jest najsmutniejszy ze wszystkich, Anno – wyznał Wayne. – Choć jest w nim pewna tragiczna godność. Na swój sposób, to prawda, ale Manson przynajmniej próbował.

– Weź się w garść, Wayne. Nie rezygnuj teraz. – Stojąc za nim, Anna ujęła go za ramiona... Pierwsza oznaka czułości od czasów „Apolla”. – Przewędrowałeś cały kontynent i doprowadziłeś nas tutaj. Las Vegas nigdy nie było niczym więcej niż tylko największą żarówką na świecie. Możemy zacząć od nowa gdzie indziej, w Pasadena albo w Santa Barbara.

– Pasadena...? – Tym razem zadrżał Wayne. – Czy nie rozumiesz, Anno, że nie przypadkiem trafiliśmy do Las Vegas? Tak samo jak Manson... i Hughes. – Wskazał wznoszącą się nad nimi przejrzystą sylwetkę żołnierza. Stał w rozkroku, sięgając potężnymi stopami dachów Mintu i Circus Circus, i strzelał z karabinu do pasiastych samolotów przelatujących mu przez pierś. – Manson wyświetlił go specjalnie dla mnie: to John Wayne w „Piaskach Iwo Jimy”. Nam wydaje się to żartem, ale to sedno wszystkiego. Tutaj śnili najczystsze sny...

Najczystsze i najbardziej niewinne. A jednak Wayne zdawał sobie sprawę, że jego myśli powracają do doktora Fleminga i sześciu pocisków Cruise, które uzbroił dla Mansona. Nie zdradził Annie, że spotkał starego naukowca. Wyjaśnił, że błąkał się w orchideowych gajach Doliny Śmierci. Od wielu nocy dręczyły go sny o cruise'ach. Pozostało jeszcze dość czasu, żeby przeprogramować ich mapy konturowe, skierować je na północny zachód, nad Pacyfikiem, w tamę, która zakłóciła naturalną równowagę między wschodnią a zachodnią półkulą. Gdyby tylko zdołał odszukać Mansona, mieliby jeszcze czas na ostatni obrót koła...

## XXVII „Miłość” i „Nienawiść”

Tego popołudnia, o trzeciej, pierwsze rakiety sygnałowe wleciały nad dżunglę na wschód i południowy zachód od Las Vegas, zwiastując przybycie ekspedycji z Phoenix i Malibu. Różowe i niebieskie gwiazdy zawisły spokojnie nad drzewami niczym skromna reklama trzeciorzędnego wędrownego cyrku. Lecz te pierwsze widzialne oznaki zbliżającej się plagi, której obawiał się od tak dawna, wzbudziły u Mansona wybuch aktywności. W ciągu kilku minut, ledwie Wayne i Anna zdążyli wrócić do pokoju McNaira, zawyły ostrzegawczo syreny, a elektrograficzne frontony wielkich hoteli i kasyn zapłonęły z furją płynnego metalu.

Jednak światła już wygasły. Energia przelewała się do centrum Las Vegas, ale Złoty Nugget był pogrążony w ciemności, rurki neonów leżały porozbijane na chodniku – pierwsza czarna dziura w diamentowej pile. Kiedy pojawił się zwiadowczy samolot i przeleciał nisko nad dachami, śmigłowce Mansona ruszyły za nim jak oszalałe rekiny z lądowisk na dachach Piasków i Paradise. Z warkotem mknęły wzdłuż zastawionych wrakami ulic, ostrzeliwując rozkładające się zwłoki żyraf i aligatorów. Po chwili zgubiły namiar i kierowane przypadkowymi sygnałami z tajnego centrum dowodzenia Mansona kręciły się na granicach miasta, zrzucając napalm na dżunglę po obu stronach głównych tras na południe i zachód. Kłęby dymu sięgnęły ku niebu, tworząc kilometrowe słupy czarnego pawilonu, gdzie pod burzowym sklepieniem nieba kryły się laserowe dżiny Mansona.

Godzinę po zmroku wszystkie światła Las Vegas zgasły jakby za przesunięciem jednego wyłącznika. Nie pociemniała jednak jaśniejąca nad miastem korona. Pożary otaczały Las Vegas, a wybuch stacji benzynowej na stacji Greyhounda podpalił okoliczne hoteliki i bary. Pożar lasu rozprzestrzenił się szybko, płomienie odbijały się w oknach milczących hoteli i kasyn. W tej chwili wszystkie drogi wyjścia z miasta zostały odcięte, autostrady zablokowane przez płonące drzewa.

O północy Wayne pieszo wyszedł z ciemnej Sahary. Postanowił odszukać jakoś kwatery Mansona. Ponad nim, na pokrytym dymami niebie rozjaśnianym miriadami ognistych cząstek, laserowe rzutniki wyświetlały swój ostatni pokaz dla sił ekspedycyjnych, które na noc rozbiły obozy na wzgórzach wokół miasta. Wayne maszerował Stripem, a gigantyczna postać zamordowanego JFK padała na niebie niby powalona góra. Potem zjawiły się dziwne obrazy przestępców i nieżyjących gangsterów: podziurawieni kulami Baby Face Nelson, Dillinger i Pretty Boy Floyd, Lee Harvey Oswald wykrzywiony na chwilę przed śmiercią.

Na końcu, jako najgroźniejsze z Mansonowych widziadeł, rozbłysnął obraz młodego człowieka, niewiele starszego od Wayne'a, z ogoloną czaszką i posepnym wzrokiem. Duża głowa zwisała na nocnym niebie, oświetlana dalekimi ogniami migoczącymi w jej pustych rysach. Nie zastanawiając się Wayne przystanął i spojrzął widziadłu w oczy. Nawet w tym nieostrym, powiększonym wizerunku, niematerialnym jak powietrze, wyraźnie dostrzegł w nich gorycz i przemoc. Za wielkimi źrenicami tkwiły wspomnienia ciężkiego dzieciństwa, po którym nastąpiło brutalne dorastanie i dorosłe życie w szaleństwie i niewoli. Te oczy spoglądały ponuro na oddziały biwakujące w dżungli dookoła Las Vegas, ostrzegały ich przed straszliwą zemstą.

Idąc dalej pod ogromną, bezwłosą głową, Wayne uświadomił sobie, że widział już gdzieś te oczy. Siedział wtedy senny przed projektorem w bibliotece w Dublinie. Tożsamość tego człowieka była zagadką unoszącą się na granicy świadomości od dnia przyjazdu do Newady. Wspomnił cichy stuk slajdów, zdjęcia prezydenta i gwiazd filmowych, sławnych i pogrążonych w niesławie...

– Charles Manson!

Z tym krzykiem spojrzął w niebo. Wreszcie przypomniał sobie koszmarny proces z odległych lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku, chory umysł kryjący się za morderstwami w Hollywood, młodocianych wyznawców pod jego groźnym urokiem. Ale prezydent...? Wayne skręcił do Desert Inn i opuszczonego apartamentu Hughesa. Półtora wieku później inny chory, posępny młody człowiek wyszedł ze szpitala psychiatrycznego w Spandau, z amerykańskiego getta w Berlinie, i zmienił nazwisko, co miało być pierwszym krokiem w realizacji długoterminowych planów zawładnięcia Stanami Zjednoczonymi. Las Vegas płonęło w ostatnim akcie prezydenckiego panowania, o którym marzył w więziennej celi pierwszy Manson: władzy mordercy i psychopaty z palcem zawieszonym nad przyciskami wysyłającymi pociski atomowe.

Wayne wybiegł na środek ulicy, pokazując się śmigłowcom patrolującym centrum miasta. Gdzie jest Manson, w jakim tajnym ośrodku czeka na najeźdźców, którzy przybyli, by go aresztować?

I wtedy przypomniał sobie słowa doktora Fleminga:

– ...Po długiej podróży upiory Charlesa Mansona i IBM spotykają się w Pałacu Cezara, grając pociskami Cruise zamiast złotych sztonów...

Pałac Cezara!

Gdzieżby indziej?

Nikt nie bronił barykad na Stripie. Przed Desert Inn przestąpił nad zaporą z drutu kolczastego przy umocnionym stanowisku, skąd Ursula kazała mu się wynosić. Lampa naftowa paliła się w porzuconym schronie, oświetlając zapomniane magazyny filmowe, niepotrzebne płyty gramofonowe i kuloodporne kamizelki. Wayne przykleknął na metalowej podłodze, rozkładając fotografie wysypane z zapomnianej ramki, zdjęcia z polaroida, na których Ursula pozowała dumnie przed swoją małą twierdzą. Była nawet fotografia Wayne'a z podpisem dziecięcym charakterem Ursuli: „Pan Ważniak, nasz nowy wice – całkiem milutki”.

Lekki tropikalny deszcz zrosił ulicę, gdy Wayne dotarł do kolejnych umocnień przed Rozbitkami. Ciepła mżawka zmywała płyty palmowych liści, odbijających dalekie ognie płonących hoteli. Za sobą słyszał złowieszczy warkot dwóch automatycznych śmigłowców, ślepych aniołów, przesuwanych przez Mansona nad miastem. Wynurzyły się z nocy i zawisły piętnaście metrów nad nim, idącym środkiem Stripu. Karabiny maszynowe mierzyły mu w plecy, obiektywy kamer w pustych kabinach usiłowały pochwycić jego profil. Manson nadał im imiona. Na dziobie pierwszego śmigłowca ktoś wymalował „Nienawiść”, między łufami działek drugiego – „Miłość”. Wayne przyglądał się im, czując pokusę, żeby chwycić za płozy i ściągnąć je z nieba. „Miłość” i „Nienawiść”, jak tatuaże na dłoniach psychopaty. Rozpoznały go jednak i zawróciły jednocześnie. Znikając i pojawiając się między hotelami, leciały na lotnisko.

W polu widzenia pojawił się ostatni punkt oporu przed Pałacem Cezara. Pewien teraz, że Manson go obserwuje, Wayne przystanął przed rdzewiejącym znakiem hotelu. Wąska ścieżka prowadziła od schronu w gęsty gaj palmowy porastający dziedziniec. Na polance stał sea-king Mansona, łopaty śmigieł uginały się ku dołowi, na kadłubie ciemniały plamy oleju, prochu i dymu. Nikt nie pilnował hotelu – najwyraźniej młodzi Meksykanie opuścili prezydenta, w końcu zobaczyli rzeczywistość za zdalnie sterowanymi maszynami i pokazami laserów.

Wayne ruszył w stronę ciemnej bryły hotelu, prawie niewidocznej pod splątaną skorupą paproci i lian. Gdzieś w tym niezwykłym śnie żył smutny czarnoksiężnik, obłąkany Merlin, którego posłuszne maszyny czekały w swoich gniazdach na dachach pobliskich hoteli.

Światło błysnęło pośród lasu, w drzwiach dla dostawców. Młody chłopak o wąskiej twarzy, ubrany w panterkę, wciąż w hełmie prezydenckiego pilota, skinął pistoletem.



– Spóźniłeś się, Wayne... – Zmęczone oczy Paco obserwowały przybysza z upartą ciekawością. – Prezydent się niecierpliwi. Chce, żebyś mu towarzyszył przy Wielkim Kole.

## XXVIII

### Pokój Wojenny

Kiedy Wayne przekroczył próg hali sportowej, z początku miał wrażenie, że znalazł się na planie jakiegoś dawno porzuconego filmowego studia. Podążał za Paco przez hol pustego hotelu, obok niezliczonych stołów blackjacka i ruletki, stojących rzędami na pokrytych dywanami podłogach, pod ostrym światłem lamp zasilanych z awaryjnego generatora. Wreszcie, gdy zostawili za sobą eksponaty rzymskiego imperium i dotarli do drzwi hali, przekroczyli niewidzialną linię i przenieśli się w czasie o dwa tysiące lat, z naiwnej fantazji starożytności w paskudny zakamarek końca dwudziestego wieku.

Przed Wayne'em otworzyła się kopia Pokoju Wojennego z Pentagonu. Elektroniczna ścienna mapa celów sięgała pod sufit: schemat Stanów Zjednoczonych uwieczniony za szklaną siatką niby potępiony duch martwego komputera. Poniżej migoczących linii brzegowych i granic stanów stał okrągły stół, a na nim telefony i notatniki przygotowane dla prezydenta, szefów połączonych sztabów i ich adiutantów. Pośrodku tkwiło wielkie koło ruletki z przejrzystą tarczą podświetloną od dołu. Kręciło się powoli, a odbicia światła pędziły po ścianach i suficie, rzucając plamy rozmazanych liter na mapę USA i wszystko inne w pokoju.

...BALTIMORE... TAMPA... NOWY ORLEAN... PORTLAND... TOPEKA... TRENTON... KONXVILLE...

Nazwy miast okrążyły pokój. Wayne poczuł, że Paco popycha go do przodu. U szczytu stołu, na miejscu zarezerwowanym dla prezydenta albo dla krupiera, tkwiła postać nagiego Mansona. Oświetlana kołem ruletki woskowa skóra błyszczała jak u malowanego trupa. Pochylał się nad konsolami sterowania śmigłowców, zerkając podejrzliwie na monitory ukazujące obraz Las Vegas z dachów Piasków i Paradise. Odbite od szklanej płyty mapy, nazwy miast pełzały mu po skórze; przypominał starzejącego się Arlekina w alfabetycznym dominie. Spojrzał na Wayne'a, nie rozpoznając go, po czym skierował wzrok na podwójny rząd monitorów umocowanych za stołem, poniżej mapy celów.

Wayne zrozumiał, co tak interesuje Mansona. Obserwowane przez pojedyncze kamery na leśnych polanach, sześć cruise'ów i titan spoczywały na wyrzutniach transporterów gąsienicowych. Uzbrojone stożki dziobowe mierzyły w górę na spokojnym de listowia i przelatujących komarów.

Manson kiwnął głową, wyraźnie uspokojony obecnością pocisków. Lewą dłonią odruchowo drapał jaskrawe nazwy przesuujące się po skórze. W prawej trzymał kulę z kości słoniowej. Podrzucał ją lekko, gotów cisnąć niczym raketę w wirujące koło ruletki.

– Wejdz, Wayne, i przyłącz się do nas. Ja i Paco czekamy na ciebie od tygodnia. Planujemy rozegrać Grę Wojenną...

Wayne zawahał się w progu. Słyszał za sobą ciężki oddech Paco. Młody Meksykanin mrużył oczy przed jasnym światłem; szczupła twarz подростка zapadła się pod osłoną hełmu. Sztywno ścisnął kolbę pistoletu, równie niepewny sobie co Wayne'a. Rzędy pustych foteli znikły w mroku. Tutaj, w końcowych latach dwudziestego stulecia, odbywały się turnieje tenisowe i bokserskie pojedynki. Ale teraz Manson zaplanował coś innego, ostateczną grę wideo rozgrywaną prawdziwymi pociskami.

– Obudź się, Wayne. Siadaj przy stole dowodzenia. – Manson skinął dłonią i uśmiechnął się niemal obscenicznie. Nazwy miast przesuwały mu się po wargach, jakby był cyklopem

pożerającym dzieci Ameryki. – Wiem, że lubisz hazard. Spodoba ci się to. Gramy o duże stawki, Wayne, największe z możliwych...

Wayne wytarł dłonie o koszulę i usiadł w fotelu przeznaczonym dla przewodniczącego szefów połączonych sztabów. Przed nim wirowało równomiernie oświetlone koło. Zamiast liczb wypisano na nim nazwy amerykańskich miast, trzydzieści sześć, od Atlanty, Buffalo i Charleston przez Salt Lake City i San Diego aż po Tampa, Tulsa i Wichita. Wayne zauważył, że te same trzydzieści sześć miast zaznaczono na elektronicznej mapie. Małe gwiazdki pulsowały nad Bostonem, Cleveland, Cincinnati i Des Moines.

Manson spojrzął na swoje ciało, jakby dopiero teraz uświadamiając sobie własną nagość. Sennie obserwował, jak miasta wędrują mu przez uda i brzuch, uśmiechał się, kiedy na krótko znikają w pępku. Wayne odgadł, że Manson rozebrał się, tak jak mogłoby uczynić dziecko, zanim przystąpi do niszczenia swojego pokoju... Ale też po to, by nazwy znieawidzonych miast omiały przyjemnie skórę.

– Cieszę się, Wayne, że jesteś z nami – wymruczał. – Wszyscy inni uciekli. Zostaliśmy tylko ty, ja i Paco, a on nie wygląda na zachwyconego.

Młody Meksykanin drgnął i z irytacją machnął ręką. Odsunął się od stołu i przycisnął pistolet do biodra, niby inteligentne dziecko, które za długo pozostało z dorosłymi.

Manson uśmiechnął się do niego pogodnie. Potrząsnął głową, spoglądając na monitory.

– To jest zaraza, Wayne. Próbowalem ją powstrzymać, ale dotarła już do bram miasta...

– Panie prezydencie... – Wayne otrząsnął się z hipnotycznego wpływu kuli podskakującej w dłoni Mansona. – Ekspedycja z Malibu... Czołowe oddziały będą tu za godzinę.

– Wielki Boże, mój chłopcze, wiem o tym. – Manson spojrzął gniewnie, jakby Wayne był zepsutym robotem. Pochylił się nad rzędem klawiszy wbudowanych w blat stołu; palce szukały znajomych kształtów jak palce ślepego, który pociesza się różańcem. – Spójrz tylko, a sam zobaczysz. Oto twój wirus!

Obraz na monitorach powiększył się nagle. Przekazywały go kamery ukryte wzdłuż Międzystanowej 15. Z mgiełki przedświtów wynurzały się pierwsze grupy rozpoznawcze brygady z Malibu. Pluton marines w płamistych hełmach sunął do przodu pod osłoną liści. Z karabinami u bioder, kierowali pracą buldożera usuwającego zwalone pnie palm. Anteny radiotelefonów wibrowały w powietrzu, było dziesięciu, dwudziestu, wreszcie ponad stu ludzi. Pojawiła się kolumna dżipów, miażdżących kołami martwe ptaki i nietoperze, średni czołg zgniół gąsienicami ściervo aligatora. Po czujnych, ale pewnych ruchach żołnierzy można było poznać, że stanowią część zdyscyplinowanego oddziału wojskowego. Ich pojazdy napędzała benzyna z niewielkich rezerw, jakie od dziesięcioleci przechowywano w Pearl Harbor na takie właśnie okazje.

– Wayne... – szepnął Manson, sięgając plamistą ręką ponad stołem. Przez chwilę stał się szukającym otuchy smutnym, starym człowiekiem.

Nie zważając na widok jego zwiotczalej skóry, Wayne starał się rozbudzić w sobie dawny entuzjazm, przypomnieć wspólne marzenie o Ameryce. Jak mógłby ocalić Mansona, zanim ten wyśle swoje śmigłowce przeciwko żołnierzom? Bez rzędów ekranów Manson stanie się ślepy jak król Lear i tak samo szalony.

– Panie prezydencie... – Wstał w nadziei, że zdoła go uspokoić i odprowadzić do jakiegoś cichego apartamentu w hotelu. – Zajmę się panem.

– Paco! – Manson cofnął się przed dotykem Wayne'a, przed jego mokrą od potu koszulą. Grymas niesmaku wykrzywił mu usta. Paco podszedł i pchnął Wayne'a na siedzenie. – Zaraza, Paco... Jest tylko jeden sposób, żeby ją zniszczyć. Trzeba ją wypalić odpryskami słońca...

Lekkim ruchem nadgarstka, jakby wyrzucał do zsypanego jakiś obrzydliwy przedmiot, cisnął kulę na koło ruletki. Potoczyła się, a jej cień jak pocisk przemknął po suficie Pokoju Wojennego. Po raz pierwszy Manson odwrócił się plecami do monitorów, pochylił nad

klawiszami sterowania, szukał palcami delikatnych wgłębień. Kula krążyła, podskakiwała, wreszcie zatrzymała się gwałtownie, przytulona do nazwy miasta.

Manson jak krótkowidz przyjrzał się jej z bliska, ze szczęśliwym uśmiechem na twarzy. Lewą ręką wcisnął klawisz alarmowy. Gdzieś daleko szumiały już serwomotory.

– Płaci Minneapolis...

Od niechcenia, niby pogardzany wynalazca, odwrócił się na fotelu. Jeden z sześciu cruise'ów ożył nagle na polanie w dżungli. Wysunęły się krótkie skrzydła i stateczniki na ogonie, transporter obrócił się i ustawił wyrzutnię pod ostrzejszym kątem, mierząc ku wschodowi. Wysięgniki zatrzasnęły się przy raketach startowych pocisku, przez moment zajaśniało białe światło i wśród ognia i dymu pocisk przyspieszył. Wzniósł się w niebo poranka, wlokąc za sobą długą strugę gazów wylotowych. Dopalacze wypaliły się i odpadły. Ze skrzydłami wysuniętymi na pełną długość, cruise wyrównał lot na sześciuset metrach. Radary skanujące grunt odczytywały kontury dolin wśród dżungli, unikały ostrych jak brzytwy skarp i wybierały srebrzystą autostradę leśnej rzeki.

Wayne przyglądał się pociskowi z podziwem, niemal ponaglał go do szybszego lotu. Cruise zmieniał kurs, mijając niepokonany mur Gór Skalistych. Ale odnajdzie swoją ścieżkę przez wąwozy i przełęcz, podąży nad suchym korytem Rio Grandę, polecą cierpliwie nad pustyniami Kansas i Nebraski, wypełniając instrukcje przekroczy granicę Iowy i pomknie do pustego miasta Minneapolis.

Kamera przy wyrzutni pokazała go po raz ostatni: złocisty punkt na tle nieba. Manson oparł się wygodnie, z zadowoleniem kiwając głową.

– No dalej, Paco, teraz twoja kolej!

Ale Meksykanin pokręcił głową, zmęczona twarz cofnęła się w głąb hełmu. Manson spojrzał zachęcająco na Wayne'a.

– A ty, drogi chłopcze? Weźmiesz w ręce losy Ameryki? Mogę ci zaproponować Duluth albo Seatle, ale spróbuj szczęścia z Memphis albo z Chattanooga, a dokonasz czegoś dobrego, pomożesz oczyścić świat z zarazy...

Ściskając kulę Wayne pochylił się nad kołem. Tak jak Paco, obserwował elektroniczną mapę Ameryki. Cruise był wytrzymały, lecz powolny. Lekki, wydajny silnik popychał stukilotonową głowicę z prędkością poniżej dziewięciuset kilometrów na godzinę. Pięć, może sześć godzin zajmie mu pokonanie Gór Skalistych i lot do Minneapolis. Może wystarczyłoby czasu, żeby nadać kody odwołujące albo skierować zmęczonego ptaka do Missisipi.

– Wayne! Nie trać teraz serca! Pamiętaj, że to w Hughes Aircraft Company zbudowali te pociski...

– Zagram, panie prezydencie. – Wayne unikał podnieconego spojrzenia Mansona. Kamery przy Międzystanowej 15 pokazywały kolumnę sześciu czołgów sunących między oddziałami piechoty. Ulice w centrum Las Vegas były puste. Szary świt odsłonił zasięki kolczastego drutu, porzucone schrony, wypalone wraki buicków. Ekspedycja dotrze tu wkrótce, ale zajmie im całą wieczność odszukanie Mansona w tym otoczonym dżunglą hotelu. Przez ten czas śmigłowce rozbiją ich, a nieliczni ocaleni uciekną w panice na brzeg Pacyfiku...

Górą przeleciał samolot rozpoznawczy; dach hali wibrował od warkotu silnika. Manson zdawał się tego nie dostrzegać. Myślał tylko o swojej ostatniej rozgrywce w tym filmowym Pokoju Wojennym. Paco stał nieruchomo w mroku, za plecami byłego opiekuna. Chwiała się jego lojalność wobec Mansona, lecz był jeszcze zbyt niezdecydowany, żeby ryzykować.

Wayne wyprostował się i uśmiechnął z wysiłkiem. Podrzucił kulę widząc, że Manson z wyraźnym zadowoleniem szeroko otwiera oczy. Włączy się do tej gry, pozbędzie się pozostałych pięciu cruise'ów, wyśle je do pustych miast, gdzie nie zaszkodzą nikomu. Zrobi to, zanim Manson zdąży ich użyć przeciw okrętom ekspedycji.

– Postawię na St Louis, panie prezydencie – oznajmił. – Przeszliśmy tam ciężkie chwile. St Louis na szlaku wielkiej zarazy...

Dwie minuty później, kiedy kula znalazła swoją niszę, a serwomotory przekazały sygnał spod radosnych palców Mansona na wyrzutnię w dżungli, drugi cruise wyruszył w długą podróż ku brzegom Missisipi.

## XXIX Odliczanie

Mobile... Pióropusz gazów wylotowych, gwałtowny skok po metalowej rampie i brzydka bomba przemienia się w elegancką łódź płynącą po niebie.

Fort Worth... Rozbłysk gniewnego ognia poprzez chmurę płatków jacarandy. A kiedy rozżarzone szczątki opadły na polanę, Wayne zobaczył kolejnego skrzydlatego postać niosącego swój skromny sen o słońcu.

Columbus... martwe kolorowe papugi potoczyły się po dymiącej wyrzutni, a wysoko w górze metalowy ptak uwolnił się z dopalaczy i wygłodniały ruszył do Gór Skalistych.

Tampa... szybki lot nad puszciami Arizony do Tucson i meksykańskiej granicy w El Paso, potem długi rejs nad wielką teksańską pustynią do Nowego Orleanu, i dalej prosto nad parującym morzem do dusznego miasta nad zatoką.

Odleciał ostatni cruise.

Wyczerpany Wayne oparł się o stół i obserwował wirujące powoli koło ruletki. Po dłoniach przesuwwały się plamy nazw celów, miast Ameryki, którą kiedyś zamierzał ożywić na nowo. Teraz poznał już przyczynę tych przypadkowych „trzęsień ziemi”, które przegnały Indian z ich terenów łowieckich. To Manson sprawdzał swój Pokój Wojenny. Wielka kryształowa tarcza mówiła raczej o śmierci i przeszłości niż przyszłości i nadziei. Cudem chyba zdołał za pierwszym rzutem trafić St Louis. Pocieszał się, że te sześć miast było przynajmniej pustych, stukilotonowe bomby wyrządzą niewielkie szkody, zburzą kilka dawno opuszczonych dzielnic. Kula z kości słoniowej przeskoczyła nad Waszyngtonem i Nowym Jorkiem – plemiona rdzennych Amerykanów przetrwają bezpiecznie na Mailu przed Białym Domem.

– Brawo, Wayne. Dobrze ci poszło. Bank wypłacił z przyjemnością. St Louis, Fort Worth, Tampa... są już w drodze.

Manson siedział rozparty w fotelu, z głową kołyszącą się nad ciałem arleкина. Patrzył w dół, na nazwy wciąż sunące elektrycznym haftem po jego piersi. Od godziny, gdy on i Wayne na zmianę rzucali kulę, ogarniała go coraz większa euforia. Z zachwytem wpatrywał się w pociski strzelające ze wzniesionych wyrzutni. Przy ostatnim starciu wydawał się ledwie przytomny: widz nasycony skalą telewizyjnej przemocy.

Wayne ustępował mu, bez przerwy zerkając na monitory. Kamera umieszczona na hotelu Mint jednostajnie omiatała obiektywem centrum Las Vegas. Przybyli już wszyscy. Dżipy i czołgi z Malibu parkowały przy Fremont Street. Załogi wyszły rozprostować nogi, żołnierze zdejmowali hełmy, odkładali radiotelefony, układali na maskach samochodów taśmy do karabinów maszynowych. Spacerowali po chodnikach, rozrzucając butami stopy rozbitego szkła, omijając gnijące, spuchnięte ciała żyraf i panter. W jasnym świetle poranka spoglądali na ciemne frontony kasyn i hoteli, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że to opustoszałe miasto jeszcze niedawno było zachodnią stolicą Stanów Zjednoczonych.

Ekspedycja z Phoenix przybyła wkrótce potem: mieszana grupa umundurowanych żołnierzy, indiańskich ochotników i meksykańskich rabusiów w kolorowych kostiumach ukradzionych z magazynów handlowych w kurortach nad jeziorem Mojave. Kolumna dżipów i półgąsienicówek, zakurzone pontiaki i chryslery, a także zdobyty gdzieś karawan wyładowany łupami, wjechały z Boulder Highway na Fremont Street i stanęły nos w nos z czołgami z Malibu. Czujni, brodaci mężczyźni w kaftanach i butach powyżej kolan, z

bandolierami pod skórzanymi kurtkami, witali się przyjaźnie z żołnierzami z Malibu. Najemniczki z plemienia Rozwódek w czerwonych chustach na głowach i białych kostiumach z Palm Beach, ze srebrnymi pistoletami przy wąskich taliach, wskakiwały do czołgów, obejmując zakłopotanych kierowców i radiotelegrafistów.

Kolby karabinów wybijały okna wystawowe, żołnierze niczym turyści tłoczyli się przy barach i kasynach. Pierwsi wystraszeni członkowie milicji Mansona wychodzili już z kryjówek pod stołami blackjacka, wciąż jeszcze nazbyt oszołomieni, żeby odpowiadać na przyjazne pytania zdziwionych oficerów. Zastaniając dłońmi usta, wskazywali na laserowy wizerunek pierwszego Charlesa Mansona, zawieszony ciągle nad miastem, i na dwa śmigłowce czekające nieruchomo na dachach dalekich hoteli Piaski i Paradise.

Któryś z najemników ze śmiechem wystrzelił serię w posępny obraz na niebie. Najwyraźniej wszyscy członkowie obu ekspedycji zakładali, że wódz czy herszt rządzący w Las Vegas uciekł w góry i teraz ukrywa się ze swoimi ludźmi w orchideowych ogrodach Doliny Śmierci.

Nikt z nich nie zdawał sobie sprawy, że Manson widzi wszystko ze swego Pokoju Wojennego w Pałacu Cezara, że śmieje się leniwie niby wampir głodny krwi, pocieszający się myślą o kolejnej ofierze. Ale przynajmniej wszystkie cruise'y odleciały.

– Panie prezydencie, proszę się obudzić! Oni nas zabijają!

Paco zbliżył się i wskazał na ekrany. Trząsał się ze złości, oszołomiony rozgrywającą się na nich sceną. Podniósł broń, jakby chciał strzelać do tych intruzów w elektronicznym królestwie jego dowódcy, niszczycieli marzeń o panmeksykańskim imperium.

– Chwileczkę, Paco... Wszystko w porządku, mój chłopcze – wymruczał uspokajająco Manson, obojętny na widok najeźdźców. Lekki samolot lądował na Las Vegas Boulevard – górnopłat z pasiastym kadłubem. Opuścił się z nieba pod wiatr i wyhamował na drodze trochę tylko przekraczającej jego własną długość. Potem podjechał do przodu, wymijając martwe zwierzęta i spalone samochody, wreszcie zatrzymał się przy stojących naprzeciw siebie kolumnach pojazdów na Fremont Street.

Pułkownik w polowym mundurze i kamizelce kuloodpornej, najwyraźniej dowódca ekspedycji z Phoenix, wyskoczył z kabiny i zaszalutował swojej pstrokatej armii. Natychmiast otoczyli go brodaci oficerowie i ubrane na biało Rozwódky. Zbadał wzrokiem rozbite okna holi Złotego Nuggetu i Podkowy. Jego chłodny wzrok ocenił laserowy obraz dawno zapomnianego psychopaty, potem przesunął się szybko ku dwóm śmigłowcom, stojącym jak na wystawie na dachach Piasków i Paradise. Nie odezwał się nawet do swoich najemników, ale Wayne od razu poznał tę zmęczoną, ogorzałą twarz i czapkę z daszkiem.

Steiner!

A więc kapitan „Apolla” pokonał pustynię pod Dodge City. Wayne pamiętał, jak odchodził spod Boot Hill, podążając za tajemniczymi, kilometrowymi bohaterami, którzy wabili go na zachód, ku śmierci na białym jak kość piasku. A kiedy Steiner uśmiechnął się na widok zniszczonego centrum Las Vegas, Wayne poczuł nagle falę wrogości, to samo wyzwanie, które kazało mu objąć dowództwo nad wyprawą „Apolla”. Gdyby tylko Steiner zdał sobie sprawę, co razem z Mansonem osiągnęli, co powołali do żyda w nieprzyjaznej dżungli Newady... I gdyby wiedział, że Wayne został wiceprezydentem... Być może, mógłby wykorzystać swoje stanowisko w rokowaniach ze Steinerem, ocalić to, co jeszcze pozostało, podpisać zawieszenie broni z obu ekspedycjami...

– Wayne, mój chłopcze... – Manson obserwował go chłodno. – Pora na ostatni rzut... Tak sądzę.

– Ależ panie prezydencie! – Wayne obejrzał się na sześć pustych wyrzutni w ramach telewizyjnych ekranów. – Rozegraliśmy już wszystkie cruise'y.

Uśmiechając się lekko, Manson wskazał za siebie. Jego bladą skórę znaczyła pajęczyna zadrapań w miejscach, gdzie palce usiłowały zeszkrobać nazwy miast. Przez moment przypominał kapłana Azteków, gotowego do wyprucia sobie wnętrza.

– Został jeszcze jeden, Wayne, największy ze wszystkich. Titan... i gra o wszystko.

Wayne pokręcił głową, wpatrując się w ekran za ramieniem Mansona. Titan leżał na pochylni transportera: potężny pocisk balistyczny z pięciusetkilotonową głowicą, bezskrzydły potwór, całkiem odmienny od oddychających powietrzem cruise'ów. Potrafił wspiąć się ponad stratosferę, po czym z rykiem pognać w dół po paraboli, aby całe miasto zmienić w ruinę niecałe trzy minuty od startu.

Wayne ścisnął kulę, świadomy, że Manson przygląda mu się dziwnie. Koło ruletki wirowało w śmiertelnej rundzie, rzutując sieć nazw na ściany Pokoju Wojennego. Jeśli będzie miał szczęście, trafi na San Francisco, dawno zrujnowane miasto, zapomniane jak Ur, niszczone raz za razem przez kolejne trzęsienia ziemi, kiedy Uskok San Andreas zrzucił do Pacyfiku irytujące brzemię.

Rzucił...

Zero.

Patrzył, jak kula biegnie po podświetlonej tarczy, bezpieczna i rozbrojona zmierza do pustego wgłębienia. Temu numerowi nie odpowiadało żadne miasto.

– Tam nic nie ma, panie prezydencie – wyrzucił z ulgą. – Żadnego miasta...

Manson zaśmiał się przyjaźnie, niczym iluzjonista, który właśnie oszukał dziecko.

– Zero należy do krupiera, Wayne. Do dyrekcji.

Gdzieś szczyknęły serwomotory, trzasnęły przekaźniki, zaszumiał przygotowany generator. Palce Mansona przesuwają się już nad klawiaturą. Wąska smużka gazu wystrzeliła z otworu paliwowego w połowie kadłuba titana. Transporter kołysał się i obracał na polanie, a potężna rakietą ustawiała się w pozycji pionowej, zupełnie jakby mierzyła w...

– Jakiej dyrekcji, sir? Biały Dom?

Manson zaśmiał się znowu.

– W pewnym sensie. Tej dyrekcji, Wayne. W Las Vegas. Dyrekcja kasyna zawsze w końcu wygrywa.

Manson odsunął się od stołu, jak gdyby gra dobiegła końca. Rozejrzał się jeszcze po Pokoju Wojennym, przyjrzał ekranom monitorów ukazujących centrum Las Vegas: żołnierzy pozujących do zdjęć przed Złotym Nuggetem, młodocianą milicję biegającą między czołgami i dziupami, Steiner otoczonego przez Rozwódki w białych kostiumach, ale bardziej zainteresowanego laserowym obrazem psychopaty na niebie. Jasnowłosa kobieta w laboratoryjnym fartuchu biegła ku niemu po śliskim dywanie martwych ptaków. Rozparty na fotelu Manson wydawał się po raz pierwszy absolutnie spokojny; napięcie spłynęło z jego obrzękłej twarzy. Wyglądał jak magnat w kurorcie, zadowolony, że jego goście dobrze się bawią.

Ale Wayne słyszał tylko serwomotory wykonujące kolejne operacje sekwencji startowej. Strumienie pary tryskały z titana na wyrzutni. Zbiorniki paliwa zostały przedmuchane parą i przewentylowane. Węża paliwowe czekały w gotowości, żeby do głodnego brzucha bestii pompować ciekły tlen i naftę. Wysięgniki instrumentów wysunęły się z rampy wyrzutni i objęły stożek dziobu, delikatne palce wsuwały sworznie w bezpieczniki systemu sterowania poniżej głowicy, strumień kodowanych napięć uruchamiał obwody zbrojące bombę atomową, wybierając – jak zgadywał Wayne – wybuch w powietrzu trzysta metrów nad centrum Las Vegas, nad punktem zero, w którym Steiner i Anna Summers obejmowali się właśnie pod skrzydłem nieruchomego samolotu.

Dotknięty taką demonstracją uczuć, Wayne porwał z tarczy ruletki kulę, zarozumiiałego pasażera podróżującego na swoim zerze.

– Panie Manson! To koło jest sfalszowane! St Louis...



– Wayne, byłem przekonany, że wiesz. Jesteśmy ludźmi światowymi... tak się składa, że z tamtego świata.

Manson uśmiechnął się pogodnie, zachęcając Paco, by docenił jego żarcik. Paco stał sztywno tuż za nim z pistoletem przyciśniętym do piersi; odwracał wzrok od ekranów. Twarz miał pozbawioną wyrazu i dziwnie postarzałą, jakby samą siłą woli dodał sobie lat. Wayne odgadł, że młody Meksykanin postanowił do końca zostać z Mansonem, że wolał zobaczyć zniszczenie Las Vegas i ruinę swych marzeń o pan amerykańskim królestwie, niż widzieć je okupowane przez barbarzyńców ze wschodu.

– Panie prezydencie, nie wolno panu rezygnować. – Wayne dotknął elektronicznej mapy Stanów Zjednoczonych. Nowe słońce zajaśniało nad Newadą, nova pulsowała na południowej granicy stanu. – Pracował pan tak ciężko... Nie może pan teraz wszystkiego zniszczyć. Panie Manson, potrzebuję kodów przerwania i kasacji funkcji.

Manson wyciągnął przed siebie otwarte dłonie, bawiąc się grą światła na nagim ciele.

– One nie istnieją, Wayne. Systemy startowe titana są całkowicie odcięte. Nie martw się, odliczane zajmie trzy godziny, mamy mnóstwo czasu na odpoczynek. Możemy porozmawiać o naszej wspólnej przygodzie, o wielkich dziełach, których chcieliśmy dokonać...

– Panie Manson! – Wayne spróbował precyzyjnie się obok Paco, ale Meksykanin odepchnął go; pod lotniczym hełmem biała twarz zbuntowanego robota. Wayne wskazał radosne sceny w mieście, gdzie Steiner i Anna Summers szli ramię w ramię wśród tłumy żołnierzy, najemniczki w białych sukniach gwizdały prowokująco na McNaira kuśtykającego na obandażowanej nodze, opartego na ramieniu Pepsodenta. Heinz, Xerox i GM też tam byli, każde z nich okryte wielkim futrzanym płaszczem, jak rodzina niedźwiedzi na spacerze z małym niedźwiadkiem. – Panie prezydencie, musimy się stąd wydostać, musimy ostrzec wszystkich, żeby uciekali. Czasu jeszcze wystarczy.

– Uspokój się, mój chłopcze. – Manson złożył ręce na brzuchu i przybrał minę Buddy. – Nie chcę patrzeć na twoją panikę. Nie zapominaj, gdzie się znajdujemy. Należy kultywować dawne rzymskie cnoty: godność, dumę, stoicyzm w obliczu niebezpieczeństwa. Wiedzieliśmy, że pewnego dnia zaraza dotrze aż tutaj i odegramy swoje role w skromnej operacji oczyszczającej. Możesz być dumny, Wayne, jesteś prawdziwym Amerykaninem...

– Nie jestem! – Wayne zacisnął palce na metalowym oparciu swojego krzesła. – Nie jestem Amerykaninem! A w każdym razie nie prawdziwym. I nigdy nie byłem!

– Wayne...? – Manson był szczerze zaskoczony. – Chłopcze, pomyśl tylko, co tu osiągnęliśmy...

– Panie Manson, to była tylko fantazja! Te marzenia umarły sto lat temu! Dokonaliśmy tyle, że zbudowaliśmy największy na świecie zegarek z Myszka Mickey. Nie jestem prawdziwym Amerykaninem, nie takim jak GM, jak Heinz i Pepsodent... – Wayne zadrżał, kręcąc głową na myśl o straconych latach. – Szczerze mówiąc, gdybym miał powiedzieć, kim jestem, powiedziałbym: *Ich bin ein Berliner*.

Uśmiech Mansona zmartwiał, para przenikliwych oczu zdominowała twarz, rysy wyostrzyły się.

– Berlińczyldem, Wayne? Myślałem, że mieszkałeś w Dublinie.

– Honorowym Berlińczykiem. – Wayne stanowczo kiwnął głową, zgadzając się z własną opinią o sobie. Pochylił się i zatrzymał wirujące koło ruletki. – Tak, jestem Berlińczykiem, szczególnego rodzaju. Powinni mnie zamknąć w Spandau razem z panem...

Manson wyprostował się, obejrzał na Paco. Wskazał martwe koło i zaczął badać swoją pierś. Skóra drgała nerwowo pod nieruchomym łańcuchem miast. Drapał irytujące światła, atlas tików doprowadzał go do szaleństwa. Blade ciało poznały kropelki krwi. Milwaukee krwawiło na prawym ramieniu, Chattanooga rozkwitła czerwoną plamą na szyi, Kalamazoo i South Bend trysnęły pod pachami, Buffalo podrygiwało w skrwawionym pępku.

– Paco! Zakręć kołem!

Wayne chwycił metalowe krzesło. Manson do pasa leżał na stole, próbując poruszyć ciężkie koło. Meksykanin stał nad nim, niepewny, jak pomóc swemu panu. Wayne podniósł krzesło i nogami uderzył Paco w głowę. Pistolet upadł na podłogę w plątaninę telewizyjnych kabli. Wayne odrzucił krzesło i pognał do drzwi. Siłował się z ozdobnymi zamkami, kiedy usłyszał krótką serię wystrzałów i pociski trafiające w ścianę. Odpryski plastyku ukłuły go w twarz. Odwrócił się i zwał z Paco – Meksykanin wyrósł nagle za jego plecami. Na policzku miał ślad po uderzeniu nogą krzesła. Wayne poczuł, że kolba pistoletu trafia go w szyję... Upadł na podłogę wśród migotania świetlików i arlekinowego tańca oszalałej Ameryki.

## Pluton egzekucyjny

Kłęczał przy zamkniętych drzwiach Pokoju Wojennego z lewą ręką przykutą kajdankami do nóg tenisisty z brązu, służących za klamki. Tarcza koła ruletki była ciemna, jedyne światło padało z ekranów monitorów i mapy celów. Paco z pistoletem w dłoni trzymał straż przy Mansonie, który pochylał się nad konsolami sterowniczymi bezpilotowych śmigłowców. Na ramiona narzucił panterkę Paco.

Ponad nimi ekran ukazywał titana na wyrzutni na leśnej polanie. Pocisk otaczała skraplająca się para, dziób spowijała pajęczyna kabli zasilania i sterujących. Wayne poszukał w ciemnościach zegara. Za niecałe dwie godziny titan wyruszy w swoją krótką podróż do stratosfery, potem skręci o sto osiemdziesiąt stopni i rozświetli stolicę hazardu tak, jak nie wyobrażali sobie nawet jej założyciele gangsterzy.

Palce Mansona poruszały się płynnie po klawiszach i dźwigniach, niczym palce chirurga regulującego zestaw intensywnej opieki medycznej. Był już spokojny; chwila paniki minęła. Obserwował wrogich żołnierzy czujnie i ostrożnie, zadowolony, że są weseli, zajęci rabowaniem barów i kasyn.

Ale łopaty wirników śmigłowców obracały się na tle nieba jak młynki modlitewne złowieszczej maszynowej religii. Gdy pierwsi zaskoczeni żołnierze podnieśli głowy w drzwiach okradanych sklepów, Manson przemówił do mikrofonu. Jego głos nie był słyszalny w Pokoju Wojennym, ale wzmocnione strzępy słów grzmiały nad miastem i dudniły o dach hali sportowej. Żołnierze i najemnicy znieruchomieli wpatrzeni w niebo, zaskoczeni groźnymi słowami, które zdawały się dobiegać z ust laserowego wizerunku Charlesa Mansona.

– ...Vegas... strefą epidemii... surowe środki zapobiegawcze... operacja oczyszczająca... nie opuszczać... kordon sanitarny... dwie godziny...

Radiowy komentarz, to bełkotliwe ultimatum, trwało długo. W całym mieście setki żołnierzy patrzyły na swoje kradzione zegarki, niczym turyści nabrani na jakieś dokładnie zaplanowane w czasie oszustwo. Grupa oficerów wyszła ze Złotego Nuggetu. Podrzucali w dłoniach srebrne dolarówki, potem pozwolili monetom opaść na ziemię. Z otwartymi ustami spojrzeli w niebo. Steiner przebiegł wzdłuż Fremont Street, zaganiając ich z powrotem do pojazdów. Annę Summers i kulejącego McNaira wepchnął pod osłonę holu w Mincie.

Głos Mansona zagłuszyły silniki dwóch śmigłowców startujących z dachów Piasków i Paradise. Manson odłożył mikrofon, a Wayne szarpnął za spiżowe kostki tenisisty. Ponad głową szaleńca spoglądając na monitory, widział atakujące śmigłowce. Z rykiem przeleciały nisko nad Stripem, niemal muskając płozami dachy kasyn. Nacierają w ścisłym szyku, mieląc łopatami powietrze, odpalając rakiety i strzelając z działek w opuszczone pojazdy. Dżipy i półgąsienicówki opadły na podziurawionych oponach, para buchnęła z chłodnic, szyby rozpryskiwały się niczym szklane tarcze. Zbiorniki paliwa błyskały gwałtownie, wylewając na drogę strumienie płonącej benzyny. Załogi rozbiegły się i z drzwi wejściowych hoteli ostrzeliwały z karabinów i pistoletów.

Śmigłowce przemknęły nad środkiem Fremont Street, z płozami o metry nad wieżyczkami czołgów, z celownikami przyklejonymi do samolotu. Działka szybko się rozprawiły z lekką maszyną: serie pocisków zmieniły skrzydła i kadłub w dymiący stos drewna. Usatysfakcjonowane wynikiem pierwszego ataku śmigłowce wspięły się wyżej i zatoczyły szeroki krąg, gotowe do kolejnego przelotu nad płonącymi pojazdami.

Przez piętnaście minut trwała bezładna strzelanina. Dwa śmigłowce okrążyły centrum Las Vegas, wyszukując jakiegoś samotnego dżipa czy odpalając rakiety w czołg sunący na ślepo po ulicy. Manson siedział przy konsolach sterowania i z kamer zamontowanych w kabinach obserwował zniszczenie obu ekspedycji. Odwracał się czasem, by sprawdzić, że titan na wyrzutni w dżungli kontynuuje swoje długie przygotowania do startu. Przysiadł na brzegu krzesła i wciskał klawisze, jakby bawił się flipperem w salonie gier automatycznych. Zdawało się, że zapomniał o Paco, o Wayne, nawet o samym Pokoju Wojennym. Obserwując go Wayne pomyślał, że po długiej podróży Manson powrócił do wieku młodości. Nie znajdował się już w Las Vegas – był w Spandau. Stał się roztargnionym nastolatkiem w grupie terapii zajęciowej, grającym swymi śmigłowcami w skomplikowaną grę wideo, zdecydowanym wykorzystać wszystkie premiowe rundy, zanim ICBM zasygnalizuje końcowy tilt.

Kiedy chwilowo skończyły się cele, Manson zawrócił śmigłowce do stanowisk amunicyjnych na dachach. Chwycił mikrofon i podjął swój komentarz – przewodnik wycieczki, zadowolony z przyjęcia, jakiego doznała jego grupa w największym z wesołych miasteczek. Wayne słyszał jego spokojny głos odbijający się od ścian hoteli przy Stripie; na ekranach widział zdumionych żołnierzy i najemników, nasłuchujących z bronią gotową do strzału w wejściach do barów i restauracji.

– ...Najnowsze dane o titanie... ucieszy was wiadomość, że pozostała jeszcze godzina i siedemnaście minut... piękny pokaz, moi drodzy, wspaniały finał transmitowany do was bezpośrednio z Pokoju Wojennego... ta gra jest obowiązkowa dla wszystkich, więc nie próbujcie opuszczać miasta...

Opierając się wygodnie, Manson śmiał się z własnego ironicznego naśladownictwa telewizyjnego spikera. Poklepał Paco po rękę, próbując dodać otuchy młodemu Meksykaninowi, który stał nieruchomo jak manekin. Wayne wyprostował się i wykręcając sobie nadgarstek spojrzął na ekrany za ramieniem Mansona. Zegar odmierzał sekundy do startu titana, ale poza tym nic się nie działo. Nikt nie próbował wysłać Stripem grupy rozpoznawczej. Najwyraźniej Steiner i dowódca ekspedycji z Malibu zrozumieli, że są uwięzieni w Las Vegas, że zdalnie sterowane śmigłowce zniszczą wolno jadące dżipy i półgąsienicówki. A ludzie uciekający pieszo nie zdołają na czas uciec poza zasięg śmiertelnego promieniowania. Wybuch neutronów przebija się przez dżunglę na dziesięć kilometrów. Wpadli w pułapkę pod laserowym wizerunkiem psychopaty na niebie, nauczyciela i bożka Mansona. Nie mieli pojęcia, gdzie się znajduje stanowisko dowodzenia obłąkanego wodza.

– Paco! – Manson wyprostował się, niewiarygodnie czujny. Zerknął podejrzliwie na ekrany, wzywając Meksykanina do siebie. – Co oni robią, Paco? Szykują jakąś własną rozgrywkę...

Dłonie zawisły nad klawiszami konsoli. Gardłowo warknęły silniki, zawirowały łopaty i dwa śmigłowce uniosły się w powietrze.

Stripem szła niezwykła procesja ponad czterdziestu pielgrzymów ustawionych trójkami. Wprawdzie nieśli na ramionach strzelby i postawą przypominali nieco wojsko, ale na pierwszy rzut oka sprawiali wrażenie oddziału kalek, starców o skrzypiących stawach i powłóczących nogami, powołanych do ostatniej rezerwy wprost z foteli na biegunach ustawionych na gankach i werandach. Kołysali się idąc. Prowadził ich mężczyzna w upudrowanej peruce i osiemnastowiecznym surducie. Za nim w szeregach widać było kostiumy bliższe współczesności, sztywne kołnierzyki i fraki, a tylko ci na końcu mieli dwudziestowieczne garnitury, ciemne prążki i jodełki. Maszerowali sztywno przez ekrany Mansona – członkowie sklerotycznej milicji, którzy przybyli, by stoczyć nieprawdopodobną bitwę z czekającymi śmigłowcami.

Wayne rozpoznał ich od razu: to byli prezydenci, roboty doktora Fleminga. Stary uczony nakazał im opuścić Las Vegas przed wybuchem titana, więc teraz podążali posłusznie drogą

prowadzącą za miasto. Fala promieniowania neutronowego wypali antyczne kostiumy i plastikową skórę z ich metalowych szkieletów, ale prawdopodobnie uda im się dotrzeć do Międzystanowej 15 i dalej do wzgórz Hollywood.

Śmigłowce zatrzymały się za nimi. Dłonie Mansona znieruchomiały nad konsolami. Zegar nad monitorem titana pokazał 59 minut i 59 sekund; niepowstrzymanie upływał czas ostatniego odliczania ICBM. Z nagłą czułością Manson chwycił Paco za rękę; Waszyngton przeprowadził już swoich kolegów obok Holiday Inn. Manson uśmiechnął się ciepło, niemal po dziecinnemu, jakby był świadom, że te lalki to wszystko, co przetrwa jego prezydenckie marzenia.

Ale prezydenci zatrzymali się przed Pałacem Cezara. Wzniesli obłok kurzu, Ford nadepnął na pięty Carterowi, potem zrobili w prawo zwrot i stanęli w szeregu. Waszyngton odwrócił się przodem do hotelu, plecami do oddziału, ignorując śmigłowce krążące podejrzliwie nad jego głową. Razem prezydenci sprezentowali broń i stanęli na baczność.

– Paco... – Manson skromnie pochylił głowę, zawstydzony tymi honorami. – To ostatni salut. Jestem wzruszony, Paco, naprawdę wzruszony. Doktor Fleming o mnie nie zapomniał. Powinniśmy ich wpuścić...

Wstał i gestem wskazał Paco drzwi. Ale prezydenci ożyli na nowo. Z bronią gotową do strzału ruszyli biegiem za Waszyngtonem wąskim podjazdem przez dżunglę do wejścia hotelu. Peruki i krawaty powiewały za nimi, biegli coraz dalej, ciężkimi stopami deptając grunt. Za nimi, na skrzyżowaniu Stripu i Flamingo Road, pojawił się czołg. Żołnierze z siatkami na hełmach przebiegali ze wszystkich stron. Kiedy Manson wrzasnął ze złości i skoczył do konsoli śmigłowców, pierwszy karabin maszynowy otworzył ogień z hotelu Rozbitków.

Po krótkim biegu szpica prezydentów dotarła do wejścia Pałacu Cezara. Z szorstkim warkotem wleciały za nimi śmigłowce. Huknęły działa, wycinając łan pośród szeregów we frakach. Madison, Taft i Buchanan padli na stopniach, wierzgając nogami. Raniony Geny Ford kuśtykał w kółko z zablokowanym żyroskopem, przewracając Jacksona i van Burena. Carter uderzył głową o szybę. Uchwycona przez kamerę w holu jego twarz zastygła na zawsze w szerokim, promiennym uśmiechu. Nim jednak drugi śmigłowiec ryknął nad koronami drzew, zaatakował drzwi wejściowe i zmienił je w szklaną piłę, dwudziestka prezydentów przedarła się do wnętrza. Nieświadomi wrogiego powitania, przeciskali się jeden przez drugiego jak rozbawieni uczestnicy konferencji. Przed halą rozbiegli się w tyralierę między stołami do blackjacksa i kości. Waszyngton nadal ich prowadził z antycznym pojedynkowym pistoletem w ręku. Za nim biegli Truman i Eisenhower, Hoover, Wilson i trzech Kennedych.

– Paco! Zatrzymaj ich! Wyłącz!

Jak dziecko rozszoszczone na odporne zabawki, Manson wciskał klawisze na konsolach. Ale Meksykanin patrzył tępo na rzędy monitorów. Śmigłowce zawarczały wściekle w ostrym skręcie, kiedy autopiloty nie dopuściły ich do zderzenia z drzewami. Manson wyrwał Paco pistolet, odwrócił się i wystrzelił w drzwi, w dudniące stopy prezydentów.

Wayne rozpląszczył się na schodach, z lewą ręką przykutą do kostek spiżowego tenisisty. Ze wszystkich stron rozlegały się strzały; pociski dziurawiły elektroniczną mapę Ameryki nad głową Mansona. Oddział robotów wpadł do hali: pandemonium prezydentów z karabinami. Zatrzymali się równocześnie, jak podstarzała drużyna futbolowa, która straciła orientację; żyroskopy stabilizowały ich, oczy porównywały obraz celu w blokach pamięci z tym oszołomionym nagim mężczyzną skulonym przed nimi.

Manson przyklepnął obok fotela i z niekłamaną grozą wpatrywał się w półokrąg prezydentów, którzy powłócząc nogami rozstawiali się wokół niego jak gniewna rada starszych. Był tu chłodny Jefferson, uśmiechnięty, ale posępny Dwight Eisenhower, rzeczowy

Truman, który chciałby, żeby już wszystko się skończyło, sztywny Wilson i nawet spocony Nixon, zakłopotany fizycznym podobieństwem do Mansona.

Wznosząc pistolet, Manson wycofał się między ekrany, próbując ściągnąć na siebie ich blask. Spojrzał na swoje blade, pokryte plamkami krwi ciało – podrostek uwięziony nagle w ciele starca, po długich godzinach terapii przyłapany w swoim pokoju wśród połamanych zabawek, a jednak wciąż dostatecznie sprytny, żeby uśmiechać się niewinnie. Machnął na Paco, który odstepił od niego i teraz stał za linią prezydentów, spoglądając chłodnym obojętnym wzrokiem.

– Paco, wciąż jeszcze możemy...

Manson wstał i wsunął się na konsole. Obrazy z kabin zawirowały gwałtownie, przemknęły dachy, rozkołysana panorama czołgów i ludzi biegnących do obłożonego hotelu. Manson objął wzrokiem rzędy ekranów, poorany kulami filmowy Pokój Wojenny; w oczach miał smutek dziecka przed końcem zabawy. Z nadzieją odwrócił się do prezydentów, ale nagle zakrzyknął gniewnie i wystrzelił w poważną postać Waszyngtona.

Dwie pierwsze kule wyrwały mu połowę twarzy; Waszyngton zachwiał się i cofnął o krok. Trzecia trafiła go w pierś, ale otrząsnął się z godnością i uniósł swój zabytkowy pistolet. Spokojnie skinął na prezydentów. Równocześnie wymierzili karabiny.

Posiniaczony i podrapany ich metalowymi stopami Wayne ledwie usłyszał salwę wystrzałów. Lewy nadgarstek wciąż miał przykuty do resztek figury tenisisty, ale klamka odpadła teraz od drzwi. Odsunął się z drogi ostatniemu z prezydentów – to Carter wkroczył z uśmiechem do Pokoju Wojennego. Na podłodze w kącie Manson rzucał się jak ryba uwięziona w krwawej kałuży. Wayne podniósł się. Kiedy prezydenci, pod okiem obojętnego Paco, znowu wycelowali strzelby, Wayne wspiął się niepewnie po schodach i wyszedł z hali sportowej do kasyna.

Żołnierze w pełnym ekwipunku bojowym biegli między stołami blackjacka, mierząc mu w głowę. Wayne potykał się. Miał zbyt suche gardło, by im powiedzieć, że mają nie strzelać.

I wtedy naprzeciw wyszedł mężczyzna w marynarskiej czapce z daszkiem i mocnymi dłońmi chwycił go za ramiona.

– Wayne? Doktor Fleming mówił, że cię tu znajdziemy. – Steiner przerwał na moment, gdy z Pokoju Wojennego huknęła ostatnia salwa. Spojrzał Wayne'owi w twarz z całkiem przyjaznym uśmiechem. – Uspokój się, nic ci nie jest. Właściwie to zostałeś teraz prezydentem Stanów Zjednoczonych. Możesz chodzić? Musimy się jakoś wydostać z Las Vegas. Została nam niecała godzina.

## XXXI

# Ucieczka

Stali pod zniszczonym frontonem Złotego Nuggetu. Na cichych teraz ulicach płomyki pełgały pośród wypalonych dżipów i półgąsienicówek. Las Vegas było puste – pozostali tylko oni i pocisk Mansona. Żołnierze i najemnicy odjechali sprawnymi jeszcze pojazdami, zabierając ze sobą rannych.

GM obserwował niebo, mierząc z karabinu w dachy hoteli. Anna Summers i Pepsodent wyprowadzili z holu Min tu kulejącego McNaira. Steiner pokierował ich do swojego czołgu dowodzenia, który gotów do odjazdu czekał na środku Fremont Street. Heinz siedział na miejscu kierowcy, ciężki silnik dudnił jednostajnie. Xerox przysiadła na wieży w swoim wspaniałym futrze, a owinięte w nutrie dziecko posadziła przy otwartej klapie wjazdu.

Steiner stanął w rozkroku na pustej ulicy, ze smutkiem badając zwęglone resztki swojego samolotu. Mimo kuloodpornej kamizelki i kurtki w panterkę, znowu wyglądał na morskiego wilka, czekającego na pierwsze uderzenie sztormu. Pod daszkiem czapki twarz utraciła ciemną opaleniznę, wydawała się młodsza i świeższa. Niedawne miesiące spędził w puszczech Arizony, dochodząc do zdrowia po ocaleniu przez meksykańskich włóczęgów zza Rio Grandę. Godził się z faktem, że nie potrafił pokierować wyprawą „Apolla” i że jej los właściwie go nie obchodził. Widział laserowe obrazy na niebie nad Dodge City i słusznie odgadł, że zmęczeni członkowie ekspedycji są przemyślnie wabieni w elektroniczną sieć dżunglowego imperium Mansona. Wołał nie podejmować ryzyka udzielania pomocy Annie i Wayne’owi. Był świadkiem przybycia McNaira w parowych samochodach, po czym samotnie wyruszył do Amarillo. Podróżował nocą, by uniknąć automatycznych kamer. Gdzieś w nieskończonej białej pustyni Teksasu w końcu opuściło go szczęście, ale uratowała go banda Meksykanów, zwabionych na północ pogłoskami o El Dorado Mansona.

Kiedy wracał do zdrowia w Phoenix, skontaktowali się z nim wysłannicy floty z Miami. Zaproponowali broń, pojazdy i samolot rozpoznawczy, jeśli zgodzi się poprowadzić drugi korpus ekspedycyjny przez rzekę Kolorado. Przyjął dowództwo. Zrozumiał, że to jego samotnicza natura była w pewnym stopniu przyczyną śmierci Ricciego i Orłowskiego, że marzenia o pustym kontynencie były iluzją, tak samo jak obłąkane sny Mansona. Ale teraz, po długiej drodze przez tropikalną puszcze, dał się schwytać w fantazję o wiele bardziej szalonej niż jego własne.

Uspokajająco objął ramieniem Annę Summers, czekającą nerwowo obok czołgu.

– Zostało nam trzydzieści minut. Pora ruszać. Wszyscy już odjechali. Powinni być już o dwadzieścia pięć kilometrów stąd. Jeśli będziemy mieli szczęście, znajdziemy jakąś głęboką kryjówkę...

Anna z ulgą chwyciła Wayne’a za rękę, urażając obolały nadgarstek.

– Myśleliśmy, że przyłączyłeś się do Mansona! Gdzie jest doktor Fleming? Miał zebrać wszystkie te biedne dzieciaki. Nie wiesz przypadkiem, gdzie się znajduje wyrzutnia titana?

Wayne pokręcił głową, wciąż zbyt wyczerpany, żeby mówić. Anna trzymała go za rękę, a on rozglądał się po ulicach, którymi kiedyś z Mansonem rządzą. Uświadomił sobie, że czas zaczął wyciekać z Las Vegas, niby ostatnie nuty melodii z antycznego gramofonu. Po marzeniach i fantazjach, które doprowadziły go do wielkiej przygody marszu przez Amerykę, znowu stał się młodym pasażerem na gapę pod opieką tej sprawnej uczoney, którą kiedyś chciał uczynić Pierwszą Damą Ameryki. Ale cieszył się, że znowu widzi Steinera, że może oddać dowództwo w ręce doświadczonego nawigatora. Wiedział jednak, że kapitan

niewielkie ma nadzieje doprowadzenia ich do bezpiecznej kryjówki. A równocześnie nadal odczuwał dziwną lojalność wobec Mansona – mimo titana, gdzieś w dżungli odliczającego czas do startu.

Z daleka huknęły serie strażów. Półtora kilometra od nich, nad północnymi przedmieściami Las Vegas, „Miłość” i „Nienawiść” latały bez celu ponad opustoszałymi bulwarami. Oba śmigłowce krążyły i nurkowały jak neurotyczne zabawki, od czasu do czasu wykonując zwrot, by wystrzelić jeden do drugiego. Twarz od dawna martwego psychopaty, Charlesa Mansona, wciąż przyglądała im się posepnie z jasnego nieba. Ale projekcja zaczynała się już rozmywać, linie obrazu migotały pod brodą jak zaciskana na szyi pęda. Wąskie pasmo zakłóceń przesunęło się przez oczy i groźny wzrok zastąpiła seria panicznych spojrzeń w lewo i w prawo, jakby odcięta głowa uświadomiła sobie nagle, że zostanie porzucona na niebie ponad skazanym na zagładę miastem.

Wayne po raz ostatni obejrzał się na Desert Inn, na pusty teraz apartament Hughesa najeżony antenami radiowymi i telewizyjnymi. Dwa śmigłowce także wykryły samotny hotel i zaatakowały wściekle, gdy radarami zobaczyły same siebie w talerzu anteny. Szybkoprzelne działka rozbiły okna i wycięły szeroki pokos wśród anten. Nie zaspokojone śmigłowce zawróciły i unosząc się nad dżunglą strzelały do siebie i oddalały coraz bardziej, niby kłótniwi bliźniaki. Wreszcie zniknęły za zielonym południowym horyzontem.

– Wayne, mamy jeszcze dwadzieścia pięć minut... – Steiner stanął na przy wieżycze czołgu i pomógł Annie precyzyjnie się przez właz.

Heinz z goglami na oczach czekał przy drążkach kierowania. Na przemian otwierał przepustnice. Czarny dym buchał z rur wydechowych.

Steiner zeskoczył na ulicę i objął Wayne’a ramieniem.

– Chodź już... Znajdziesz inne marzenia, na których możesz budować przyszłość...

Ale Wayne wskazywał Centrum Kongresowe. Przez powietrze płynęła ogromna chmura jasnoskrzydłych ważek. Delikatne membrany drżały i migotały, jakby po raz pierwszy badały dotykiem jasne światło. Cały konwój żeglował nad Stripem, coraz bliżej: flotylla szklanych samolotów, unoszonych najlżejszą piśczęcią słońca. Były ich dziesiątki – dziesiątki Słonecznych Ptaków wypuszczonych na spokojne powietrze z wrót Centrum. Podpłynęły jeszcze bliżej, ogromny kandelabr brzęczących kryształów, pałac z samych okien niesiony dłonią słońca. Przy delikatnych przyrządach pierwszego Ptaka rozradowany staruszek siedział w niepewnym siodełku zawieszonym w dziwacznej pajęczynie srebrzystych linek. Nogi zwisały mu swobodnie, od czasu do czasu gwałtownie naśladowując ruch pedałowania. Na widok Wayne’a krzyknął coś wesoło, lecz słowa zginęły z dźwięcznym szepcie miliona kryształowych skrzydeł.

Wayne rozpoznał doktora Fleminga, starego uczonego płynącego na fali słonecznych promieni. Za nim leciało pięćdziesiąt innych Słonecznych Ptaków, zbudowanych według najróżniejszych schematów, dwu-, trzy i sześciomiejscowych. Pilotowały je dzieci o twarzach rozświetlonych porankiem, kiedyś członkowie milicji Mansona. Był tam Enrico za sterami wielkiego, błyszczącego dwupłatowca; Chavez i Teresa wspólnie pilotujący sześciomiejscowy trójpłatowiec wielki jak przezroczysty autobus; dwunasto i trzynastolatki pewnie prowadziły szklane ścigacze i już zaczynały się gonić w ogonie konwoju.

Minęli Pałac Cezara i Enrico oddzielił swojego Ptaka od grupy, by spłynąć w dół do wejścia. Kiedy zawisł w powietrzu, z hotelu wybiegł Paco. Ustawił prezydentów trójkami, z Eisenhowerem na czele. Na rozkaz chłopca ruszyli sztywno podjazdem do ulicy. Niektórzy potykali się i kuleli, a żyroskopy Forda wciąż nie działały jak należy. Cała grupa ruszyła ulicą w stronę międzystanowej autostrady. Paco zasalutował im, odrzucił swój złoty hełm i podbiegł do czekającego Ptaka. Wspiął się po siatce linek, usiadł na miejscu pasażera za Enrikiem i wielka ważka stromo wzleciała w powietrze.



– Lecą po nas! Anno, Wayne... wysiadajcie z czołgu! – Steiner krzyknął do Heinza, żeby wyłączył silnik. – Wszyscy wysiadać! Pepsodent, pomóż McNairowi! Xerox, zostaw to futro... Lecimy połączyć się ze słońcem!

Konwój był coraz bliżej, kryształowy obłok opadający na Złoty Nugget. Pomogli McNairowi zejść z wieżyczki i stanęli obok czołgu, krzyżąc głośno, kiedy zawisło nad nimi dziesięć Słonecznych Ptaków. Błyski skrzydeł zalały ulicę światłem, odbijały się od martwych frontonów starych kasyn. Migotliwy diabelski młyn zsunął się z nieba, z gondolami z ciętego szkła wirującymi w fontannie słonecznych promieni. Opadając, młodzi piloci manewrowali swoimi delikatnymi statkami między wypalonymi dżipami i półgąsienicówkami, ostrożnie, żeby nie rozbić szklanych samolotów, nie rzucić ich odłamków pomiędzy srebrne dolarówki i łuski po nabojach. Doktor Fleming leciał na czele tego radosnego cyrku, a poły fartucha powiewały za nim niczym podekscytowane semafony. Wydawał się młodszy nawet od tych dzieci: pomarszczony kos wypuszczony nagle z klatki.

Anna wspięła się na fotel za Flemingiem, obejmując uczonego w pasie. Krzyknęła wystraszona, kiedy z fantazją wznosił swojego Ptaka pionowo w górę, jak windę. Pozostali także zajmowali miejsca; na rękach wciągali się po linkach. Pepsodent podniósł McNaira i usadowił go na miejscu pasażera. Mechanik zawisł w srebrnej pajęczynie, zwieszając nogę w gipsie. Pomachał wesoło, zanim ruszył ku niebu. GM, Xerox i dziecko szybowali sześcimięscowym trójpłatowcem – rodzina wesołych wędrowców na wycieczce ku słońcu. Pepsodent i Heinz zdenerwowani wzlecieli w powietrze za plecami pary młodocianych asów z wylatanym czasem rzędu minut. Steiner stanął za Paco na rufie Ptaka Enrica, przytrzymując się skrzyżowanych linek. Krzyknął z radości, kiedy ciepły wiatr pochwycił jego marynarską czapkę i zrzucił w dół, na ulicę.

Wayne spokojnie czekał na swoją kolej. Pochylił się, kiedy konwój szklanych samolotów przemknął mu nad głową. Zdał sobie sprawę, że jest teraz jedynym człowiekiem w Las Vegas.

– Hej, ty tam... Nie widziałeś prezydenta? Taki młody chłopak, nazywa się Wayne.

Z góry zabrzmiał śmiech. Nad Wayne'em zawisł jednopłat Ursuli; końce skrzydeł wibrowały kusząco tuż poza zasięgiem rąk. Dziewczyna chichotała zachwycona, że udało jej się zaskoczyć Wayne'a. Popłynęła wzdłuż Fremont Street; prawe skrzydło dla zabawy wygrywało arpeggio na rurkach neonów nad wejściem do Złotego Nuggetu. Wayne pobiegł za nią, zdyszany pochwycił linki nośne i wciągnął się na siedzenie. Ursula uśmiechnęła się wesoło i odchyliła skrzydła. Fala ciepłego powietrza natychmiast pchnęła Ptaka ku niebu. Oddaliły się dachy hoteli i kasyn przy Fremont Street; w blasku dnia konwój wspinał się po zboczach słonecznego światła, wyrównał lot na trzystu metrach i różnym tempem około stu kilometrów na godzinę ruszył w stronę bezpiecznej Kalifornii i ogrodów poranka na zachodzie.

## XXXII Czas Kalifornii

Dwadzieścia minut później, szybując w czystym górskim powietrzu, przelecieli nad granicą Newady. Rozproszyli się wkrótce po opuszczeniu Las Vegas i teraz samoloty dzieliły odległości kilkuset metrów. Ptaki żeglowały po osobnych falach ciepła. Cały konwój tworzył kryształowe pole błyszczące w słońcu i świętujące swój przelot nad Ameryką.

Z przodu, wciąż na czele, leciał doktor Fleming. Szczęśliwy siedział za sterami; Anna Summers jedną ręką trzymała się jego fartucha. Za nimi Steiner przesunął się do przodu i usiadł obok Enrica, by spróbować swoich sił w sztuce subtelnego nachylania skrzydeł, popychających Ptaka w powietrzu. Daleko po prawej stronie Wayne widział zagipsowaną nogę McNaira, wiszącą na tle nieba niczym topniejący soplek, który spadł ze słońca.

Po drodze minęli oddział prezydentów maszerujących rytmicznie Międzystanową 15. Prowadził ich Truman i Eisenhower. Ford i Nixon zrezygnowali i usiedli przy drodze, a Carter skręcił w las, by zostać sam ze sobą. Ale pozostali szli wciąż naprzód; żyroskopy pewnie kierowały ich w stronę Pacyfiku. Później powietrzny konwój wyprzedził kolumnę dżipów wiozących żołnierzy i najemników z ekspedycji z Phoenix i z Malibu. Byli już bezpieczni, poza zasięgiem wybuchu titana. Kiedy minęli Diabelski Szczyt, doktor Fleming dał sygnał, żeby obniżyć lot. Wayne obejrzał się. Zobaczył wąską smugę gazów wznoszącą się szybko spomiędzy drzew piętnaście kilometrów na południe od Las Vegas. Przebiła niebo – ślad odrzutu titana – i zniknęła w stratosferze przed jego powrotem na ziemię.

Skupiona razem, jak ważki grzejące się własnym ciepłem, flotylla Słonecznych Ptaków zawisała nad koronami drzew, bezpieczna za ochronnym masywem góry. Wayne objął Ursulę, uspokajając przerażoną nagle młodą kobietę. Wracała mu już pewność siebie. Czekał na błysk oznaczający śmierć imperium Mansona, przez krótką chwilę pożałował szybkiego końca swojej prezydenckiej kadencji. Ale marzenie przetrwało. Pewnego dnia wkroczy do Białego Domu i zasiądzie w gabinecie, który wysprzątał, nie zdając sobie wtedy sprawy, że przygotowuje go dla siebie. Na swoją inaugurację przybędzie jednym z tych kryształowych samolotów i będzie pierwszym prezydentem zaprzysiężonym w locie. Dawne sny umarły, Manson, Myszka Mickey i Marilyn Monroe należeli do Ameryki przeszłości, do tego antycznego miasta hazardu, które osiemdziesiąt kilometrów stąd niedługo zmieni się w parę. Nadszedł czas na nowe sny, godne prawdziwego dnia jutrzejszego, marzenia o pierwszym z prezydentów Słonecznych Ptaków.